

H O M E R  
(w. VIII przed Chr.)

I L J A D A

Księga I, ww. 1—224

Fragment I

Gniew Achilla, bogini, głos, obfity w szkody,  
Który ściągnął klęsk tyle na greckie narody,  
Mnóstwo dusz mężnych wcześniej wtrącił do Erebu,  
A na pastwę dał sępom i psom bez pogrzebu  
Walające się trupy rycerskie wśród pola:  
Tak Zeusa wielkiego spełniała się wola  
Odtąd, gdy się zjątrzyli sporem niebezpiecznym,  
Agamemnon, król mężów, z Achillem walecznym.

Od kogoż tej niezgody pożar zapalony?  
Od Feba, co go Kronid z pięknej miał Latony.  
Gniewny na króla, wojsku straszną klęskę zadał,  
Rozszerzył mór w obozie — codziennie lud padał;  
Mścił się, że był żelony jego kapłan święty.  
Przyszedł Chryzes, gdzie stały Achajów okręty,  
Świątnią na okup córki przynosząc ofiarę,  
A w ręku mając berło i Feba tiarę;  
Prosił Greki o litość na ojcowskie bóle,  
Najbardziej zaś Atrydy, dwa narodów króle:  
— «Atrydowie i Grecy! niech wam dadzą bogi  
Dobyć miasta Priama, w swoje wrócić progi!  
Lecz pomni na łuk Feba, strzelający z góry,  
Wzięcie okup, nie przeczcicie ojcu jego córy!»

Rzekł. W Grekach szmer przyjazny oznaczał ich zgodę,  
Aby uczcili kapłana i przyjąć nagrodę.  
Nie przypadła królowi do serca ta mowa,  
Więc go puścił z obelgą, przydał groźne słowa:  
— «Znijdź, naprzykrzony starcze, z oczu moich prędzej,  
Nie waż bawić się dłużej, ani wracać więcej!  
W tiarze, w berle słaba dla ciebie zasłona.  
Chyba mi starość córkę twoją wydrze z łona;  
Od swych daleko, w Argos na zawsze osiedzie,  
Tam wełnę tkać i łoże moje dzielić będzie.  
Pójdź precz! ani mię gniewaj, żebyś został cały!»  
Rzekł król; załakł się starzec i odszedł struchlały.

Szedł cicho ponad morzem, gdzie huczały fale,  
A gdy już był daleko, wynurzył swe żale  
I syna pięknowłosej tak prosił Latony:  
— «Boże! którego Chryza doznaje obrony,  
Smintejezyku! co strzałę wypuszczasz daleką,  
Co masz Tened i Kyllę pod mozną opieką:

Jeśli wieńcami twoje zdobilem kościoły,  
Jeśli ci na ofiarę bił kozły i woły,  
Niech prośba ta od ciebie będzie wysłuchana:  
Zemścij się lukiem twoim obelgi kapłana!»

Ledwie skończył, modlitwa doszła ucha Feba,  
Wysłuchał go laskawie, zstąpił gniewny z nieba  
Z lukiem swoim, z kołczanem, na ramionach strzały  
W bystrym biegu strasznymi szczęki przerażały.  
Idzie jak noc posępny; siadł zdała, luk spina:  
Leci strzała i, świszcząc, powietrze rozcina.  
Okropnym brzmiąc luk jękiem, psy strzela i muły;  
Wnet zgubne jego razy Achaje poczuły:  
Pała się bezprzestannie smutne trupów stosy.

Przez dziewięć dni na wojsko śmiertelne szły ciosy,  
Dziesiątego Achilles cały lud zwolywa,  
Bo tę myśl w piersi Hera wlała mu życzliwa,  
Bolesna, widząc swoich Achajów zagładę.  
Zatem, gdy się na walną zgromadzili radę,  
Mężny Achilles temi zaczął mówić słowy:  
— «Teraz bardzo się lękam, synu Atrejowy,  
Abyśmy oblakani wpośród morskich brodów,  
Nie musieli powracać do ojczystych grodów,  
Jeżeli tu na zawsze nie zamkniesz powieki,  
Bo i wojna okrutna, i mór niszczy Greki.  
Niech wiesz lub kapłan powie, skąd ta chłosta sroga,  
Albo snów tłumacz wierny — wszakże sny od boga?  
Niechaj powie, dlaczego Feb naszej chce zguby:  
Czy go niedopełnione obrażają śluby?  
Czyli stąd, że świętego stugłowa nie bierze?  
Bijmy owce i kozy dla niego w ofierze,  
Aby ubłagan, wstrzymał ten mór niebezpieczny». —  
To powiedziawszy, usiadł Achilles waleczny.

Wstał Testara syn, Kalchas, pierwszy w swym urzędzie:  
Zna, co jest, zna, co było, zna nawet, co będzie;  
Mądry i duchem wieszczym od Feba natchnięty,  
On do Troi achajskie prowadził okręty.  
Więc tak na radzie głosem roztroprnym opiewa:  
— «Chcesz, hym wyrzekł, dlaczego na nas Feb się gniewa,  
Feb, którego luk srebrny zgubne strzały niesie?  
Ja powiem, lecz przysięgą zaręcz, Achillesie,  
Że mi słowy i ręką dasz potrzebne wsparcie,  
Bo widzę, jak się na mnie rozgniewa zażarcie  
Mąż, któremu nad sobą władzę Grecy dali:  
A gdy król na słabego gniewem się zapali,  
Chociaż się na czas wstrzyma, w razie nie zaszkodzi,  
Znajdzie potem sposobność i zemście dogodzi». —  
Achilles odpowiedział na tę wieszczka mowę:  
— «Co tylko wiesz, mów śmiało! Bo na Apollina  
Przysięgam, Zeusowi najmiłszego syna,  
Którego ty świętości trzymając na pieczy,  
Z daru jego zwiastujesz przyszłe Grekom rzeczy;  
Przysięgam, póki widzę to światło na niebie:  
Żaden się z Greków skrzywdzić nie odważy ciebie,  
Ani sam Agamemnon. Nic to nie przeszkadza  
Prawdę wyrzec, że jego najwyższa dziś władza».

Ośmielił się tem wieszczek. — «Ani dla ofiary,  
 Ani dla ślubów, rzeczy, zesłane są kary;  
 Wzgarda świętego slugi ściagnęła tę stratę.  
 Nie chciał wydać król córki, odrzucił zapłatę,  
 Dlatego między nami zaraza się szerzy,  
 I nie wprzódę się w swoim gniewie Feb uśmierzy,  
 Aż król powróci zdobycz, którą doład trzyma,  
 I darmo odda brankę z czarnemi oczyma.  
 Gdy do Chryzy pošlemy jeszcze slugów święty,  
 Może się da złagodzić dla nas bóg zawzięty».

— Skończywszy, usiadł Kalehas. Natychmiast powstanie  
 Trzymający szerokie Atryd panowanie:  
 Straszliwie pomieszany, gniew mu wewnątrz ściska,  
 A oko rozpalone żywym ogniem błyska;  
 I rzekł, krzywym rzucając na Kalchasa wzrokiem:  
 — «Zawsze ty, widzę, jesteś nieszczęścia prorokiem  
 I nic nie umiesz dla mnie zwiastować przyjemnie;  
 Każdy twój czyn i wyraz serce rani we mnie.  
 Teraz nawet rozgłaszasz pomiędzy Achiwy,  
 Iż dlatego zarazą Feb ich trapi mściwy,  
 Żem zatrzymał dziewicę, okupem wzgardziłem.  
 Posiadanie tej branki bardzo mi jest milem,  
 Byłaby moją w domu pociechą jedyną,  
 Większą, niż Klitemestra, którąm wziął dziewczyną.  
 Wyrówna jej rozumem moja niewolnica  
 I sercem, i przemyślem, i pięknnością lica.  
 Ale gdy trzeba, ojcu wracam ją do ręki,  
 Bo wołę całość ludu nad jej wszystkie wdzięki.  
 Tylko mi tę osłódźcie stratę, przyjaciele:  
 Godziź się, bym sam jeden szkodował tak wiele?  
 Wszakże wszyscy widzicie, co mi z rąk wypada».

Na to Pelid waleczny tak mu odpowiada:  
 — «Atrydo! jakżeś razem i dumny, i cheiwy!  
 Tobież lupu szlachetne odstąpią Achiwy?  
 Ja nie wiem, jeśli jakie lupy gdzie złożono:  
 Co z miast było wziętego, to już podzielono;  
 Wracać nazad i znowu dzielić nie przystoi.  
 Ale kiedy przemożnej dobędziemy Troi,  
 Wróc tylko brankę bogu, za dzisiejszą stratę  
 Potrójną i poczwórną odbierzesz zapłatę».

— «Luboś mądry, nie zdołasz tego wmówić we mnie —  
 Rzekł król — i chcesz mnie słowy podchodzić daremnie.  
 Oddawszy moją brankę, bądźź smutny siedzieć,  
 Gdy ty cieszysz się twoją? Oddam, lecz chcę wiedzieć,  
 Czyli tę stratę Grecy nagrodzą mi równie;  
 Jeśli nie chcą nagrodzić, sam wezmę gwałtownie...  
 Ale się w innej o tem naradzimy porze.  
 Teraz okręt na wielkie wyprowadźmy morze  
 I zbierzmy zdolne majtki do takiej wyprawy,  
 Brankę wsadźmy z ofiarą slugłówną do nawy.  
 Pierwsi z wodzów na siebie tę podróż weźmiecie:  
 Ajas, Odyseusz, lub król panujący na Krecie,  
 Lub, jeśli tak rozkażę, najstraszniejszy z ludzi,  
 Pelid się tą usługą dla Greków potrudzi.  
 Pewnie bóg zagniewany, który mściwie strzela,  
 Tą ofiarą się zmieni dla nas w przyjaciela».

Na to strasznie zapalon Achilles zawoła:  
— «O łakomco! o człeku bezwstydnego czoła,  
Któż z Greków chętnie twoje spełni rozkazanie?  
Kto pójdzie na wyprawę? na czele wojsk stanie?  
Nie z mojej ja przyszedłem pod Troję przyczyny,  
Ród ten przeciw mnie żadnej nie popełnił winy;  
Do owoców mej ziemi nie ściągnęli dłoni,  
Nie tknęli się trzód moich, nie zabrali koni,  
Najmniejszej w żyznej Ftyi nie zrobili szkody;  
Dziela mię od nich wielkie i góry, i wody.  
Ale z tobąśmy przyszli z odległych stron świata  
Czci twojej nastugiwać, mścić się krzywdy brata.  
Bezczelniku! z psiem okiem, nie znasz tej usługi!  
Jeszcze mi to chcesz wydrzeć, com wziął za znój długi  
I co mi godnie greckie przyznały narody!  
Dotąd ja równej z tobą nie miałem nagrody,  
Gdy, po zdobyciu miasta, wojsko łup rozbiera.  
Na moich barkach ciężar wojny się opiera,  
Lecz kiedy podział przyjdzie, lepsza część dla ciebie,  
A ja, upracowany, zemdlony w potrzebie,  
Z małą częścią na okręt idę z bojowiska.  
Do Ftyi, do mojego powracam siedliska,  
Gdy nie znasz moich zasług, śmiesz zdobyć wydzierać;  
Ja nie wiem, czy beze mnie będziesz łupy zbierać».

Jemu król Agamemnon, równym gniewem zdjęty:  
— «Jedź, gdy ci się podoba, spychaj twe okręty!  
Czyż to na tobie jednym los Grecyji stoi?  
Mam drugich, co się zemszczą mej krzywdy na Troi,  
A najskuteczniej Kronid, panujący w niebie.  
Z wszystkich królów najbardziej nienawidzę ciebie...  
Idź, rządz Myrmidonami, nie mną, człeku hardy:  
Gniewy twoje niczego nie warte prócz wzgardy.  
Lecz wiedz: gdy Feb ode mnie Chryzeidę bierze,  
Dam rozkaz, niech ją moi odwiozą żołnierze,  
A zato się do twojej posunę nagrody:  
Bryzeidę ci wezmę z pięknymi jagody,  
Byś znał, że jest mocniejszy. Drugich strach ogarnie,  
Widząc, że mi się równać nie można bezkarnie».

Na te słowa okrutnie Pelid rozjątrzony,  
Niepewny, na obiedwie nachyla się strony:  
Czy usunąwszy drugich, w Atryda uderzyć,  
Czy lepiej gniew powściągnąć i zapal uśmierzyć.  
Gdy się na obie strony chwieje myśl wątpliwa,  
W zapale z pochew miecza straszego dobywa:  
Wtem z nieba z Hery przyszła Pallada przysługi,  
Bo równie jej był miły jak jeden, tak drugi.  
Ztyłu lekko za włosy pociąga rycerza,  
Nicyim, jego tylko oczom się powierza.  
Zląkł się Pelid, gdy spojrzął za siebie zdumiały,  
Widzi Palladę: oczy jej groźnie iskrzały;  
I rzecze: — «Wielka córo pana błyskawicy,  
Pocóżes tu z niebieskiej nadeszła stolicy?  
Czy widzieć, jaką Atryd obelgę mi czyni?  
Oświadczam ci, bo tego dokażę, bogini,  
Że dłoń ta wnet za dumę duszę mu wywlecze».  
A na to modrooka Pallada tak rzecze:

— «Przyszedł gniew twój uśmierzyć z woli Zeusa żony:  
 Jej Achilles, jej Atryd równie ulubiony.  
 Nie ruszaj miecza, do krwi nie chciej się zapędzać;  
 Ale słów obelżywych możesz nie oszczędzać.  
 Wierz mi, bo to być musi, że dla tej ofiary  
 Trzykroć będziesz drogiemi nagrodzony dary;  
 Tylko bądź nam posłuszny, gniew uhamuj srogi».  
 A Palladzie Achilles mówi prędkonogi:  
 — «Choć cały gniewem palam, lecz rozum ostrzega,  
 Iż ten błędzić nie może, kto bogom ulega;  
 Kto na rozkazy bogów nie zatyka ucha,  
 Tego wzajem łaskawe niebo chętniej słucha».  
 To wyrzekłszy, przestaje na Pallady radzie,  
 Powściąga silną rękę i miecz w pochwę kładzie;  
 A bogini, poselstwo odprawiwszy swoje,  
 Do bogów śpieszy, w górne Zeusa pokoje.

Księga XVIII, ww. 1—105

Fragment II

*(Po odebraniu mu branki Achilles wycofał się z wojny; chciał go zastąpić przyjaciel jego Patrokl i legł w bitwie z Hektorem; Trojanie zwyciężają Greków.)*

Gdy tam nakształt pożaru Ares boje zwodzi,  
 Antyloch przed oblicze Achilla przychodzi.  
 Rycerz stał przed nawami, na pole pozierał,  
 A serce najsmutniejszym przecuciom otwierał:  
 — «Skąd to jest (słowy temi sam w sobie narzeka),  
 Że Grek rozpiezchnion w polu ku nawom ucieka?  
 Ach! by mię nie trapiła ma Dola zaciekla!  
 Ach! by się nie ziściło, co mi Tetys rzekła...  
 Pewnie los nieszczęsnego Patrokla dni skrócił!  
 Zlecitem, aby ognie zgasiwszy, powrócił  
 I nie śmiał bronią z mężnym Hektorem się ścierać».  
 Gdy nie przestawał myśli tak smutnych rozbiierać,  
 Nestora syn przychodzi, łza mu gęsta ciecze,  
 I, żalona donosząc nowinę, tak rzecze:  
 «Achillu, głos ode mnie usłyszysz zbyt srogi.  
 Za co nas tak okropnie utrapily bogi!  
 Leży Patrokl! o nagie zwłoki Grek się bije,  
 Bo już zbroja Hektora pyszne piersi kryje».  
 Rzekt; jemu boleść czarną mgłą oczy zasłoni,  
 Wraz gorący w obojej garnąc popiół dłoni,  
 Sypie na głowę, wściekły z tak bolesnej straty,  
 Szpecąc nim boskie czoło i prześliczne szaty.  
 Wyniosłem ciałem ziemię szeroko zakrywa,  
 W piasku się tarza, z głowy piękny włos wyrzywa...  
 Antyloch łączył rzewne łzy do jego jęku,  
 Lecz ręce Achillesa w swoich trzymał rękę,  
 Bojąc się, by tak srogim utrapiony razem,  
 W rozpacz sam zabójczem nie pchnął się żelazem.  
 Achilles stęka, żalem ściśniony gwałtownym;  
 Na dnie morza siedząca przy ojcu szanownym  
 Tetys jęknęła, smutne słysząc jęki syna,  
 Nereid grono do niej kupić się zaczyna...  
 Jęczą, razy gęstemi śnieżne bijąc łona,  
 Gdy między niemi rzecze Tetys rozkwilona:

«Słuchajcie mię, o siostry! wam powiedzieć muszę,  
 Jak okrutne boleści moją cisną duszę:  
 Ach, jakżem nieszczęśliwa jest matka! Niestety!  
 Wydałam na świat syna, wszystkie ma zalety:  
 Największy z bohaterów, zaszczyt swej ojczyzny,  
 Wyrósł mi naksztalt krzewu ssącego grunt żyzny.  
 Posłałam go na wojnę dla Troi pogromu,  
 Lecz go więcej w Peleja nie obaczę domu.  
 Dreżczy się, póki słońce ogląda na niebie,  
 A z matki nie ma żadnej pomocy dla siebie.  
 Śpieszę zaraz obaczyć i spytać się syna,  
 Skąd ta, gdy walczyć przestał, boleści przyczyna».

To wyrzekłszy, głębokie opuszcza jaskinie,  
 Za nią płaczące tłumem cisną się boginie;  
 Przed nimi srebrne wały morze napół dwoi.  
 Gdy przybyły do krain żyznorodnych Troi,  
 Porządkiem na brzeg wyszły, który był zajęty  
 Achilla i Płyjotów licznymi okręty.  
 Rycerz wdychał, wtem nagle twarz matki zablęsnie;  
 Chwyta za głowę syna, z czułym jękiem ściśnie.

«Synu — mówi — dlaczego łzami skrapiasz lice?  
 Odkryj matce twojego serca tajemnicę!  
 Jużś skutek zupełny twoich próśb oglądał,  
 Gdyś, obie do Zeusa wznioślszy ręce, żądał,  
 By Grek, do naw odparty, w hańbie i rozpaczy  
 Poznał, ile dla niego broń Achilla znaczy».

A syn z ciężkiem westchnieniem: «Prawda, matko miła,  
 Że prośby moje wola Zeusowa spełniła.  
 Lecz jak pociechę w ciężki żal wyrok zamienił,  
 Gdy ten, com go najwięcej z towarzyszków cenil  
 I którego ukochał jako duszę moją,  
 Patrokł zginął! Już Hektor pyszną dzierży zbroję,  
 Wtenczas dan Pelejowi upominek drogi,  
 Gdy cię w łoże śmiertelne wprowadzały bogi.  
 Obyś była została w bogiń morskich gronie,  
 A Pelej był w śmiertelnej pokochał się żonie!  
 Dziś cię smutne z człowiekiem połączyły śluby,  
 Żebyś rzewnie płakała twego syna zguby.  
 Nie uściskasz go więcej po wojennym trudzie!  
 Ja żyć nie chcę, i pierwej nie ujrzą mię ludzie,  
 Póki mą dzidą Hektor żywota nie straci  
 I swą śmiercią Patrokła śmierci nie oplaci».

A Tetys, wylewając hojne łez potoki:

«Ach, synul sam przyspieszasz twej śmierci wyroki.  
 Jeżeli Hektor zginie, twój zgon się nie zwlecze!»

«Niech zginę zaraz — rycerz zapalony rzece —  
 Gdy od tego nieszczęścia los mię nie uchronił,  
 By umarł mój przyjaciół, a jam go nie bronil..  
 Choć moja krzywda ciężka, potrzebie ulegnę,  
 Wraz na zabójcę mego przyjaciółka biegnę;  
 Potem niechaj śmierć na mnie spełni wyrok srogi,  
 Jak wielki Kronid zechce i Olimpu bogi..  
 Nie odradzaj mi, matko! tve lzy, tve zaklęcia,  
 Nie zdolne mnie od tego cofnąć przedsięwzięcia».

Na to mówi królowa srebrołynnych toni:

«Czynu tak chwalebne matka ci nie broni,

Z niebezpieczeństwa, które wkolo ich ścisnęło,  
 Wyrwać swych towarzyszków, rycerskie jest dzieło...  
 Ale póty się hamuj w bojowym zapędzie,  
 Dopóki tu do ciebie matka nie przybędzie.  
 Jutro z pierwszym promieniem obaczysz mnie rano,  
 Z piękną zbroją, przez władcę Hefajsta kowaną».

Wraz tem słowem ostrzega siostr nereid grono:

«Wy powróćcie się w morza niezgłębnego lono,  
 Gdzie podeszły nasz ojciec ma pałac wspaniały,  
 I powiedźcie mu wszystko, coście tu słyszały.  
 Ja śpieszę do Hefajsta, czy na prośbę moją,  
 Nie skłoni się dla syna nową ukuć zbroję».

Rzekła; nimfy się skryły w ocean głęboki.  
 Sama dąży szybkimi do Olimpu kroki,  
 By przyniosła dla ciebie zbroję, Achillesie.

Księga XXIV, ww. 232—380

Fragment III

*(Tetyś przynosi Achillowi nową zbroję; ten wyprawia się pod mury Troi, walczy z Hektorem, zabija go; ojciec Hektora, król trojański Priam rozpacza, aż Hermes, postany przez Zeusa, namawia go, by udał się do Achilla i poprosił o wydanie zwłok syna dla przystojnego pogrzebu.)*

Po tej rozmowie lekkim skokiem na wóz wsiada,  
 Bierze bicz z ręki starca, lejcem żywo włada,  
 A i w muły, i w konie wlewa zapal nowy,  
 Widzą przed sobą wieże i głębokie rowy,  
 Tam ucztę gotowały straż mające Greki;  
 Im przesłodka sen Hermes spuszcza na powieki.  
 Już wrzeciędzie odjęte, już otwarta brama,  
 Z bogatemi darami wprowadza Priama.  
 Otóż namiot Achilla: w górę go wywiodły  
 Wierne Ftyjaty, ściąwszy niebotyczne jodły,  
 Lud mieszkanie rycerza belami ukrzepił,  
 A dach zebraną trzcina na łakach zasklepił.  
 Z gęstych go palów parkan otaczał dokoła,  
 Rygiel drzwi ledwie mężów trzech podważyć zdola:  
 Pelid się tylko nad nim bynajmniej nie silił,  
 Sam i łatwo go zamknął, i łatwo odchylił.  
 Więc Hermes, co go twórcą korzyści świat głosi,  
 Wtenczas ciężką zaporę dla starca podnosi,  
 Wprowadza wiozącego upominek drogi,  
 Skacze z wozu i takie daje mu przestrogi:  
 — «Jestem Hermes, przyszedłem tu z Zeusa mocy,  
 Aby ci w twojej drodze użytych pomocy...  
 Idź, chwyć nogi rycerza, nie przestawaj błagać  
 Przez ojca i przez matkę, pięknym kształtną włosom,  
 I przez syna, by nad twoim zlitował się losem».

Gdy tak razem ostrzeże starca i pocieszy,  
 Hermes znów do Olimpu wyniosłego śpieszy.  
 Priam wysiadł na ziemię, został Idaj czuły,  
 Aby pilnował z wozem rumaki i muły.  
 Do mieszkania Achilla starzec prosto zmierza,  
 Zastaje towarzyszy zdala od rycerza;  
 Sam tylko Automedon wierny, Alkim drugi,  
 Szczep Aresa, gotowi stali dla usługi.

Tylko co się napojem i jadłem nasycił.  
Wszedł Priam cicho, ukląkł, za nogi uchwycił,  
I ręką srogim, które w podziemne otchłanie  
Tylu wtrąciły synów, dał pocałowanie.  
Jako gdy kto zabije gwałtownie człowieka,  
Przed zemstą prawa w obce krainy ucieka, —  
Wszystkich zdumi, w dom wszedłszy, gdzie schronienia żąda:  
Tak Pelid na Priama zdumiony ogląda.  
Zdwiwni towarzysze patrzą po sobie,  
Gdy starzec zaczął, w ciężkiej pograżon żalobie:  
— «Pomnij na ojca swego, boski Achillesiel  
W równym on ze mną wieku, w ostatnich lat kresie;  
Może niesprawiedliwi cisną go sąsiedzi,  
Niemą, kto by złe odparł, pod którym się biedzi;  
Jednak słysząc, że żyjesz, wolny od rozpaczy,  
Krzepi się tą nadzieją, że syna zobaczy,  
Gdy z Troi do ojczyznej powrócisz krainy.  
Lecz ja, najnieszczęśliwszy, miałem dzielne syny,  
Z których podobno żaden żywy nie zostaje,  
Odkąd wojnę przynieśli przed nasz gród Danaje...  
Więszą liczbę ich Ares w polu poobalał;  
Ostatni, co ich bronil i miasto ocalał,  
Hektor, zginął od ciebie, walcząc za ojczyznę.  
Po niego tu przychodzę. Uczcij mą siwiznę!  
Masz okup wielkiej ceny, masz drogie ofiary:  
Szanuj bogi, Achillu, nie gardź memi dary!  
Przypomnij ojca, obu nas ciężar lat gniecie.  
Możesz być kto ode mnie biedniejszy na świecie?  
Jam usta — tegom wreszcie nieszczęśliwy dożył —  
Na ręce synów moich zabójcy położył!»

Rzekł. Na wspomnienie ojca rycerz czule wzdycha,  
I zwolna rękę starca od siebie odpycha.  
Ten, Hektora wspomniawszy, w nim państwa nadzieje,  
Leżąc u nóg Achilla, rześiste lzy leje;  
Tamten na dwie osoby swą czułość rozdziela:  
Już płacze ojca, znowu płacze przyjaciela.  
Spólne ich narzekania i płacz pomieszany  
Smutnem echem namiotu powtarzały ściany.  
Pofolgowawszy sercu łzami obfitemi,  
Wstał i, podając rękę, podniósł starca z ziemi;  
Wzruszyła go poważna głowa, broda siwa,  
Nakoniec się do niego w tych słowach odzywa:  
— «O nieszczęśliwy starcze! coś ty nędzy zażył!  
Jakżeś się sam przez obóz grecki przejść odważył,  
Ażebys przed obliczem rycerza się stawił,  
Który cię tylu synów walecznych pozbawił?  
Gdyś to zrobił, z żelaza kute serce w tobie.  
Lecz siądź, uspokójmy się obydwu w żalobie!  
Naco się mamy dręczyć? próżne nasze smutki,  
Żadne z nich dobre dla nas nie wynikną skutki.  
Smutek dostali ludzie od bogów podziałem —  
Oni się tylko cieszą szczęściem doskonałem.  
Dwoiste pod Zeusowym tronem jest naczynie,  
Z jednego złe, z drugiego dobre dla nas płynie.  
Czyje losy z obydwu naczyń Zeus miesza,  
Tego naprzemian smuci, naprzemian pociesza.

Komu ze złego czerpa, ten skazan na nędzę,  
 W ohydzie, wzdardzie smutną ciągnie życia przędzę;  
 Błąka się, pod ciężarem zgryzoty się trudzi,  
 Równie znieawidzony od bogów i ludzi.  
 Dla Peleja bogowie szciodrzy od początku,  
 Zadziwiał wszystkich skarbami, wielkością majątku,  
 I nad Ftyjoty berłem przemożnem się chlubił;  
 Choć śmiertelny, boginię za żonę poślubił.  
 Ale mu niebo w innym uskaپیło względzie,  
 Tronu jego potomstwo po nim nie osiędzie:  
 Jednego splodził syna i ten prędko zginie.  
 Oto pędzę dni smutne w dalekiej krainie,  
 Żadnem nie będąc wsparciem dla starego ojca,  
 Tu siedzę, twój niszczyciel, twych synów zabójca.  
 I na ciebie bogowie wylali swe dary:  
 Co tylko dźrzy Leshos, gdzie rządził Makary,  
 Frygija i Hellespont, toś wszystko posiadał,  
 Nadto świetne i liczne potomstwo bóg nadał.  
 Lecz twoje szczęście w jednej nie trzyma się mierze:  
 Wre bój przy murach miasta, giną wam rycerze,  
 Znoś więcł żaden od nędzy nie wyjęty człowiek,  
 Przytłum w sercu boleści i otrzyj łzy z powiek,  
 Bo nie odzyskasz syna, który już w Erebie,  
 Nie wskrzesisz go, a płaczem zgubisz jeszcze siebie».  
 — «Nie zapraszaj, bym siedział — rzekł mąż równy bogu —  
 Póki Hektor niegrzebny przy twym leży progu.  
 Oddaj ciało niezwłocznie, o tę łaskę proszę,  
 Chciej przyjąć liczne dary, które ci przynoszę.  
 Obyś ich użył, miłą obaczył ojczyznę,  
 Gdyś mi życie zachował, uczcił mą siwiznę.  
 Przez ciebie jeszcze słońca cieszę się widokiem».

Pelid, na niego patrząc zapalonem okiem:  
 — «Nie chciej mię gniewać, starcze, nie bądź mi natrętny!  
 Nimes przyszedł, Hektora oddać byłem chętny...  
 Nie wzbudźaj we mnie gniewu, przestań mi się kwilić,  
 Żebym cię ślad nie wypchnął; tak, winny dwa razy,  
 Zgwałciłbym ludzkość, złamał Zeusa rozkazy».

Drżący król woli jego poddać się nie zwłoczył.  
 Z prędkością lwa Achilles z namiotu wyskoczył,  
 Lecz nie sam: Automedon, Alkim za nim śpieszy:  
 Ich przyjaźnią po stracie Patrokla się cieszy.  
 Konie i muły z jarzma wyprzągłszy, prowadzą  
 Woźnego do namiotu i na krzesle sadzą;  
 A z wozu ładownego biorą sprzęt bogaty,  
 Przeznaczony dla ciała Hektora opłaty...  
 Brankom ciało myć kazał i maścić na boku,  
 Chcąc ojcu bolesnego oszczędzić widoku...  
 Miękką dłoń dziewczę myje ciało i namaszcza,  
 Okrywa piękną szalą i obwodem płaszcza.  
 Pelid je na pogrzebne łoże dźwignął z ziemi  
 I na wozie położył z towarzyszymi swemi,  
 A wzywając Patrokla wpośród jęków wielu:  
 — «Nie miej mi — rzecze — za złe, miły przyjacielu,  
 Jeśli się w Hadzie dowiesz o moim uczynku,  
 Zem wzięł okup za ciało w drogim upominku».

Powróciwszy, naprzeciw Priama usiada,  
 I co uczynił, temi słowy opowiada:  
 — «Masz synal byłem twemu powolny życzeniu;  
 Rano go przy Jutrzenki obaczysz promieniu.  
 Teraz przyjmij posiłek, uśmierz serca mękę...»

*Tłum. T. Sinko według Dmochowskiego.*

## ODYSEJA

### Spotkanie Odysa z Nauzykają

Pieśń VI, ww. 1—250

*(Powracając z pod Troi, Odys stracił całą swą drużynę i już sam jeden zdążył do domu, aż jako rozbitek dostał się na wyspę Scherję, zamieszkałą przez Feaków; rządził tam król Alkinoj, którego córka Nauzykaja spotkała na morskiem wybrzeżu Odysa i przyprowadziła do ojca.)*

Usypiał boski tułacz Odys, sen już spada  
 Twardy, na złamanego trudem. Wraz Pallada  
 Idzie w grodzie Feaków, leżącym precz dalej.  
 Przedtem oni w szerokiej Hiperji mieszkali,  
 Gdzie wojenne Cyklopy mając za sąsiady,  
 Wciąż nękanych od pewnej ratując zagłady,  
 Wywiódł ich Nausitoos, on, bogom podobny,  
 I osadził na Scherji, kędy kraj zasobny,  
 A od ludzi daleki; miasto zamknął w tyny,  
 Zbudował domy, chramy, grunt rozdał na gminy,  
 Lecz karą zwalon zstąpił w Hadesa podziemie.  
 Dziś mądry król Alkinoj wziął w rządy to plemię.  
 Zatem Pallas Atena w jego dworzec dąży,  
 I powrót Odysa na myśli jej ciąży.  
 Szła prosto; do panińskich komnat się przemyka,  
 Gdzie córka Alkinoja śpi, piękna Nauzyka,  
 Boginiom równa wzrostem, a wdzięczna jak one.  
 Niepośledniej urody dwie dziewy uspione  
 Leżały tam przy odrzwiach błyszczących podwoi.  
 Pallas jak lekki powiew do łóżka dziewoi  
 Przemknie się, do głów schyli, coś do niej przygwarza,  
 Wziąwszy na się kształt córki Dymasa żeglarza,  
 Druchny jej najmilejszej i jej równolatki —  
 I mówiła bogini odziana w kształt gładki:  
 — «Oj Nauzyko! toż z ciebie leniuszek nieladał  
 Drogie szatki, bielizna precz brudem przepada,  
 A wesele za pasem! Miejże co pięknego  
 Dla tych družb, coć powiodą do pana młodego,  
 A i dla się — bo zwykle strój czystszy u ludzi  
 Zwraca imię, w rodzicach ucieszenie budzi.  
 Dalej zatem do prania! wyprzedź ranne zorzel  
 By raźniej poszła praca, każda ci pomoże:  
 Ja pierwsza. Raj paniński się kończy; wszak swaty  
 O ciebie już zachodzą od młodzi bogatej  
 I przedniejszej, bo przecież ród twój niepośledni!  
 Nużel! Poproś rodzica pierw, nim się rozedni,  
 Aby ci kazał muły zaprząc w wóz drabiaty:  
 Nałożysz nań sukienki, przepaski, makaty.

Jechać będzie wygodniej; pieszo zbolą nogi;  
Przebież pralnie od miasta taki kawał drogi». —

To powiedziawszy, Pallas siwooka wraca  
Znowu na szczyt Olimpu, do bogów palaca,  
Gdzie nigdy burza nie grzmi, deszcz ścian nie obija,  
Śnieżna zamieć nie prószy — tylko się przewija  
Nieustanna pogoda, ni to namiot lity:  
Tam bogom raj wesela plynie niepożyty;  
Tam wróciła Atena, napomniawszy śpiącą.

Wstała Jutrznia, poświęca swą złotem kapiącą  
Budząc Nauzykę. Panna swoim snom się dziwi,  
Prędko z komnat do komnat bieży, by co żywiej  
Rodzicom powiedzieć. Zastała rodzice:  
Matka przy ogniu siedzi, wkoło służebnice,  
I lekuchnem wrzecionem krasną wełnę skręca,  
Z ojcem zbiegła się w progę; właśnie go księżęca  
Walna rada wzywała, i szedł zasiąść w radzie:  
— «Dobry tato, każ dla mnie zaprząć wóz, a długie,  
Z wartkimi koły; pilno mi jechać do strugi  
Prac bieliznę; bo tyle już jej się zebrato!  
Wszak i tobie przystoi bieliznę mieć białą,  
Gdy siadasz w zgromadzeniu dostojnych Feaków.  
Wszak i doma jest pięciu dorodnych junaków,  
Dwóch żonaty, trzech jeszcze chłopiąt już niemalych,  
Twych synów; ci chcą zawsze chodzić w szatach białych  
Na płasy, a wszystkiemu radź tu, moja główko!»

Tak mówiła, a wtrącić wstydno jej by słówko  
O weselu. Lecz ojciec domyślił się tego  
I rzekł: «Nie bronie-ć, córko, ni mulów, ni czego;  
Natychemiast niech parobcy wóz zaprzęgą mulmi,  
Wysokie, wyplatane i z wartkimi kółmi».

To rzekłszy, krzyknął; czeladź przyskoczyła żwawo:  
Wóz koleśny wytoczon stoi przed wystawą;  
Wiodą muły; zaprzężna idzie w dyszel para.  
Nauzykają z komory znosi coniemiarą  
Cienkich szat i bielizny, wóz naładowywa;  
Matka zaś pełny koszyk smacznego pieczywa  
I jarzynek tka w rękę; była i łagiewka  
Skórzana z winem w drogę; na wóz siadła dziewczka;  
O dzbanuszkę z oliwą matka też pamięta,  
By, wyszedłszy z kąpieli, ona i dziewczęta  
Miały czem się namaścić. O! już wzięła wodze,  
Biczem klasła w powietrzu. Z turkotem po drodze  
Poklusowały muły, ciągnąc ciężar z panią,  
Wzdy nie samą; i dziewczki siedziały tuż za nią.

Owóz gdy przyjechały nad brzeg ślicznej rzeki,  
Gdzie w cembrzyny kamienne sączą się poniki  
Wód nieprzebranych, miejsca dla praczek wygodne,  
Prędko muły wyprzegą i puszcza swobodne  
Na paszę w słodką trawę, co z taką rozkoszą  
Wyściela brzegi rzeki. Potem z woza znoszą  
Bieliznę i po sztuce w ocembrzone wody  
Kładą, deptając nogami, piorą na wyprzody.  
Wypłókawszy do plamki wszystko, jak należy,  
Rozpościerają rzędem wzdłuż ciepłych wybrzeży  
Nad morzem, kędy fale gładki żwirek ścielą.

Skończywszy, wraz się chłodzą zdroistą kąpielą,  
Oliwą maszczą członki, potem na trawniku  
Siądą do smacznej strawy, a szatki w wietrzyku  
Niech schną tymczasem. Gdy tak spożyły łakotki,  
Staną do piłki, z głowy odrzuca namiotki.  
Pustującym piosenkę zaśpiewa królowna —  
Rzekłbyś, że z Artemidą lowczynią pokrewna,  
Co przez bór Erymantu lub Tajget ugania,  
Rada, gdy z rąk jej padnie odyniec lub lania;  
A nimfy, pół mieszkanki, pod pani swej bokiem  
Pustują wkoło; Lato cieszy się widokiem,  
Że nad wszystkie celuje wzrostem i obliczem,  
I snadno poznać, czem jest w orszaku dziewiczem.  
Owo tak rej wśród swoich królowna prowadzi.

Lecz kiedy o powrocie do dom już coś radzi,  
Zaprząga muły, suche już składa odzieżę,  
Wtedy Pallas Atena na sposób się bierze,  
By Odysej się zbudził, zobaczył dziewicę,  
I przez nią był wprowadzon w Feaków stolicę.  
Więc ku dziewczkom rzucona piłka z rąk Nauzyki  
Leci, cel swój omija i pada w głąb rzeki,  
A one w śmiech i wrzaski. Odys ze snu rwie się,  
Usiadł — strwożone serce te myśli mu niesie:  
— «Biada mi! do jakichże dostałem się krajów?  
Pomiędzy dzicz niesforną i kupę hultajów,  
Czy też między gościnnny lud, do cnót nalożon?  
A toż co za niewieści wrzask? niby dziwożon,  
Co rade zamieszkują skał wierzchy wyniosłe  
I źródła rzek, i łągi trawami zarosłe.  
Blisko gdzieś tu żyć muszą mówiące istoty:  
Dalej! zobaczymyż tedy, skąd one chichoty?»

To powiedziawszy, Odys wypełznął na raku  
Z gęstwi, silną prawicą z najgrubszego krzaku  
Liściastą gałąź udarł, by nią okryć ciało.  
I tak sunął, jak górski lew, kiedy zuchwało  
Kroczy w deszcz, zawieruchę; we łbie górą ślepie,  
A przydybie gdzieś bydło, trzodę owiec w stepie,  
Albo w boru jelenia, a gdy głód doskwiera,  
Dusić drobną chudobę do obór się wdziera:  
Otóż tak szedł Odysej ku pannom — nie żeby  
Nie zważał na swą nagość, ale szedł z potrzeby.  
Straszny im zdał się, morskiem owalany błotem!  
Widząc go, wszystkie w nogi, i na wzgórek potem;  
Jedna Nauzyka stoi. Atena jej tchnęła  
Męską odwagę w duszę, członkom strach odjęła.  
Nie rusza się i czeka. Odysej sam nie wie,  
Czy ma paść do nóg wdzięcznie patrzącej nań dziewie,  
Czy-li, jak stał, zdaleka wzniesić prośbę pochlebną  
O pokazanie drogi i odzież potrzebną.  
Ta myśl w ciężkim kłopotcie przyszła mu wybornie;  
Więc, jako był zdaleka, pochlebnie, pokornie  
Błagał o przebaczenie, aż do nóg jej padnie,  
I zaczął rzecz swą prawić mądrze i układnie:  
— «Błagam cię, czyś jest bóstwem, czy panną śmiertelną!  
Jeśliś jedną z tych bogiń w niebiesiech udzielną,  
Tedy zdasz mi się córą wielkiego Kronjana,

Z Artemidy kibicią i wzrostem jak ona;  
 A jeśli jest śmiertelną mieszkanką padolu,  
 Błogosławiony ojciec z twą matką pospołu,  
 Błogosławieni bracia! Jakże im gdzieś rośnie  
 Serce przy tobie! jak się rozptywa radośnie,  
 Gdy w skocznym korowodzie ujrzą twoją postać!  
 Lecz szczęściu oblubienca cóż mogłoby sprostać,  
 Jeśli za hojne wiano zawiezie cię do dom?  
 Różnym ja się, przeróżnym napatrzył narodom,  
 A równej nie znam tobie. Cześć i podziw razem!  
 Niegdyś widziałem w Delos, przed żertwiennym głazem  
 Feba, latorośl palmy: jak ty, w górę strzela —  
 Bom się i tam zapędził także z ludu wiele  
 W tej tułaczce, gdzie zbieram same lzy i znoje —  
 I stałem w podziwieniu przed nią, jak tu stoję:  
 Ziemia nigdzie też palmy nie wydała takiej!  
 Owóż równe zdumienie i podziw jednaki  
 Ima mię, gdy ci objąć ze czcią chcę kolana.  
 Wczoraj po dniach dwudziestu jam z morzem się rozstał,  
 Dni bowiem tyle rwał mię prąd, a wicher chłostał  
 Wciąż od wyspy Ogigji, aż z demoniej psoty  
 Wyrzuconym jest tułaj na nowe kłopoty.  
 Dużo jeszcze mam cierpieć, dużo, z bogów woli!  
 A choć ty się ulituj! Po długiej niedoli  
 Ciebie pierwszą spotykam; wszak i duszy żywej  
 Nie znam, zamieszkującej ten gród i te niwy.  
 Wskaż mi drogę do miasta; okryj nagie ciało,  
 Choćby płachtą z bielizny! — i toby się zdało —  
 A bogi cię najmilszą opatrzą nagrodą:  
 Dadzą-ć męża i domek, przenaświętszą zgodą  
 Pobłogosławią! Skarb to najcenniejszy w świecie,  
 Gdy małżonka z małżonką zgodna miłość splecie,  
 Duch jeden włada domem; wróg na to się krzywi,  
 Cieszą drухy! a oni nad wszystkich szczęśliwi!»

Białoramienna panna w te ozwie się słowa:  
 — «Widno, żeś człek niepodły, ani miałka głowa.  
 Darmo! woli Zeusowej nikt się nie wybiega,  
 I czy pan, czy chudzina, losowi podlega;  
 Od niego padł i tobie; znoś z pokorą brzemień!  
 A teraz, kiedyś nogą wstąpił w nowe ziemie,  
 Okryjem cię, niczego-ć nie będzie brakować,  
 Co tylko obey tułacz może potrzebować.  
 Do miasta wskażę drogę, dam ludu nazwisko:  
 My Feaki, tę ziemię zamieszkujęm wszystką;  
 Jam córka Alkinoja; wyższego tu niema:  
 On władzy i potęgi w ręku berło trzyma!»

To rzekła i na dziewczki zawoła zdaleka:  
 — «Stójcie już, stójcie! za cóż uciekać od czleka?  
 Czy myślicie, że do nas jako wróg przychodzi?  
 Zaprawdę, nie urodził się, ani urodzi  
 Taki, coby nieprzyjaźni wniósł do naszych progów  
 I spokój mieszał. Wszak my kochani od bogów,  
 Siedzimy na odludziu, wkrąg morzem oblani,  
 Prawie na krańcu świata, nikomu nieznani.  
 Ugościć raczej trzeba przybysza, gdy bieda  
 Aż tu go zapędziła. Wszak dziećmi Kronida

Są tulacze. Dar mały często uszczęśliwi;  
Sam tu, dziewczeczki! gość nasz niechaj się pożywi;  
I wykapać go trzeba w rzece, gdzie zaciszna».

Na jej głos dziewczki wróca i idą zniepyszna  
Prowadzić Odyseja w cienisty brzeg rzeki,  
Posłuszne rozkazaniu swej pani Nauzyki.  
Więc chiton przygotowują i inne sukienki;  
W złotej bańce oliwy podadzą też miękkiej  
I każą do kąpieli iść mu kryształowej.

Na to rzece Odysej: «Mile białogłowy!  
Ustapcie kęs na stronę; sam sobie poradzę;  
Z barków sól spłócę, ciało oliwą wyładzę;  
O, bo też dawno takiej wygodki pragnąłem!  
Lecz się kąpać nie mogę przy was żadnem czołem,  
Moja nagość mię wstydzi przed plcią pięknowłosa».

To rzekł. One ustąpią i pani doniosa,  
Boski tulacz obmywa sól morską w strumieniu,  
Na grzbiecie, na obojem przyschła mu ramieniu;  
Ze skroni gęsty namuł zgarnia do ostatka;  
A gdy po łaźni przyszła oliwa nań gładka,  
Wdziął szalki w podarunku, od panny mu dane,  
I wraz Pallas Atena — cudo niesłychane! —  
Wzrost mu daje i młodość; bujny kędzior z głowy  
Rozsypie mu na barki, by kwiat hjacentowy.  
A jako cienkiem złotem srebro się obleka  
W rękę ucznia Hefajsta, cennego złotnika,  
Co z kruszcu tworzy dziwy — w takie same czary  
Obleka go bogini; i piękny bez miary  
Poszedł nad brzeg nadmorski i siadł w swojej krasie.  
Ujrawszy go, królewna wielce zdziwiła się;  
Więc po cichutku prawi do drużyny swojej:  
— «Słuchajcie-no, dziewczęta, tak mi się coś roi,  
Że nie wszystkich on bogów gniewem obarczony,  
Kiedy w błogosławione nasze zabiegł strony.  
Z początku zdawał mi się człowiek dość codzienny,  
A teraz jak bóg który, niebianin promienny.  
O, gdyby mi się trafił mąż, coby mu sprostał,  
Z młodzi naszej!... lub gdyby on sam moim został!  
Ależ jadło, napitek co tchu mu zaniesie!»

Na rozkaz pani żwawo kopną się niewieście:  
Niosą jadło i napój zastawiają przed nim;  
A Odysej zajadał i pił z niepoślednim  
Łakomstwem, bo nic w ustach nie miał już oddawna.

*Tłum. T. Sinko według L. Siemieńskiego.*

H E Z J O D  
(w. VII przed Chr.)

TEOGONJA  
(Ww. 116—210; 453—506)

Najprzód Chaos, a po nim Gaja<sup>1</sup> się wynurzy  
Z piersią szeroką; bogów to siedziba, którzy

<sup>1</sup> Gaja — Ziemia.

Na śnieżystym Olimpu<sup>1</sup> szczycie zamieszkali,  
 Lub w głębiach ziemnych, w mroku Tartarowej<sup>2</sup> dali.  
 Toż się Eros, wśród bogów najpiękniejszy budzi,  
 Co rozwiązuje członki, a u bóstw i ludzi  
 Wiąże serca i zdrowe ogłupia umysły.  
 Chaos zrodził Ereba i Noc, dwie ciemności,  
 Lec z Nocy Światło oraz Blask Dzienny wyblęsyły:  
 Oboje Gaja zrodziła z Erebem w miłości.  
 Najprzód niebo gwiazdziste urodziła Gaja,  
 Równie jej, gdyż ją wokół kryje i przystraja,  
 Wieczna siedziba bogów szczęśliwych. Z jej łona  
 Wstały góry, siedziba bogiń ulubiona;  
 I te, które w wąwozach chodzą nimfy hoże.  
 Później, już bez miłości, porodziła Morze  
 Puste, burzliwe; potem z Uranosem ona  
 Wydała Okeana, dalej Hiperjona,<sup>3</sup>  
 Dała byt złotej Febie i dzielnej Tetydzie<sup>4</sup>;  
 Po nich najmłodszy Kronos<sup>5</sup> wielce chytry idzie,  
 Syn straszny, gwiazdzistemu wstrętny rodzicowi;  
 I innych Gaja w związku z Uranem powiła:  
 Byli to wzrostem, siłą — nie określić w słowie —  
 Kottos, Bryjarej, Giges, zuchwali synowie.  
 Sto ramion niedostępnych każdemu spadało  
 Z ogromnych bar, pięćdziesiąt głów mu ponad bary  
 Wysterczało do góry: bezecneż ich ciał!  
 A moc miały okrutną te wstrętne poczwary;  
 Owe straszliwe dzieci Urana i Ziemi  
 Ojcu ich były zgóry już nienawistnemi.  
 Co który przyszedł na świat — światła mu zazdrości  
 I wraz napowrót wpycha go do matki łona,  
 I wielce go radują takie zelżywości.  
 Ale olbrzymia Ziemia, srodze obciążona,  
 Stęka i, radna, idzie po rozum do głowy.  
 Z błyszczącej stali oręż, potężny sierp toczy,  
 Ukochanym synom stawia go przed oczy  
 I, zachęcając czule, temi wzywa słowy:  
 «Dzieci moje i ojca srogiego! Jeżeli  
 Chcecie słuchać, pomścicie na nim sprośne czyny  
 I krzywdy, bo okropne ciążą na nim winy».  
 Rzekła, a oni wszyscy strwożeni milczeli.  
 Dopiero chytry Kronos, na to, co mówiła  
 Troskliwa matka, temi słowy się odzywa:  
 «Matko, ja się odważę i uczynię zadość;  
 Groźne imię rodzica nie trwoży mnie zgoła,  
 Skoro wina poprzednia o pomstę nań wola».  
 Tak rzekł. Gaja uczuła wielką w sercu radość,  
 Kryje go więc w alkierzu, ostry sierp podaje  
 W rękę i cały podstęp wyjawia mu śmiało.  
 Noc przyciągając, idzie wielki Uran. Gaję  
 Okrywa i w namiętny ima uścisk ciało.

<sup>1</sup> Olimp, góra w Tesalji, uważana za miejsce zamieszkania bogów.

<sup>2</sup> Tartar, podziemna kraina, miejsce pobytu bogów śmierci oraz dusz zmarłych ludzi; inaczej nazywa się Erebem.

<sup>3</sup> Uranos — niebo; Okeanos — rzeka opływająca ziemię; Hiperjon — ojciec słońca.

<sup>4</sup> Feba, matka Latony, babka Apollina; Tetyda (Tetys), żona Okeanosa.

<sup>5</sup> Kronos, ojciec Zeusa.

Wtem zagnał syn wyskoczy i lewą go dłonią  
Obejmie; długi ostry sierp chwyla prawica...

*Kronos kaleczy swego ojca, obcina mu kawał ciała; z krwi, która spłynęła na Ziemię,  
zrodziła Ziemia Erynję i Giganty; resztę obciętą Kronos wrzuca do morza...*

...aż się wzbila piana biała  
Wokół nieśmiertelnego ciała. Z niej powstała  
Dziewica, która naprzód Cyterejskie lany  
Zwiedziła boskie, potem Cypr wodą obłany;  
A gdzie pięknej, wspaniałej bogini nożęta  
Zgrabne stąpiły, trawa buchała na ziemi.  
Piankową Afrodytą ją bogi, a z niemi  
Ludzie przezwali, jako że z piany poczęta;  
Kwiecistą Cytereją, świadcząc o pobycie;<sup>1</sup>  
Cyprydą, że na Cyprze wykwitło jej życie.  
Eros jej i ładny Himer towarzyszą stale,<sup>2</sup>  
Bo zaraz w koło boskie dostawszy się, ona  
Zyskała cześć, i jej przypadło to w udziale,  
Pośród ludzi i bogów nieśmiertelnych grona  
Podniecać przymilenia dziewicze i względy,  
Dworować, schlebiać, budzić miłosne popędy.  
Dzieci, co rękę wzniosły w niegodziwym czynie,  
Rodzice, wielki Uranos, potępił surowo,  
Nazwał je Tytanami i prorocze słowo  
Wyrzekł, że ich w przyszłości zemsta nie ominie.

Rea Kronowa dzieci prześwietne zrodziła:  
Hestja, Demetra, Hera o obuwiu złotem;  
Hades, którego rządzi nieugięta siła  
Pod ziemią; Ziemotrząsiec,<sup>3</sup> co huczy z łoskotem  
Po morzach; i Zeus, ojciec tak bogów, jak ludzi,  
Który mocą piorunu lęk na ziemi budzi.  
Mocny Kronos pochłaniał dzieci, skoro matka  
Z łona świętego kładła mu je na kolana,  
Sądząc, że nad wieczystym kręgiem do ostatka  
Rządów nie ujmie w rękę nikt z rodu Urana:  
Bo gwiazdny Uran z Gają wieścili mu w czasie,  
Że z wyroku ulegnie własnemu synowi.  
Nie napróżno też czuwał, ale patrząc za się,  
Pożerał dzieci. Rea wrzała rozkrzyczana.

Aż gdy Zeus miał przyjść na świat, poszła do Urana  
I Gai z korną prośbą, by rodzice mili,  
Którzy jej dali życie, teraz poradzili,  
Gdzie i jak może dziecko ukryć onej chwili,  
Pomścić ojca i dzieci, które od świtania  
Życia ukryty Kronos wielki wciąż pochłania.  
Ci chętnie dali ucho swojej córce drogiej,  
Opowiedzieli, jaka dla wielkiego Krona  
I jego syna Zeusa doła wyznaczona.  
A gdy się już urodził ów syn, bóg nad bogi,  
Wysłali ją do Dyktos na szczęśliwej Krecie,  
I tam olbrzymia Gaja wzięła od niej dziecko,

<sup>1</sup> «Afrodyte» oznacza «z piany wynurzona»; Cytereja — od wyspy Cytera.

<sup>2</sup> Eros — miłość; Himeros — pożądanie.

<sup>3</sup> Neptun.

Aby się na kretańskich polach wychowało.  
 Tam ona w mroku nocnym stanęła nad skałą  
 Dikty i, niosąc boga rękami własnymi,  
 Skryła w grocie skalistej, w głębiach świętej ziemi  
 Góry Egejskiej, wokół ocienionej lasem.  
 Poprzedniemu zaś bogów władcyce tymczasem  
 Duży kamień w pieluszki dała owinięty,  
 Który on, wzięwszy w ręce, wnet wpuścił do brzucha.  
 Niebacznym! Nie rozpoznał on w przyćmieniu ducha,  
 Że to głaz. Syn zaś jego pozostał nietknięty,  
 Co siłą ręki ma mu wydrzeć panowanie,  
 A sam na czele wszystkich nieśmiertelnych stanie.  
 Rósł w siły, w piękność kształtów, przyszły władca świata.  
 Gaja, gdy tym sposobem upływały lata,  
 Dowcipnemi wybiegi sprawiła u Krona,  
 Że dzieci jej na światło znów wypuścił z łona,  
 Choć syn miał sztuką, siłą, wieść go do upadku.  
 Naprzód wypluł on kamień schłonięty na ostatku:  
 Zeus go rzucił na ziemię szeroką, wniź, w głębię,  
 W zacną dolinę Pyto, na Parnasu zrębie,  
 Gdzie ma dla ludzi dziwem być i znakiem święta.<sup>1</sup>  
 Zerwał z synów Urana, krewnych swoich, pęta,  
 Któremi ten niemądrze skrępował ich ciała.  
 Za to dobro też wdzięczność ich była wspaniała:  
 Dali mu błysk ognisty, grom a piorun srogi,  
 Które przezorna Gaja zaraz przechowała.  
 Ufny on w nie, panuje nad ludźmi i bogi.

*Tłum. K. Kaszewski.*

## ROBOTY I DNIE

(Ww. 1—105)

Muzy, pieśniami głośne! Z Pierji zbiegajcie,  
 Zeusa, ojca waszego, pieśnią uwielbiajcie!  
 Jak ludzie chwałą świetni i okryci cieniem  
 Słyną lub nie, na wielkie Zeusa skinienie.  
 Snadno wzmacnia on, snadno osłabia mocnego,  
 Snadno jasnego zaćmiewa, rozjaśnia ciemnego,  
 Snadno sprostuje krzywego, a dumnego zetrze —  
 Pan piorunów, co w górze osiadł, w powietrzu.  
 Usłysz, Wszystkowidzący! Miej sąd i opiekę,  
 Ty, Ojczel! A ja prawdę Persowi wyrzekę!<sup>2</sup>  
 Nie jeden Zwady rodzaj, lecz dwa jest na ziemi;  
 Jedną kto pozna — uczci zaletami swemi,  
 Drugiej jednak powszechna należy przygana;<sup>3</sup>  
 Przez nie myśl bywa w sprzeczne strony rozrywana.<sup>3</sup>  
 Starsza złą wojnę karmi i niezgodę budzi.  
 Okrutna! nikt z śmiertelnych nie kocha jej ludzi,  
 Lecz z potrzeby i z bogów nieśmiertelnych rady  
 Muszą szanować straszną potęgę złej Zwady,

<sup>1</sup> Pyto pod Parnasem, inaczej Delfy, wielka wyrocznia i świątynia.

<sup>2</sup> Perses, brat Hezjoda, pozwał go przed sąd o podział ojcowizny; Hezjod cały ten poemat skierowuje doń i poucza go.

<sup>3</sup> Zwada — Eryda; Hezjod uważa, że istnieje Eryda-klótnia i Eryda-rywalizacja; w «Teogonji» poeta zna jeszcze jedną tylko Erydę — Zwadę.

Bo ją dawniej z Erebem zrodziła Noc chmurna;  
 Młodszą zaś królujący w Niebie syn Urana  
 Osadził na korzeniach Ziemi, by jednak z niej  
 Ludziom rodził się owoc pracy jak najżyźniej.  
 Ona do robót zachęca nawet leniwego,  
 Co sam potrzebujący, spojrzy na plony drugiego,  
 Bogacza, co troskliwie orze, sieje, szeptę,  
 A dom i gospodarstwo układa najlepiej.  
 Zawistny sąsiad tam z sąsiadem wiedzie spory,  
 Gdzie chce dostatków szczodrych zbierać zbiory.  
 Dobra dla ludzi taka Zwada, gdy się zdarza:  
 Cieśla baczy na cieślę, garncarz na garncarza,  
 Żebrakowi zazdrości żebrak, a ku mecie  
 Nie daje się wyprowadzić poeta poccie.  
 Persesiel bądźżeż baczny i zważaj najściślej:  
 Niech ci od ziemskich robót nie odwraca myśli  
 Zwada, brojąca szkodę — bo ty pragniesz kłótni  
 I sądowe pieniactwa słuchasz tak ochotnie.  
 Mało jednak dla swarów i pieniactwa czasu,  
 Komu na rok żywności w domu brak zapasu,  
 Co jej dostarcza Ziemia w porze przyzwoitej,  
 Żebyś plowej Demetry<sup>1</sup> upominków syty  
 Wszczytnał waśnie i kłótnie o majątek cudzy,  
 Oraz by z tobą w sądach przegrywali drudzy.  
 Nie będzie ci się więcej tak czynić godziło:  
 Dziś sami naszą sprawę rozsądzmy zawila,  
 Zdajmy się na sąd słuszny tej sprawiedliwości  
 Najlepszej, co ją mamy z Zeusa opatrności.  
 Rozstrzygnęliśmy dawno dziedzictwo podziałem:  
 Tyś wiele gwałtem wydarł — jam przestał na małym;  
 Zbyt przez ciebie kadzeni byli dorożerni  
 Sędziowie, co rokować chcieli najniewierniej!  
 Nierozumni, nie wiedzą, ile sporszą bywa  
 Połowa, niż rzecz cała, kto w miarę zażywa,  
 Niżli wielkie te w ślazię i w szczawiu łakocie  
 Z pracy, niespragnionemu cudzego sierocie,  
 Bo przed słabymi ludźmi pokarm życia mnogi  
 W łonie ziemi ukryły wszechpotężne bogi,  
 Tak, iż łatwo, kiedybyś dzień jeden pracował,  
 Dość miałbyś na rok cały, choćbyś i próżnował.  
 Wnet susząc w dymie grządziel, skończyłbyś mozoły,  
 Ustałyby od robót twe muły i woły.  
 Ukrył przed ludźmi żywność bóg Zeus obrażony,  
 Bo był przez Prometeja<sup>2</sup> chytrego zwiedziony —  
 Stąd wynikły dla ludzi smutne w życiu troski,  
 A szkodą ich nawiedził gniew Zeusa boski. —  
 Zakazany był ogień, wszech rzemiosł podnięta;  
 Umiał go zręcznie wykraść zręczny syn Japeta,  
 Do użycia go ludziom przyniósł nieszczęśliwie  
 Od mądrego Zeusa w żłobionem łucywie,  
 Myśląc, że pan piorunów o kradzieży nie wie;  
 Lecz Zeus, co chmury zbiera, rzekł do niego w gniewie:

<sup>1</sup> Demetra — bogini personifikująca łan zboża.

<sup>2</sup> Prometeusz, syn Japetosa i Klimeny, dobroczyńca ludzkości, którą obdarował ogniem, oszukał Zeusa i został przykuty za to do skały, aż Herakles uwolnił go od męki.

«Zuchwały Japetydo! w podstępach ćwiczony,  
 Ty się cieszysz, żeś wykradł ogień zabroniony?  
 Rozumiesz, żeś oszukał w tem zamiary moje?  
 Wielkie to zło na ciebie i potomki twoje!  
 Za ogień dam im szkodę! Wszyscy ją polubią  
 I do serca przytulą zło, którem się zgubią!»  
 Rzekł król bogów i ludzi, rozśmiał się zarazem  
 I zlecił Hefajstowi niezłomnym rozkazem,  
 Żeby prędko rozmięczył wodą bryłę ziemi,  
 A głosem ją i mocą natchnął człowieczemi,  
 Żeby przez piękną, miłą i dziewiczą postać  
 Twarz jej mogła boginiom nieśmiertelnym sprostać.  
 Palladzie rzekł, by ją zdziałala robotną,  
 By nauczyła, jak ma tkać uroczyste płótno;  
 Złocistej Afrodycie, żeby jej do ręki  
 Podala kunszt, jak kolo głowy rozlać wdzięki,  
 By niespokojne żądze jej wznieciła w sercu,  
 I troskę o piększydla ciała, tej morderce;  
 A Hermesowi Argobójcy, posłańcowi, zlecił,  
 Żeby w niej skrę obłudy i bezwstydnosć wzniecił.  
 Rozkazał. A powolni byli wszyscy owi  
 Królowi Zeusowi Kronosa synowi.  
 Ulepił sławny Hefajst chromonogi z gliny  
 Osobę, do dorodnej podobną dziewczyny.  
 Modrooka Pallada wraz ją przepasała  
 I dowcipne roboty w ręce jej podała;  
 Otoczyła ją bogiń Charytek gromada,  
 Na wargach jej szanowna odpoczęła swada,  
 Szyję jej kanakami złotemi upstrzyły  
 Pięknowiąse Godzinki, skroń kwieciem zwieńczyły  
 Wiosennem, a te wszystkie ozdoby jej ciała  
 Sama Pallas Atena szlucznie upinała.  
 Wymowny Argobójca z Zeusowej porady  
 Zamknął w piersiach jej fałsz, pochlebstwo i zdradę.  
 Tak każdy dar swój na rozkaz Zeusa dokładał  
 Poseł bogów<sup>1</sup> i mowę tej niewieście nadał,  
 Nazwał zaś ją Pandorą,<sup>2</sup> gdyż wszyscy Niebianie  
 Obdarzyli to ludzi ciekawych skaranie.  
 Skoro tak nieuchronnej pokusy naprawa  
 I szkodliwe stworzenie ukończone stawa,  
 Każe ojciec rączemu bogów zwiastunowi  
 Nieść ją z puszką i oddać Epimetejowi.<sup>3</sup>  
 Epimetej zaś ani nie pomyślił wtedy,  
 Jak ostrzegał Prometej, iż jeśliby kiedy  
 Chciał go Zeus Olimpijezyk czem upominkować,  
 On nie miał upominku owego przyjmować,  
 Lecz natychmiast odesłać zpowrotem, by z tego  
 Nie wypadło dla ludzi śmiertelnych co złego.  
 On przyjął, a dopiero gdy zarazę groźną  
 Miał u siebie, pomyślał i uczuł, za późno.  
 Niedgdyś pierwotni ludzie, żyjący na ziemi,  
 Nie byli żadną w życiu nędzą utrapieni;

<sup>1</sup> Hermes, przezywany Argobójcą.

<sup>2</sup> Wyraz Pandora oznacza «wszystko» i «dary».

<sup>3</sup> Epimetej brat Prometeja; imię oznacza «późnomyślący».

Ani się trudną pracą targaly ich siły,  
 Ani bolesne i ciężkie choroby dręczyły,  
 Co smutną sprowadzały starość — bo najprędzej  
 Starzeją się śmiertelni w nędzy.  
 Lecz niewiasta wielkiej owej puszki wieko  
 Podniósłszy, wysypała klęski na Człowieka.  
 Srogich trosk był przyczyną błąd Epimeteja!  
 Sama tylko na spodzie zwodnicza Nadzieja  
 Pod nieprzełamanemi zamkami została,  
 A nawierzch z innem lichem wraz nie wyleciała,  
 Bo Zeusowi, co chmury zbiera, podobano,  
 Żeby ją wieko puszki w środku przytrzymało.  
 Odtąd pomiędzy ludźmi błąka nieszczęść wiele,  
 Pełno ich się na lądzie i na morzu ściele.  
 Oblega ludzi mnóstwo chorób i niemocy,  
 Co same napastują i we dnie, i w nocy,  
 A milcząc ranią, ni kto słyszy szczęk ich ciosu,  
 Bo Zeus je nieme stworzył i pozbawił głosu;  
 A tak żaden śmiertelny człowiek nie unika,  
 Co mu wyznaczy wyrok Zeusa Poradnika.

*Tłum. Jacek Przybylski  
 Popraw. M. St. Popławski.*

## LIRYCY

KALLINOS

(w. VII przed Chr.)

DO BRONI!

Więc kiedyż się raz ockniesz do chrobrzego czynu,  
 Gnuśna młodzi? — Podlego nie wstydzisz się gminu,  
 Gnijąc w słodkiem marzeniu, że to pokój błogi,  
 Gdy kraj cały objęły wojenne pożogi?

I konając, wrogowi mignij kopją w oczy.  
 Chwała wielka mężowi, co krwawy bój toczy  
 Za kraj ojczysty, dziatki i małżonkę ślubną.  
 Śmierć zaś — wtedy się zjawi, kiedy nitkę zgubną  
 Wysnuje Mojra. A więc, hej wiara, do bronii!  
 Wgórę kopje, tarcz niechaj lwie serce zasłoni,  
 I tak pędźcie odważnie na bojowe tany.  
 Bo człowiek nie uniknie śmierci obiecanej,  
 Choćby miał przodków nawet pomiędzy niebiany.  
 Tchórz wojennej unika wrzawy, kopij łomu:  
 Śmierć go nieunikniona namaca i w domu.  
 Tchórz umrze — nikt w ojczyźnie nie poczuje straty.  
 Umrze bohater — płacze biedny i bogaty.  
 Śmierć jego cały naród żalobą okryje;  
 Jak półboga rodacy wielbią, póki żyje.  
 Jakby na wieżę rzesza nań patrzy zdumiona,  
 Bo w czem wielu się poci, sam jeden dokona.

*Tłum. J. Czubek.*

## TYRTAJOS

(w. VII przed Chr.)

## POBUDKA BOJOWA

Chwała temu, co walcząc za ojczyste łany  
 Bohaterem na czele, legnie pokonany.  
 A hańba wieczna temu, co matce ojczyźnie  
 Poda tyły i chleba, ojcem, — z dziatkami na grzbiecie  
 I ze ślubną małżonką włóczy się po świecie.  
 Niemiły gość, zaprawdę, kędykolwiek przyjdzie,  
 Kto się poddał ubóstwu i sromotnej biedzie;  
 Plami ród, własną piękność taki tułacz kala,  
 I wszelkie zło i hańba wszelka nań się zwała.  
 Więc gdy nigdzie wygnańca życzliwość nie spotka,  
 Ni cześć, ni litość ludzka, ni pociecha słodka,  
 Walczmy mężnie za drogą ojczyznę i dziatki,  
 I krwi naszej, gdy trzeba, wylejmy ostatki.  
 Walczcie dzielnie, młodzieńcy! ramię do ramienia!  
 A bójcie się uciezki, bójcie pohanbienia!  
 Nabierzcie ducha! Śmiało się stawcie potrzebie,  
 Myślcie, jak gromić wroga, nie ratować siebie.  
 A starszych towarzyszków, co im w członkach stawy  
 Wiek zwątlil, nie odbieźcie wśród krwawej rozprawy.  
 Hańbaby była, gdyby pośród dzielnej wiary  
 Przed młodszymi druhami legł wojownik stary,  
 Co mu brodę i włosy srebrzy szron siwizny,  
 Leżał w kurzu, konając, wieczny syn ojczyzny,  
 Wstyd krwią oblany ręką zasłaniając oku —  
 O, jakże pali hańba takiego widoku! —  
 Gdyby tak nagi leżał! — Młodym zaś przystoi  
 Wszystko, póki urocze kwiecie młodość stroi:  
 Bohater — dziw dla mężów, ulubieniec dziewic,  
 Póki żyw — gdy polegnie, piękny jak królewic.  
 Więc stójcie jak mur, w ziemię niech wryje się noga,  
 We wargę zatopi ząb! — Tak czekajcie wroga!

*Tłum. J. Czubek.*

## MIMNERMOS

(w. VII przed Chr.)

## STAROŚĆ

Jako liście na wiosnę pięknie się zieleni,  
 Gdy je zleją potoki słonecznych promieni,  
 Tak nam cudnej młodości krótko pachną wonie.  
 I nie wiemy, co bogi chowają tam w łonie:  
 Dobre czy złe; tuż stoją dwie kary okrutne:  
 Jedna starości dary pokazuje smutne,  
 A druga śmierć — i młodość nam migiem przeleci,  
 Jak po niebie słoneczko, co śmiertelnym świeci.  
 A kiedy już młodości piękne miną chwile,  
 Bodaj umrzeć i w cichej, ach, spocząć mogile.  
 Bo krocie nędz nas czeka: jeden mienie straci,  
 Bieda w domu się zjawia w okropnej postaci.

Tamtem pragnie znów dziełek; ale trudna rada:  
 Z głodnym robakiem w sercu zstępuje do Hada.  
 Innego żre choróbsko — i każdy ma mola,  
 Co go gryzie i trapi: taka Zeusa wola.

*Tłum. J. Czubek.*

## SOLON

(w. VII—VI przed Chr.)

### ŻYCIE LUDZKIE

Mnemozyny i Zeusa córy, piękne panie,  
 Co władacie w Pierji, słyszcie me błaganie.  
 Niech mnie bogowie darzą opieką łaskawą,  
 A u ludzi się cieszę zawsze dobrą sławą.  
 Niech druhom zawsze miły będę, wrogom wrogi;  
 Tamci niech mnie kochają, ci doznają trwogi.  
 Majątek niech mam, ale uczciwie zebrany;  
 Zbrodniarz nigdy nie ujdzie kary obiecanej.  
 Bo ten, co bogi dadzą, podobny kolumnie,  
 Co na pewnej podstawie czoło wznosi dumnie;  
 Żle nabyty, choć go ludzie czcią otoczą,  
 Jest złym sługą, co nigdy nie słucha ochoczo,  
 I prędko do ostatniej prowadzi ruiny.  
 Złe z początku jak iskra, potem płomyk siny,  
 A w ostatku ognistą rozlewa się strugą,  
 Krzywdą nigdy śmiertelni nie cieszą się długo.  
 Nad końcem rzeczy ludzkich czuwa Zeus zgóry,  
 I nagle — jak na wiosnę wiatr rozgania chmury,  
 Co szumiącego morza jałowe otchłanie  
 Do dna zarywszy, zboże powala na łanie,  
 Niszcząc pracę rolnika — i w niebo wstępuje,  
 Bogów siedzibę — znów się błękit pokazuje,  
 Słońce na tłustą ziemię znowu świeci zgóry,  
 A na czystych niebiosach ani jednej chmury —  
 Tak i Zeus zsyła pomstę — niezawsze i wszędzie  
 W pierwszym, jak człek śmiertelny, namiętym zapędzie.  
 Nikt przed nim nie uciecze, kto zły i nieprawy:  
 Złe zawsze na ostatku wychodzi na jawy,  
 Prędzej czy później kara dosięgnie zbrodniarza.  
 Bo chociaż winny ujdzie, jak się i to zdarza,  
 Karzącej ręki bogów, pomsta nie przepada,  
 Lecz na działki niewinne i na wnuki spada.  
 I wielcy, i maluczcy wszyscyśmy jednacy:  
 Póki dobrze, my śmiałki, chępliwi junacy;  
 A gdy spadnie nieszczęście, wnet rozpacz bez miary,  
 A przedtem nas bawiły czcze, zwodnicze mary.  
 Kogo trapi choroba, temu tylko w głowie,  
 By co prędzej odzyskać utracone zdrowie.  
 Tchórz chce być bohaterem; piękności znów czaru  
 Pragnie, kto od natury nie wziął tego daru.  
 Nędzarz, którego przykre ubóstwo przygniata,  
 Marzy wciąż o bogactwach i tak biedę lata.  
 Biedzim się wszyscy: jeden po rybnym przestworze  
 Błąka się, by zysk przywieźć do domu przez morze;

Nie odstraszy go burza, huraganów wycie:  
 On dla milego grosza narazi i życie.  
 Za grosz wyrobnik co rok w ogrodzie pracuje,  
 Rolnik znów żyzną ziemię krzywym plugiem pruje.  
 Hefajsta lub Ateny tamten zna kunszt przedni  
 I swem rzemiosłem na chleb zarabia powszedni.  
 Innemu znowu Muzy, niebieskie dziewice,  
 Dały złotej mądrości badać tajemnice.  
 Z innego robi Apollin wróża, co odgadnie  
 Nieszczęście, choć dalekie, choć nieprędko spadnie;  
 Nad nim opieka bogów — alie przeznaczenia  
 Ni ptak wróżebny, ni krew ofiarna nie zmienia.  
 Uczeń mistrza Pajana cierpienia łagodzi;  
 I tego nieraz koniec dotkliwie zawodzi.  
 Nieraz małeńka słabość w wielki ból się wzmoże,  
 I żaden lek gojący na to nie pomoże.  
 Czasem znów straszne kurcze i nieznośne męki  
 Leczy jedno szczęśliwe położenie ręki.  
 Złe i dobre śmiertelnym Mojra zsyla z nieba,  
 A co bogi przeznaczą, karnie przyjąć trzeba.  
 Wszędzie czyha nieszczęście, a człowiek nie zgadnie,  
 Gdy rozpoczyna dzieło, jak koniec wypadnie.  
 Bo choć kto dobrze zacznie, ani się obaczy,  
 Jak wpadnie w czarną otchłań bólów i rozpaczy.  
 Inny rzuci się oślep — a no, szczęście złote  
 Daje łaskawe bóstwo, wspierając głupotę.  
 Ma kto majątek, nie zna ni końca, ni miary:  
 Im hojniej kogo los obsypie swemi dary,  
 Tem więcej jeszcze pragnie — i wiecznie niesyty.  
 Z nieba — łaski śmiertelnym płynie źródł obfity;  
 Nieszczęścia sami w sobie nosimy przyczyny,  
 A Zeus je spuszcza to tu, to tam, karząc winy.

*Thum. J. Czubek.*

## TEOGNIS (w. VI przed Chr.)

### WDZIĘCZNOŚĆ

Złym dobrze świadczyć — praca stracona i marna,  
 Jakgdybyś na dno morza złote rzucał ziarna.  
 Bo jak kto sieje w morze, żniw się nie doczeka,  
 Tak samo i wdzięczności od złego człowieka.  
 Serce złego niesytle: jedno zapomnienie  
 Wszystkie przeszłe usługi z pamięci wyżenie.  
 Dobrzy w żarty obróca, choć ból łzę wykręci,  
 A przysługi we wdzięcznej chowają pamięci.

### KREW SZLACHETNA I PODŁA

W koniach, orłach, baranach każdy chętnie szuka  
 Krwi szlachetnej, krwi dobrej — dla ludzi nauka!  
 Lecz szlachcic dziewki z gminu pojąć się nie wstydzi,  
 Skoro tylko majątka, skoro posag widzi.  
 Niewiasta za podłego bogacza z ochotą  
 Wychodzi, bo nad cnotę wyżej ceni złoto.

Pieniądz — wszystkim; więc z podłą szlachetny pan młody  
 Żeni się i naodwrot; złoto równa rody.  
 Nie dziw, że tyle rodów marnieje i ginie:  
 Krew w nich szlachetna z podłą pomieszana płynie.

*Tłum. J. Czubek.*

## ARCHILOCHOS

(w. VII przed Chr.)

### POETA I ŻOŁNIERZ

Żołnierz z pod Eugala znaku i sztandaru,  
 I Muz się nie wypieram uroczego daru.  
 W mej kopji mój chleb i wino z Ismary;  
 Wsparty na kopji, piję wino z czary.

### PO POGROMIE

Niech się tam jaki Lajan piękną tarczą chwali,  
 Com ją w krzakach porzucił, gdyśmy uciekali.  
 Milsze życie! Co mi tam! jedną tu zostawię,  
 Drugą sobie wnet sprawię, jeszcze lepszą sprawię.

### ZDAJ SIĘ NA BOGÓW

Zdaj się z wszystkim na bogów; o, bo nieraz bogi  
 Męża ze ziemi czarnej podniosą na nogi;  
 To znów, kogo wysoko wyniesie los błogi,  
 Zwali nieraz grom bogów i w proch nisko strąci,  
 I torby da żebracze, i rozum zamąci.

*Tłum. J. Czubek.*

## SYMONIDES Z AMORGOS

(w. VII przed Chr.)

### ŻYCIE LUDZKIE

Synu, końcem wszech rzeczy Zeus, co gromem włada.  
 Jego wola porządek na świecie układa.  
 Świat jest głupi: bo ludzie swój żywot powszedni  
 Pędzą jako bydłęta, bezmyślni, bezwiedni,  
 Jaki los z nich każdego z ręki bogów czeka.  
 Lecz nadzieja każdego ożywia człowieka,  
 W pogoni za tem, co się przenigdy nie stanie:  
 Ten za dzień, tamten za rok kres przeznacza zmianie.  
 Każdy marzy, że za rok w szczęściu pływać będzie,  
 Ze bogactwa i skarby bez miary posiędzie.  
 Alie tego za wcześniej przykra starość zmoe,  
 Tamtego słabość rzuci na boleści łoże.  
 Innego znów na wojnie Ares zgniecie w prochu  
 I wtrąci bez litości do ciemnego lochu.  
 Inni grób znajdują na dnie słonych wód przestrzeni,  
 Pięścią wichury w ciemne otchłanie wtrąceni,  
 Gdzie dech z nich niezadługo ostatni wylata.  
 Drugi znów dobrowolnie schodzi z tego świata,





## PIJMY

Pijmy! co czekać, aż nam zaświecą:  
 Drogie dnia chwile migiem przelecą,  
 Dawaj puhary! dawaj brzuchate!  
 Bakchos dał wino, aby rogate  
 Odpędzać troski i słodzić dolę,  
 Więc lej mi jeden, lej dwa, pacholę,  
 Lej mi pacholę po brzeg kielicha,  
 A zawsze kielich niech kielich spycha.

## ALKAJOS DO SAFONY I ODPOWIEDŹ

— Gdy twe włosy fiołkowe, gdy uśmieszki twe miodowe,  
 Ciebie, czysta Safo, widzę: chciałbym coś rzec, lecz się wstydzę.  
 — Byś miał zacną myśl, lotrzyku, a nie złego na języku,  
 Tobys się ty nie rumienił, prawdę śmiałybys wymienił.

*Tłum. J. Czubek.*

## IBYKOS

(w. VI przed Chr.)

## WIOSNA

Patrz! na wiosnę kielońskie jabłonie rozsiewają wonie,  
 A strumyczek bieży, szemrząc spodem, panińskim ogrodem;  
 Tam na wiosnę z dziewic czystych sadu, z cienia winogrodu  
 Młode gronko wygląda oczyma; u mnie — wiosny niema,  
 U mnie — miłość nigdy nie spoczywa, lecz ciągle się zrywa,  
 Jak huragan, co w trackiej ziemiicy, zrodzon z błyskawicy,  
 I szal dziki rozpala odrazu z Kipydy rozkazu;  
 I dreszcze mi wzburzają krew wrzącą, i serce mi mącą.

*Tłum. J. Czubek.*

## ANAKREONT

(w. VI przed Chr.)

## WZGARDZONA MIŁOŚĆ

Eros złoty na mą szkodę  
 Barwną piłką we mnie godzi,  
 Bym pokochał dziewczę młode,  
 Co w trzewiczku krasnym chodzi.

Ona z Lesbos — więc nie dziwy:  
 Gród tam piękny, a więc harda;  
 Mój włos siwy, więc mu wzgarda:  
 Ktoś tam inny już szczęśliwy.

## SKARGA

Moje włosy — ach! już białe,  
 Moja broda — ach! już siwa,  
 Zębów rzędy już nie całe:  
 Gdzie ma młodość, gdzie szczęśliwa?  
 I jasności tej słonecznej  
 Już mi wiele nie sądzono;

I płacz bierze mię serdeczny,  
 Bo mi straszne ziemi łono.  
 Ach, bo straszna, straszna droga  
 W loch okropny i daleki!  
 I jak łatwo schodzi noga —  
 Tak nie wróci już na wieki.

## PIEŚŃ BIESIADNA

Niech przyniesie dzban chłopczyną, Bo chcę ciągnąć pełne łyki; Niech dwie części leje wina, Wody cztery da poniki. Niech radością serce wzbierze, Niech pohulam znów, a szczerze.	Ale precz niesforne krzyki, Jakie lubi Scyta dziki, Gdy się spije bez pamięci: Nam, gdy w głowie się zakręci, Czar piosenki niech się święci!
--	---

## NAGROBKI

— Za Abderę Agaton legł na polu chwały,  
I przy stosie go głośno płakał naród cały;  
Nigdy jeszcze młodziana nie zmógł Ares krwawy,  
Coby mu zrównał w wierze gorącej rozprawy.  
— Bohater był Tymokryt; ten pomnik go sławi.  
Ares tchórza oszczędza, bohatera dlawi.  
— I ciebie, Klenarydzie, zabiła tęsknota  
Za ojczyzną; tyś wichru nie uląkł się Nota.  
Wrogiem była ci zima; szumiące bałwany  
Stłumiły ci żywota kwiatek młodociany.

*Tłum. J. Czubek.*

## ANAKREONTYKI

## BRONŃ KOBIETY

Twarde rogi wzięły tury, koń kopyta od natury;  
Zajac skoki niedosiężne, lew pazury wziął potężne.  
Ptakom lotne dała pióra, rybom płetwy mać natura;  
Mąż rozsądek wziął z jej ręki, a kobieta? — tylko wdzięki.  
Mało wzięła, ale starczy za hart miecza, za spiż tarczy:  
Stal i ogień — wszakże wiecie — niezem przy pięknej kobiecie.

## ZŁOTO I MIŁOŚĆ

Źle mieć serce jak kamienie; źle, kiedy się miłość skleci;  
Lecz najgorzej już — szalenie zakochać się bez nadziei.  
Bo czy przodków szereg długi, serce, mądrość, czy zasługi,  
Nic w miłości to nie znaczy: miłość tylko złota patrzy.  
Bodaj się był zapadł w ziemię człek, co pierwszy grosz polubił:  
Ojców nie czci młode plemię, brat niejednego brata zgubił.  
Grosz to cheiwy, niespokojny, rodzi waśnie, krwawe wojny;  
Lecz największa ta sromota, że w kochaniu nic bez złota.

*Tłum. J. Czubek.*

## SYMONIDES Z KEOS

(w. VI—V przed Chr.)

## TERMOPILE

O, jakże wielki, szczęśny, wspaniały  
Los termopilejskich rycerzy!  
Ich grób — świątynia, lzy — pomnik chwały,  
Żal ziomek — wawrzyn wciąż świeży.

Grób taki z wieków drwi poniewierzy,  
 Rdzy nie zaszkodzą mu jady;  
 Na grobie, w którym śpią bohaterzy,  
 Usiadła chwała Hellady.  
 Świadkiem Leonid, Sparty król dzielny,  
 Co w Pylskiej poległ cieśninie:  
 Grób mu ocienia laur nieśmiertelny,  
 I pamięć o nim nie zginie.

## LOS CZŁOWIEKA

Ach, jakże słabi są ludzie! troska ich nęka niesyta;  
 Krótki czas znoją się w trudzie, a śmierć nad karkiem niezbyta.  
 Wszyscy jej lupem; nie pomogą modły:  
 Śmierć nie przebiera, szlachetnyś, czy podły.

## NAGROBKI

— Pod Maratonem Aten bohaterzy mężne  
 Stańli murem w obronie Hellady  
 I, walcząc, porazili na głowę potężne  
 Medów od złota kapiące gromady.  
 — Tutaj cztery tysiące Greków bohaterskich  
 Naprzeciw trzech stanęło milionów perskich.  
 — Przechodniu! powiedz Sparcie: tu leżym jej syny,  
 Prawom jej do ostatniej posłuszni godziny.  
 — Zwierz najmocniejszy na tym grobie leży;  
 W nim najmocniejszy spoczywa z rycerzy.  
 — Anakreont tu z Keos, śpiewak Muzom miły,  
 Nieśmiertelny, spoczywa w łonie tej mogiły.  
 O miłości on słodkiej układał piosenki,  
 Żar Erosów w nie lejąc i Charytek wdzięki.  
 Jeden u Acheronta narzeka w tęsknicy,  
 Nie że słonka nie widzi z letejskiej ciemnicy,  
 Lecz że mu Megisteja u Hada nie stanie,  
 Że Smerdyśa opuścić musiał, swe kochanie.  
 Lecz pieśni nie zapomniał słodkiej i pieszczonej:  
 I tam jeszcze dobywa z lutni dźwięczne tony.

*Tłum. J. Czubek.*

## PIEŚŃ LUDOWA

## (JASKÓŁKA)

Jaskółeczka leci, leci, już na dworze słonko świeci;  
 Jaskółeczka przyleciała, wierzchem czarna, spodem biała.  
 Wynoś, wynoś placek spory z pełnej komory!  
 Wynoś wina też beczułkę, sera gomółkę!  
 Znajdzie-li się chleba bułka — przyjmie jaskółka;  
 Nie odrzuci też kołaczy — dać-li kto raczy.  
 Jakże, dasz co? bo czekamy; czy też z niczem odejść mamy?  
 Dasz co — dobrze! a kto nie da — będzie z nim bieda.  
 Drzwi od izby wylamiemy razem z odrzwiami!  
 Z izby żonkę ci porwiemy — musi iść z nami!  
 Mała — więc ją weźmiem snadnie, gdy na to padnie!  
 Daj, masz-li dać, nie przebieraj, jaskółeczce drzwi otwieraj!  
 Albośmy to dziady siwe, nie chłopaki urodziwe?

*Tłum. J. Czubek.*

## PINDAR

(w. VI—V przed Chr.)

OLIMPIJSKA ODA TERONOWI AGRYGENCYŃSKIEMU, ZWYCIĘZCY W ZAWODACH  
WOZOWYCH*Strofa 1.*

Mocarko lutni, poczjo błoga!  
 Jakiego boga,  
 Jakiego męża, co za heroja  
 Uwieńczy odezwa twoja?  
 Zaprawdę Zeus Pizy panem,  
 Dzielny Alcyd, stwórzyciel olimpskiego znoju,  
 Pierwiastków boju.  
 Lecz głos nasz zabrzmiał dla Terona sławy,  
 Co kresu czworosprężnym doleciał rydwanem;  
 Gościnniej cnoty lubownik prawy!  
 AgrygencyŃskiej krainy  
 Filar niezłomny,  
 Dźwigacz kraju wiekopomny,  
 Zorza zacnoimiennej naddziadów rodziny!

*Antystrofa 1.*

Którego mnogie umysłem zwalczywszy przeszkody  
 Święte nad rzeką posiadali grody,  
 Czujne źrenice niwom Sykulowym.  
 Żywot im towarzyszył w pomyślność okwity,  
 Znoszący skarb i głośnie zaszczyty  
 Cnotom rodowym!  
 Lecz Kronowy Rei synu!  
 Górnego władco błękitu,  
 Co i Alfejskiego plynu,  
 I zawodów strzeżesz szczytu!  
 Pieśniami wieszczą błagany  
 Słusznej ich potomków sprawie  
 Chowaj laskawie  
 Dziedziczne łany!

*Epoda 1.*

Czyli prawnie zdziałanych, czy nieprawnych rzeczy,  
 I sam czas wszytkorodny smutków nie zniweczy.  
 Z błogą zaś nieraz dołą niepamięć przybyła:  
 Bo życzliwszemi uciechy słoczona,  
 Nieprzyjazna gorycz kona.

*Strofa 2.*

Gdy wola bogów  
 Do czyich progów  
 Dźwignioną dołą posyła!  
 Szczęśliwość zsyła!  
 Tą koleją i Kadma dziś wieczne dziewoje  
 Uporczywe z chłoszczącym losem wiodły boje.  
 Bystro mordercze pierzechają kłopoty  
 Przed dóbr walniejszych przybyciem.  
 Kwitnie olimpijskiem życiem  
 Spólniczka Niebian wesela,  
 Piorunowemi łaskoty

Przebita w poranku wiosny  
 Powiewnowłosa Semela.  
 Kocha ją Pallas wiecznie,  
 Kocha ojciec Zeus serdecznie,  
 Kocha i syn bluszczonośny!

*Antystrofa 2.*

A głoszą, jak z Nereja cór mokrą drużyną  
 Po wszystkie czasy żyje dni radośnie Iro,  
 Nigdy oko znikome nie dobiega końca,  
 Co doczesnych chwil granicą:  
 Nie zna słodkiej godziny, cichej córy słońca,  
 Kiedy nas sytych szczęścia grobowce pochwyć.  
 A tu kolejną falą  
 I lechtające ułudy,  
 I bólem brzemiennie trudy  
 W człowieka wałą.

*Epoda 2.*

Tak i wyrok, co chociaż przeszłe waszych sprzęga  
 Losy dziadów, Teronie, z niebieską błogotą;  
 Przecież niewinne wnuki nierzadko dosięga  
 Najdrapieżniejszą zgryzotą,  
 A która jednak długo nie dosiedzi,  
 Odkąd fatalny zabójca  
 Dni zerwał Lajosa ojca:  
 Ziścił Pytona stare przepowiedzi.

*Strofa 3.*

Na co razem strzeliwszy, Tyzyfona wściekła  
 Z dzielnego mu potomstwa bratni duch wywlekła.  
 Został po zgasłym Tersandr Poliniku —  
 I w zawodnym młodzi szyku,  
 I wśród oręża sławiony pogromu,  
 Zasilna różdżka Adrastydów domu!  
 Skąd przed ciągnącym rodu osnowy  
 Dalej dziś, Muzo, Teronem  
 Z powiewnemi hymnów słowy  
 I złotym wystąpi bardonem.

*Antystrofa 3.*

Wszakże sławę powitał na Pizańskim błoniu,  
 A niesporne Charyty dla zwycięzcy brata,  
 Dla mężnego kwiat wdzięczny zniosły Ksenokrata,  
 Gdy na czworosprężnym koniu  
 Dwanaściekroć w lotnym gonie  
 Wymierzył trudne ścieżki w Istmie i Pytonie.  
 Nie zna młotu udręczeń, kto w zawodów szranki  
 Wszedłszy z chwałą, zaszczytne skroni podał wianki,  
 Dostatek cnotami zdobny,  
 Do sławy w piersiach żądze budzący myśliwe.

*Epoda 3.*

Wszelkiemu dokonaniu ściele tor sposobny:  
 Jasna gwiazda, człowieka światło niekłamiwe!  
 Kto je posiadał, zna przyszłość, jak ciężkie katusze  
 Schwycą po nędznym zgonie niepobożną duszę,  
 Jak na tem Zeusa państwie brojone szkarady  
 Pod ziemią twardem prawem zmierzy Sędzia błady.

*Strofa 4.*

Lecz równem w noc i we dnie przyjaciele cnoty  
 Ciesząc się słońcem, łatwe spędzają żywoty:  
 Nie rwą wdzięcznymi siły matki Iona czarnej,  
 Ni słone drażnią gniewy dla żywności marnej.  
 A kto się mocą przysięg cieszył światłobliwy,  
 Ten z bogów przyjaciół ma wiek nieptacziwy.  
 Lecz tamci, aże oko nie pojrzy bezkarnie,  
 W tak strasznej giną męczarni.

*Antystrofa 4.*

Kto zaś kolwiek w trzykrotnym tu i tam pobycie  
 Niezwichrzzone zbrodniami wprowadził życie,  
 Taki Zeusowemi drogi  
 Zaszedł w Kronowy gmach błogi,  
 Kędy wyspę wybrańców, oceanu córy  
 Lekkiemi tchnące Aury przebiegają pióry:  
 Wszędy kwiecie złotem plonie,  
 Inne na wonnej zieleni Ionie,  
 Inne gałązka rozwija,  
 Inne modra toń wybija,  
 A oni uplotami swe wieczyste skronie  
 I święte obwodzą dłonie.

*Epoda 4.*

Jako im mądry Radamantys radzi,  
 Którego ojciec Kronos, mąż dostojnej Rei,  
 Dzierżącej tron ze wszystkich najwyższy, zkolei  
 Chętnego zasiadacza tuż przy sobie sadi,  
 Śród tej Kadmus i Pelej jaśnieją zaciszy;  
 I Achilla przywiodła, skoro matka dumne  
 Kronidowe modłami serce ukolyszy.

*Strofa 5.*

Co zgniótł Hektora, Troi niewstrząsłą kolumnę  
 Zwalil Cykna i Jutrzni synowi czarnemu  
 Ukazał głębie Podziemiu.  
 Niemala spoczywa u mnie  
 Lotnych pod łokciem strzał w śmiałym sajdaku,  
 Co brznią jaśnie dla uszu myślących rozumnie,  
 A są głuchą zagadką dla gminnego braku.  
 Prawy mędrzec naturą odziedziczył wiele,  
 Ssący bez daru pokarmy nauki,  
 Mocni gardłem jako kruki wrzeszczą, jałowi  
 Przeciw boskiemu orłowi.

*Antystrofa 5.*

Dalej duszo! k'celowi tuk wyginaj tęgi!  
 Kogóż uderzym beltem przyjacielskiej chęci?  
 Do Agrygentu twój się lot skręci,  
 Kędy wagą niecofnej stwierdzono przysięgi,  
 Powiem — słowa szczeremi usty, że lał na sto  
 Żadne nie powiło miasto, żadna kraina sławiona  
 Łaskawszego od Terona, hojniejszego od Terona.

*Epoda 5.*

Lecz na pochwałę nierzadko wpada  
 Z krwawą pięścią zawiść błada,

Co nie drogą prawą kroczy,  
Lecz od wicherzącej burzycieli zgrai  
Z tajonej pchnięta uboczy,  
Ostre razy daje  
I dysze, by szlachetne wielkich mężów dzieła  
Ze szczytów blasku zepchnęła.  
Że zaś ulotny piasek pokona rachuby,  
Skąd i Twoje, Teronie, górujące chluby,  
Któreми światu uweselasz czoła,  
Któż z ziemi policzyć zdoła?

*Tłum. J. Wernikowski (1824).*

### BAKCHYLIDES

(w. V przed Chr.)

#### TEZEUSZ

(Dytyramb)

Chór.

Królu Aten, świętego grodu, rozkoszom powolnych władcó Jonów! Czemu pieśni bojowej gromem ozwała się trąba, miedzią dzwonna? Mąż-li, hufców orężnych wódz w ziemi naszej granice wtargnął, zionący gniewem wróg? Lub grabieżca, pasterzom wbrew, gwałtem niecnym złupione trzody pogna-li przed sobą precz? Cóż ci troską napelnia serce? Odpowiedz! Do boju chętnej młodzi huf, jeśli miał kiedy ziemski mąż, ty go myślę dzisiaj masz, zacna krew Pandjona i Kreuzu.

Egeusz.

Gonicc w gród nasz zawitał, długą stopami przemierzył Istmu drogę; wieść o męża-mocarza czynach nadludzkich przynosi: «Synis — rzece — Ziemiotrząscy zuchwały syn,<sup>1</sup> wśród śmiertelnych najpierwszy siłą, pod ciosem jego legł; w Kremijonu parowach dzik-mężobójca zasieczon, załit i Ekiron, okrutny zbój; Kerkjona boisko wzięte; z omdlałej wypuścił dłoni ciężki młot Prokrust krwawy, gdy zjawił się mąż, nad jego wyższy moc...» Strach mi: czem się to skończy, co się spełni?

Chór.

Któż ten mąż, jaki kraj go rodzi; z jaką przybywa do nas świętą? Czy do walki orężnej gotów, rycerzy zastępy wiedzie zbrojne? Czy samotny, z niewielą sług, niby błędny wędrowiec, kroczy w nieznany, obcy kraj? Mąż waleczny, niezłomnych sił pełen, w boju mocarzy tyłu pogromca, nieświadom trwóg? Snać posyła go bóg, by sądy nad złymi sprawował ludźmi... Trudno wszak temu złego uniknąć, kto zło ustawnie czyni sam. Wszystko w długim pochodzie lat się spełnia.

Egeusz.

Dwóch ma jeno przy boku mężów; przez ramię, urodą jaśniejące, miecz o główni ze słoniowej kości; gładzone dwie włócznie niesie w dłoni, zaś lakońskiej roboty szłom płowowłosą mu zdobi głowę. Purpurą lśniące gźło kryje pierś — i kosmaty płaszcz, w ziemi tkany tesalskiej. W oczach krasnemi się błyski skrzy Lemnu płomień. Z chłopięcia ledwie wyrasta, lecz gier Aresa świadom jest; poznał krwawy wojenny trud i spiżowy bitwy zgiełk. Cel zaś drogi — stolica chwał Ateny.

*Tłum. S. Srebrny.*

<sup>1</sup> Synis, syn Pozejdona Ziemiotrząscy, inaczej Zginacz Sosen, był to pierwszy wróg ludzkości, pokonany przez Tezeusza.

## ESCHILOS

(525—456 przed Chr.)

## AGAMEMNON

[Pierwsza część trylogii p. t. «Dzieje Orestesa»]

*Osoby dramatu: Agamemnon; Klitemestra; Egistos; Kasandra; Posel; Stróż; Chór Mężów Rady Argiwskiej; Świła Agamemnona, Klitemestry i Egistosa.*

Fragment I, ww. 1—81

*Ściana tylna sceny przedstawia zamek Atrydów w Argos. Przed zamkiem szereg ołtarzy i posągów bóstw. Na dachu przechylony ku przodowi*

Stróż:

Ach! skończcie raz już, proszę, bogowie, tę nędzę!  
Przez cały rok na dachu Atrydowym pędzę  
Psie życie, strażujący — istny kundel dziki.  
Aż nadtom ci już poznał nocne gwiazd sejmiki,  
Wyliczyć mogę wszystkie te jasne wielmoże,  
Władzące w tym powietrznym nade mną przestworze;  
Wiem, które dają ciepło, które zimę rodzą,  
I w jakiej wschodzą chwili, a w jakiej zachodzą.  
I teraz pilnie baczę z tej strażnicy mojej,  
Czy wieści mi nie przyjdą o zburzonej Troi,  
Ogniste, szybkie wieści. Bo tak mi królowa  
Kazała, nadoprawdy! mądra męska głowa!  
Więc leżę, ni ten tułacz przesiąknięty rosą,  
Wczasuję się, lecz wczasy nocne nie przyniosą  
Spoczynku moim kościom: w ciągłej jestem trwodze,  
Ażeby sen zbyteczny nie skleił niebodze  
Tych powiek utrudzonych. A jeśli się kiedy  
Świtaniem albo śpiewem chcę pozbyć tej biedy  
I snu natarczywego odpędzać katusze,  
Nad losem tego domu zalewać się muszę  
Gorzkiemi iście łzami, bo gdzież się podziął  
Te dawne, dobre czasy i cnoty, i chwały?  
Bodajby już nareszcie błysnął ogień boski,  
Co zwolni mnie, nędzarza, od tej ciągłej troski.  
A witajże mi, światło, ty słońca zwiastunie!  
Zatańczy lud argiwski w twojej szczęsnej lunie,  
Dziękując za tę łaskę. Oj dana! Oj dana!  
Co tchu ja zawiadomię żonę mego pana,  
By z łoża się zerwawszy, wszystek dom zbudziła,  
Okrzykiem przeradosnym witając co siła  
Ten błogi żar pochodni. Padł gród Ilijonu —  
Tak wieści straż płomienna tam! u nieboskłonul  
Jać sam wyskoczę pierwszy, bo straż moja czujna  
Sprawiła, że mi spadła dziś szóstka potrójna<sup>1</sup>  
W szczęśliwej grze mych państwa. Zapłatę dostatnią,  
Gdy rękę mego króla uściskam, jak bratnią.  
O reszcie wołę milczeć. Tak jest, mówię szczerze:  
Mam pypeć na języku. Wcale mnie nie bierze  
Ochota pisać słówko! Hej! światby się zdumiał,  
Co domby ten powiedział, gdyby mówić umiał!

<sup>1</sup> Obraz wzięty ze starożytnej gry w kości.

Cóż gadać o tem ludziom nieświadomym rzeczy?  
Kto wie, temu milczenie moje nie zaprzeczy.

*Zboku wchodzi na scenę chór z piętnastu złożony starców w świątecznych szatach z wien-  
cami na głowie, z długimi łaskami w rękach, z mieczami u lędźwi. W czasie, gdy się  
ustawiają, mówi*

Przodownik Chóru:

Dziesięć upływa lat,  
Gdy dwaj wrogowie Priama,  
Których zrodziła ta sama  
Boska Atrydów krew,  
Król Menelaus i brat  
Król Agamemnon, na czele  
Tysiącznych argiwskich okrętów  
Jęli przecinać topiele morskich odmętów —  
Zemsty poganiał ich gniew.  
Z bojowym ruszyli okrzykiem,  
Každy krwiożerczy, ni ptak,  
Ni oszalały ten sokół,  
Co skrzydeł wioślami naokół  
Z gniazda odartych skalnych ścian  
Powietrza prując szlak,  
Krakaniem napęlnia dzikiem przestworza:  
Zaginał jego plód,  
Przepadły pisklęta, długiego wylęgu trud.  
Ale-ć Apollon, czy Zeus, czy Pan,  
Władyki stromych gór,  
Sokoli usłyszą wrzask: moc boża  
O powierzonych swej trosce pamięta: pomsta żyje,  
Choć nierychliwe, lecz sprawiedliwe jawią się Erynyje.  
Tak gościnności możny stróż,  
Zeus, rozdawca opiekuńczych łask,  
Atreuszowym kazał synom iść  
Na Aleksandra,<sup>1</sup> odbić z jego rąk  
Najpłochszą z ziemskich cór.  
Długo bitewny unosił się kurz;  
Pod tarcz brzemieniem tłum rycerny klękł,  
Kolana zadrżały, ni liść,  
Oszczepów kruszył się wał,  
Proch krew trojańską ssał  
I naszą, Danaów krew.  
Lecz jakikolwiek będzie tego kres,  
Tak będzie, jak każe los:  
Boży gniew, Boży cios  
Nic sobie nie robi z lez:  
Uderza niepowstrzymany, mimo ofiary wylanej,  
Łamię niezwyciężony, pomimo żertwy spalonej.  
Lecz myśmy tu pozostali  
Precz od wojennej chwały,  
Precz od chwalebnej wojny,  
Ni chłopaczkowie mali,  
Tarczy nie dźwigniem zbrojnej:  
Kij nam do ręki daje wiek zgrzybiały,  
Bo jeśli w wątlej postaci chłopięcej  
Potężny Ares nie zamieszka — tem więcej

<sup>1</sup> Trojański Parys inaczej nazywał się Aleksandrem.

Stronić on musi od starości znojnej.  
 Odartą ze świeżych liści,  
 Żywota-ć ją wiedzie ścieżka  
 Słabą i chwiejną w dal beznadziejną.  
 Po życia wlecze się drogach  
 Trzęsąca się, o trzech nogach;  
 W dzień biały ni senna snuje się zjawa,  
 Niepewnym krokiem stawa,  
 Nikłego widma wzór.

*Klitemestra wyszła tymczasem z pałacu, otoczona służebnicami, i zajmuje się składaniem ofiar na ołtarzach.*

Córko Tyndareowa,  
 Cóż to się, powiedz, dzieje?  
 Jakież nadeszły wieści,  
 Jakież to cudo się iści,  
 Jakież radosne przyniesiono słowa k'nam,  
 Iże ofiarą kolejną bogom nie skąpisz części?

Fragment II, ww. 281—319

Klitemestra:

Hefajstos, co swe ognie rozpalił na wyży  
 Idajskiej;<sup>1</sup> od ogniska śpieszył do ogniska  
 Płomienny jego goniec. Ida blask swój ciska  
 Na Lemnos, na Hermesa opokę, a dalej  
 Już Atos, schron Zeusa najmiłszy, się pali,  
 Ognisty znak dostawszy. Potem coraz płodniej  
 Rozrastał się po drogach sosnowej pochodni;  
 Po morza rozigranych falach mknął bez końca,  
 Aż dobiegł do Makista wierchowej strażnicy.  
 I tego sen nie zmożył: płomienistolicy,  
 W te tropy ze swej czujnej zerwawszy się warty,  
 Wysłańca w dalszą drogę pchnął; ten nieprzeparty  
 Z swą żagwią do Eurypu dobiegłszy wybrzeży,  
 Dał znak Messapjosa opoczystej wieży,  
 Ten wzamian odpowiedział; suche wrzосу pęki  
 Żar dały niesłabnący, łagodny i miękki.  
 Ni światło księżycowe, szedł ten blask wysoki  
 Równiami Aroposa aż hen, pod opoki,  
 Pod szczyty Kitajronu...

Tak-ci po sto razy  
 Podawał ten tamtemu królewskie rozkazy:  
 Zwycięzcą jest w tym biegu pierwszy i ostatni.  
 Ten znak-ci moich wieści prawdę uwydatni  
 Przysłanych mi przez męża dziś z pod murów Troi.

Przodownik Chóru:

Nie mogę-ć jeszcze bogom dziękować w tej mojej  
 Radości, pełna dziwu słuchać jest gotowa  
 Bez końca moja dusza, pani, twego słowa.

Fragment III, ww. 503 nst.

Posel:

Rodzinną ziemię Argos, witaj mi! Nareszcie  
 Po latach aż dziesięciu jestem w mojem mieście.

<sup>1</sup> To znaczy: był zwiastunem nowin ogień.

Albowiem Agamemnon, księżę władczej mocy,  
Przynosi wam i wszystkim światłość pośród nocy.  
Przyjmijcie go jak męża, co trojańskie niwy  
Przeorał owym-ć plugiem, który Zeus mściwy  
Powierzył jego ręce: już tam ni ołtarzy,  
Ni żadnych świątnic bogów wzrok nie zauważy.  
Doszczętu wyniszczono nasienie tej ziemi!  
Dziś wraca ten, co dłońmi narzucił silnemi  
Na Troję ciężkie jarzmo; wraca pierworodny,  
Szczęśliwy syn Atreja, czei największej godny...

Fragment IV, ww. 793 nst.

*W płaszczu królewskim zjawia się na rydwanie Agamemnon; za nim Kasandra, z oznakami prorokini: na głowie ma wełniane przepaski, a w ręku wawrzynową łaskę. Przemawia*

Przodownik Chóru:

Witaj nam, królu, moźny zdobywco Troi!  
Potomku Atreuszowy!  
Jakimi cię słowy dziś uczcić mam? Dusza się boi  
Przesadnej dziękczynień miary.  
Lecz wielki to byłby kłam,  
Gdyby uszczuplić chciała,  
Czego wymaga twa chwała.  
Ludzki to nałóg stary, że się kochamy w pożarze,  
Przekraczając granice słuszności.  
Niejednokrotnie dla bólu  
Współbolejące mamy lice,  
Ale niezawsze wnika nam do duszy  
Kolec ich krwawych kaluszy.  
A gdy wesolych przyjmujemy gości,  
W nieszczerzy się uśmiech stroi nasza obłudna twarz.  
Przed się dobrego pasterza, gdy pilną ma straż  
Nad swego ludu trzodą,  
Błyski wodnistej przyjaźni,  
Którymi fałszywe lśnią oczy, nigdy nie zwioda.  
Ty lud swój znasz! Przyznaję najwyraźniej:  
Rozumnyś mi nie był wódz,  
Który roztropnie ku swym celom zmierza,  
Gdyś nazbyt ochoczy w sprawie Heleny  
Przygotowywał bój.  
Życie najbliższych było ci bez ceny,  
Ofiarą ich chciałeś zmóc niechętnego żołnierza  
Wiodąc na straszny go znój, na skon!  
Lecz dziś wśród naszych łon,  
Gdy trudne dzieło dobiegło już końca,  
Życzliwość znajdziesz radosną.  
A wzrok badawczy twój rozpozna niebawem,  
Kto się tu rządził prawem,  
Kto jego był obrońcą,  
Kto zaś w tem mieście twem  
Parął się z złem,  
Przez kogo grzechy tu rosna.

Agamemnon:

Nasamprzód memu Argos i ojczystym niwom  
Godziwe pozdrowienie. Przez nich widzę droga

Mą ziemię, przez nich karę słuszną Priamowy  
 Otrzymał gród. Zaisle! Nie pustemi słowy  
 Głoszono tu wyroki na twierdzą Iljonu:  
 Do urny śmiertcionośnej, rozstrzygając skonu  
 Rozlicznych mężów sprawę, rzucili bogowie  
 Swe galki, zaś do drugiej, przynoszącej zdrowie,  
 Nadzieja przystąpiła z próżnemi rękoma.  
 Dotychczas jeszcze miasta pożoga widoma,  
 Tlą jeszcze się ofiary nieszczęścia. Niedługo  
 I ty się w nie rozwiejesz, ciemna dymu smugo,  
 Wijąca się nad bogactw popalonych zgliszcza.  
 Niech za to wieczna dzięka bogom się uiszcza:  
 Z ich łaski nieprzyjaciół wpadł w nasze obierze,  
 Trojański gród argiwskie strąlowało zwierzę,  
 Gdy zbrojne, z wnętrza konia urodzone plemię,  
 Rzuciło się o Plejad zachodzie na ziemię,  
 By, ni to lew niesyty, napić się posoki  
 Królewskiej! Ten ci bogom nasamprzód głęboki  
 Złożywszy hołd, ku tobie zwracam się tej pory.  
 To wszystko, co mi rzekłeś, zawsze jestem skory  
 Pamiętać, gdyż z twojemi zgadzam się słowami.  
 Niewielu przedsię znajdziesz takich między nami,  
 Co patrzą bez zawiści na szczęśliwą dolę  
 Swych bliźnich, chociaż zazdrość podwaja nam bole,  
 Albowiem, gdy do serca wsączy swą truciznę,  
 Rozkrwawia jeszcze bardziej naszą krwawą bliźnę;  
 Niedosyć, że nas brzemień troski własnej trudzi,  
 Lecz jeszcze nas przygniata szczęście innych ludzi.  
 Wiem o tem z doświadczenia. Zawszem najwyraźniej  
 Uludę tylko widział w zwierciadle przyjaźni,  
 Na miejscu życzliwości pusem chwycił mary.  
 Odysej tylko jeden dotrzymał mi wiary,  
 On jeden, choć niechętnie, poszedł z mą wyprawą,  
 Rad dzielił ciężkie jarzmo, niedolę mą krwawą.  
 Dziś nie wiem, czy on żywie, czy spoczął już w grobie.  
 Wszelakie inne sprawy rozważymy sobie  
 Na wspólnej naszej radzie, pilne sprawy miasta  
 I bogów... Niech, co dobre, mnoży się i wzrasta —  
 To naszą będzie troską! A gdzie jest nakazane  
 Lekarstwo, aby wyciąć, czy wypalić ranę,  
 Roztropnie tam usuniem wrzodu powód srogi.  
 A teraz w dom swój wejdę, przywitam swe bogi,  
 Co, precz mnie stąd wysławszy, znów mnie powrócili.  
 Niech przedsię mi zwycięstwo sprzyja każdej chwili.

*Po przywitaniu Klitemestry wchodzi do pałacu; Klitemestra dla Kasandry niechętna;  
na scenie Kasandra i Chór*

Fragment V, ww. 1072 nst.

K a s a n d r a :

Ratunku! świat w oczach mi ginie!  
Apollinie! Apollinie!

C h ó r :

Dlaczego do pomocy wzywasz Loksyjasza?  
A wszak-ci nie dociera doń ta boleść nasza.

Kasandra:

Ratunku, świat w oczach mi ginie!  
Apollinie! Apollinie!

Chór:

I znowu nadaremnie wzywa tutaj boga,  
Któremu obojętna wszelka ludzka trwoga!

Kasandra:

Apollinie! Apollinie!  
Ty polowacz pośród śmierci pół!  
Polujesz na mój ból!  
Twój pocisk raz mnie wtóry tak ugodził ninie!

Chór:

Zapewne treścią wróżb jej własna będzie dola,  
Bożego bowiem ducha nie zniszczy niewola.

Kasandra:

Apollinie! Apollinie!  
Ty polowacz pośród śmierci pół!  
Polujesz na mój ból!  
Ach! w jakież ty mnie progi zapędziłeś ninie!

Chór:

W Atrydów dom! Gdy nie wiesz, mój ci język powie!  
Przekonasz się, że fałszu niemasz w mojem słowie.

Kasandra:

Od bogów przeklęty dom!  
Ha! wiem-ci! krwawa rzeźnia, hańba, grzech i srom!  
Zabójców nikizemne hordy, stryczki, topory, mordy!

Chór:

Gończego węch ma ostry ta obca niewiasta!  
Wymęczy, czego szuka: mord z pod stóp wyrasta!

Kasandra:

Ha! Widzę świadków! Znam! Ubite pacholeta gotują! On sam,  
On, rodzic, ich mięso zjada! Straszna, ohydna biesiada!

Chór:

Twój wieszszej myśmy sławy wszyscy tu świadomi,  
Lecz dziś nas twe proroctwo wcale niełakomi.

Kasandra:

Jakież to ona w tej chwili krwawy gotuje los?  
O biada, biada! Ten potwór człeczny  
Na zbrodnie się nowe sili. Nowy cios,  
Gdy ranę dzisiaj zada, żadna jej moc nie wyleczy.

Chór:

Co znaczy to proroctwo, rozum mój nie zgadnie;  
O tamtem mówią wszyscy, znam-ci je dokładnie.

Kasandra:

Co czynisz, nieszczęsna żono? Twój-ci to mąż i pan!  
O biada! biada! Wyrzec nie mogę!  
Ku łaźni go zaproszono — koniec znasz?  
Ręce do mordu składa —  
Mord szybką wybrał drogę.

Chór:

Nic dotąd nie rozumiem z tego, co nam wieści;  
Nie zdołam zagadkowej wytłumaczyć treści.

Kassandra:

O jej! o jej! Cóż to me widzą oczy?  
Piekieł to godna sieć! Przędza, współniczka zbrodni,  
Patrzajcie, krwią już broczy!  
Radosne hymny piej; wielkie wesele wznieć,  
Ty domu straszny demonie! Nowa ofiara ci płonie!

Chór:

Jakąż to wzywasz Erynyję?  
Jacyż duchowie, krwi głodni,  
Mają radością napelnić ten dom?  
Nie cieszy mnie język twój; trwożnie mi serce bije;  
Dreszcz mnie przenika srogi, ni grom;  
Krwi mi się ścina zdrój — jestem ni człek,  
Co od oszczepu legł — nieszczęście szybkie ma nogi.

Kassandra:

O jej! o jej! Cóż to me widzą oczy?  
Niech sobie pójdzie byk! Trzymać go zdala od krowy!  
Płaszcz go fałdami otoczy — miej-że baczenie, miej!  
Na róg cię wdzieje... krzyk  
Zali słyszycie? Przyjaźnie krwawą gotuje mu łaźnię!

Chór:

Chelpić się znawstwem jej wróżby  
Wcale nie jestem gotowy,  
Przecież to widzę, że tych wieszczów treść  
Nowy oznacza trud. Celem proroczej służby  
Cóż być innego może, jak nieść  
Same nieszczęścia w lud? Słów wieszczych moc,  
A w każdym groźna noc, lęk w każdym ma łoże.

Kassandra:

O jej! o jej! Jakiż to straszny wiódł mnie los!  
Nędzę ci moją opowiadam w głos!  
Do tych zbójceckich kniej, pocóż mnie przygwał on?  
Chyba na wspólny skon, bo nacóżby innego?

Chór:

Prorocki porywa cię szal — o swojej własnej doli  
Nieśpiewny nucisz śpiew! Ach, jak on boli! jak boli!  
Tak szary słowik wśród drzew:  
«Itysie! Itysie!» — wciąż woła — smutniejszy on żywot miał.  
Rozkoszy chwila wesola odbiegła nieszczęsnego...

Kassandra:

O jej! o jej! Gdzież ze słowiczym równać mój  
Nieporównany, niezmożony znój?  
O losie spokojnym piej: w pierze cię stroi bóg!  
Mnie biedną oszczep zmógł, miecz obosieczny siecze.

Fragment VI, ww. 1215 nst.

Kassandra:

I znowu mnie opętał groźny duch! W swe służby  
Porywa mnie szal wieszczów. O nieszczęsne wróżby!

Patrzajcie! W bramie domu ni senne widziadła,  
 Gromadka niewiniątek zabitych usiadła —  
 Przez własnych swoich krewnych zarzeczane dzieci!  
 W ich rękach, patrzcie! patrzcie! kawał mięsa świeci —  
 To nerki ich i trzewia! Ojciec ich rodzony  
 Spożywał karm tę straszną. Gdzież szukać obrony?  
 Tchórz w skórze lwiej, zajmwszy legowisko cudze,  
 Na moim mści się panu — przystoi mnie, słudze,  
 Zwać panem tego wodza, co, zburzywszy Troję,  
 Powrócił i nie przeczuł na nieszczęście swoje  
 Języka zdradnej suki! Ni podstępna Ate  
 Tak lasi się, tak słowa, w pochlebstwa bogate,  
 Do nóg mu, skomląc, rzuca, a zgubę mu knuje!  
 Niewiasta morderczynią! Poszła między zbójce!  
 Jak nazwać ją? Z czem stwora tego równać można?  
 Gadzina pełzająca, nie! Ekylla bezbożna,  
 Co z staków precz porywa niebacznych żeglarzy;  
 Szalona matka Hadu, spór niecąca wraży  
 Pomiędzy najbliższymi! O, jakżeż radośnie  
 Krzyczała, ni to w bitwie, gdy zwycięstwo rośnie,  
 Szcześliwa, że ocalon powraca do domu.  
 Ty wierz mi, albo nie wierz! Nie chcę-ć ja nikomu  
 Narzucać swojej prawdy! Ale przyszłość bliska,  
 Że z płaczem nie odmówisz mi wieszczki nazwiska.

Chór:

Pojmuję Tiestesa okrutną biesiadę  
 Z rodzonych jego dzieci. Więc trwogi mnie blade  
 Nachodzą na tą prawdę, szczerą, bez pozorów:  
 Lecz to, co teraz słyszę, wytrąca mnie z toru

Kassandra:

Powiadam ci, że ujrzysz mord Agamemnona.

Fragment VII, ww. 1343 nst.

Głos Agamemnona:

O biada! Cios śmiertelny godzi we mnie! biada!

Pierwszy z Chóru:

Cytl ciosem ktoś uderzon śmiertelnym upada.

Głos Agamemnona:

O biada! po raz wtóry ugodzono we mnie!

Drugi z Chóru:

To króla jęki! Nie wątpić! Zabity nikczemnie!

Fragment VIII, ww. 1372 nst.

*Rozsuwa się ściana tylna sceny; widać łaźnię, w której zamordowano Agamemnona. Zwłoki jego, wielką odkrytą tkaniną, spoczywają w wannie; obok nich leży trup Kasandry. Klitemestra z siekierą w ręku zastępuje drogę mężom rady, pragnącym wkroczyć do wnętrza.*

Klitemestra (z czołem obryzganem krwią):

Wbrew wszystkim dawnym słowom, które tak, jak pora  
 Żądała, wygłosiłam, jestem oto skora  
 Przemawiać wręcz przeciwnie i tego się zgoda  
 Nie wstydyć. Bo gdzież człowiek, co inaczej wydoła?

...Dwukrotnym cios zadała, dwukrotne westchnienie  
 Dobyło mu się z piersi, gdy o ziem go żenie  
 Mój topór. Potem jeszcze, gdy już legł zabity,  
 Raz trzeci uderzyłam — w cześć Zeusa, wśród świty  
 Umarłych władającego w podziemnej krainie  
 Padając, tak wyzionął swego ducha ninie!  
 A strumień krwi, trysnąwszy aż po moje włosy,  
 Obryzgał mi to czoło kroplą czarnej rosy,  
 Radując mnie, jak pola cieszy deszcz wiosenne,  
 Gdy, padłszy z nieba, kielki z ziarn dobywa plenne...

Przodownik Chóru:  
 Truchleję na twój język! Niewiasto bezbożna!  
 Przy zwłokach męża swego czyż tak mówić można?

Fragment IX, ww. 1467 nst.

Chór:  
 Demonie, którego dłoń wciąż rzuca i rzuca klęski  
 Na obu potomków Tantalą, straszny tyś bóg!  
 Piekiełną broń dałeś niewieście, że hymn dziś zwycięski  
 Kracze jak kruk: przy zwłokach męża, wstrętny jego wróg,  
 Swą zbrodnią się przechwala. O jej! o jej!  
 Heleno, niewiasto szalona, coś tyle, ach! tyle dusz  
 Na śmierć skazała pod Troją! Na wieki wieków już  
 Nie skona wspomnienie winy twej,  
 Skąpane w świeżej posocele! Kłątwy straszliwe moce,  
 W swych rękę mające wciąż ten dom,  
 Nowy na głowę moją ściągnęły grom: przez nie dziś zginął ten mąż.

Klitemestra:  
 Prostujesz swoje słowa, mówiący o demonie,  
 Zabójcy naszego rodu, co żądzą zemsty płonie!  
 Już w macierzystem łonie zaród się kłątwy chowa!  
 Starego-ci jeszcze wrzodu nie zasklepiła się rana,  
 A świeża już przezeń zadana!

Chór:  
 Groźnego wspominasz ducha, waszego domu niszczyciela,  
 Który — o jej! o jej! przegorzkie to wspomnienie! —  
 Ciągłemi ofiary zaściela krwawy ślad dróg,  
 Niesyty pomsty swej. Ale on boga-li słucha,  
 Bo wszystkim kieruje bóg! bez niego nic się nie dzieje.  
 On na dni naszych koleje i dzisiaj smutek ten żenie!  
 O jej! o jej! o królu mój, królu! Jak opłakiwać cię mam?  
 Jak żegnać w godzinie tej, gdy dusza pełna jest bólu,  
 Gdy się z rozpaczy błąka? Podstępny cię zabił kłam,  
 Bezbożny grzech! uwikłan w sieci pająka ostatni wydałeś dech!  
 O biada! o biada! powiązanego zabiła cię zdrada!  
 Daremny opór: ciął obosieczny cię topór.

Klitemestra:  
 Mem zwiesz to dzieło? Mary! To nie Agamemnona  
 Małżonkę masz przed sobą! Upiorem-ć jest ta żona  
 Ku zemście wyznaczona! Odwiecznym duchem kary,  
 Co dom ten okrywa żalobą,  
 Co chlonie objętą nową, za ucztę Atreuszową.

## Chór:

Któż świadkiem ci tu będzie, że mord nie spełnion jest przez ciebie?  
 Ach któż? o jej! o jej! duch mściciel winy twej,  
 On, co w nieszczęściach grzebie zdawna wasz ród,  
 Tylko podźegnał się k'niej! Posępny Ares w rozpędzie  
 Szalonym, kroczący w bród krwi bratniej, coraz to więcej  
 Wylewa posoki dziecięcej — w swej drodze on nie ustoil!  
 O jej! o jej! o królu mój, królu! Jak oplakiwać cię mam?  
 Jak żegnać w godzinie tej, gdy dusza pełna jest bólu?  
 Gdy się w rozpaczy błąka? Podstępny cię zabił kłam,  
 Bezbożny grzech! Uwikłan w sieci pająka ostatni wydałeś dech!  
 O biada! o biada! powiązanego zabiła cię zdrada!  
 Daremny opór: cia! obosieczny cię topór.

Fragment X, ww. 1577 nst.

*Na scenę wchodzi Egistos w płaszczu królewskim, zbrojną otoczony świtą; mówi*

## Egistos:

O dniu sprawiedliwości, dniu jasny i błogi!  
 Dziś wierzę, iż na ludzkie spoglądają drogi  
 Bogowie i że karzą wszystkie grzechy ziemi.  
 Rozkoszy! Oto w płaszczu Erynji, mściwemi  
 Rękami uprzedzonym, leży tej godziny  
 Przede mną człek, płacący stare ojców winy!  
 Boć — aby wam przypomnieć bieg wypadków krwawy —  
 Atreusz, ojciec tego, władca tej dzierżawy,  
 Tyesta, mego ojca, a swojego brata,  
 O władzę spór z nim wiodąc, wypędził na lata  
 I z domu, i z ojczyzny. Po niejakim czasie  
 Tyestes, powróciwszy ufający, zda się  
 Na laskę nielaskę u jego ogniska  
 I tyle uzyskuje, że posoka śliska —  
 Przynajmniej jego własna — nie pocieknie strugą  
 Po ziemi rodzicielskiej. Za chwilę niedługą  
 Atreusz, tego ojciec bezbożny, z nielada  
 Zapalem dla rodzica mojego układu  
 Przyjęcie — przyjacielskie: na ucztę go prosi  
 I ciała jego dzieci upieczone wnosi.  
 Nikczemnie swe zamiary ukrywając lisie,  
 Pochował pod piecyste w tej ohydnej misie  
 Od rąk i nóg odcięte ich palce. Nieświadom  
 Mój ojciec — któż był takim obecny biesiadom? —  
 Spożywa karm zdradziecką; jakie stąd wypadło  
 Nieszczęście, wzdyc widzieli!..  
 Gdym wyrósł, tak mnie Pomsta przywiodła zpowrotem  
 W te strony. Nie przestałem knować do ostatka  
 Przeciwno moim wrogom; przeze mnie ta siatka  
 Dla tego tu sprzedzona! Teraz, gdy on w mojej  
 Legł matni, i me serce umrzeć się nie boi.

*Przodownik Chóru czyni ostre wyrzuty mordercy. Wynika spór i kłótnia.*

## Egistos:

Za te słowa, za te czyny już twa czelność płacę wzięła.  
 Drodzy moi kopijnicy, cni żołnierze! hej, do dzieła!

## Przodownik Chóru:

Hej, wyciągnąć miecze z pochew! już gotowe członki mojej!

Egistos:

I ja jestem również gotów i umierać się nie boję!

Przodownik Chóru:

Mówisz, śmierci się nie lękasz? Więc spróbujmy jak najgodniej!

Klitemestra:

O przynigdy, mężu drogi, nie spełniajmy nowej zbrodni!  
Cośmy dotąd już sprzątnęli, złem sypnęło na nas ziarnem;  
Dość już cierpień, dość przelewu krwi na polu tem ofiarnem!  
Wróćcie do dom, zacni starce, nim doznacie męki świeżej,  
Lub spełnicie czyn niegodny: co się stało, znieść należy,  
Aby tylko padać na nas nie zechciały nowe klęski!  
Wszak nas ciężką przygniótł stopą demon pomsty przezwyćski.  
Posłuchajcie dobrej rady, choć przemawia-li niewiasta!

*Po krótkiej, niezyczliwej wymianie zdań, Klitemestra i Egistos idą do wnętrza pałacu. Odchodzi także i Chór. Kończą się część pierwsza trylogji.*

Tłum. Jan Kasprzewicz.

## SOFOKLES

(496—406 przed Chr.)

### EDYP KRÓL

*Osoby: Edyp, król tebański (syn Lajosa, wychowany jednak w Koryncie). Jokasta, królowa tebańska, żona Lajosa, żona i matka zarazem Edypa. Kreon, brat Jokasty. Kapłan. Chór tebańskich starców. Tejrezjasz, ślepy starzec, wróżbita. Postaniec z Koryntu. Sługa Lajosa, pasterz. Postaniec domowy.*

Fragment I, w. 1 nst.

*Akcja odbywa się w Tebach, na stopniach królewskiego pałacu. Kapłan wprowadza Chór starców tebańskich, wchodzi również n tódzienicy i dzieci, i wszyscy mają oliwne gałzki, na znak błagania o pomoc. Wkrótce wychodzi z wnętrza pałacu król.*

Edyp. O dzieci, Kadma starego potomstwo,  
Czegoście na tych rozsiedli się progach,  
Trzymając w ręku te wiązki błagalne?  
Czemuż nad miastem dym wonnych kadzideł  
Wznosi się razem z modlitwą i jękiem?  
Ja, że nie chciałbym przez usta postaniców  
O tem zasłyszeć, sam tutaj przybyłem,  
Ja, Edyp, sławą cieszący się ludzi.  
Rzeknij więc, starcze, boś ty powołany  
Za innych mówić, co was tu zebrało,  
Strach, czy cierpienie? Wyjaw to mężowi,  
Co chce wam ulżyć; bo byłby bez serca,  
Gdyby ten widok mu serca nie wzruszył.

Kapłan. O panie, który nad ziemią tą władasz,  
Widzisz, jak garnie się wsze pokolenie  
Do twych ołtarzy; jedni to piskłeta  
Długiego lotu niezdolne, a drugich  
Wiek już pogarbił; ja służę Zeusowi,  
A tamci innym bogom; równe tłumy  
Siadły gdzie indziej, gdzie chramy Pallady,

I tam, gdzie ołtarz Ismena popielny,  
 Bo miasto — jak ty sam widzisz — odmetry  
 Złego zalały i lud bodaj głowę  
 Wznosi wśród kłeski i krwawej pożogi,  
 Mrąc w ziemi kłosach i ziemi owocach,  
 Mrąc w stadach bydła i niewiast porodach,  
 Płonnych, od kiedy bóg ogniem zionący  
 Zaciężył srogą nad miastem zarazą,  
 By grody Kadma pustoszyć, a jękiem  
 Czarne Hadesu wzbogacić ostępy.  
 Choć więc my ciebie nie równamy bogom,  
 Ani te dzieci, siedliśmy w tych progach,  
 Bo ciebie pierwszym mienimy wśród ludzi,  
 Wśród ciosów życia i wśród nieba gromów.  
 Tyś-bo, przybywszy, gród stary Kadmosa  
 Od strasznych ofiar dla Sfinksa wyzwolił,  
 Nic od nas wprzódę się nie wywiedziawszy,  
 Ni pouczony; nie! z ramienia bogów  
 Dalesz nam życia ochłodę i ulgę.  
 A więc ku tobie, któryś nam najdroższym,  
 Ślemy, Edypie, tę prośbę błagalną,  
 Byś nas ratował, czy z bogów porady  
 Znajdując leki, jako doświadczonych  
 Rady najlepszym poprawy zadatkim.  
 Nuże więc, mężom ty przoduj, skrzep miasto,  
 Nuże, rozważnie działaj, bo ta ziemia  
 Zbawcą Cię mieni za dawną gotowość.  
 Niechbyśmy rządów Twych tak nie pomnieli,  
 Iż po naprawie upadek nas zgrażył;  
 Ale stanowczo wzniesz gród ten ku szczęściu.  
 Z ptakiem tu dobrej nastałeś ty wróżby  
 I dziś dorównaj tej szczęsnej przeszłości.  
 Bo jeśli nadal zachowasz ster rządów,  
 Piękniej ci mężom przewodzić, niż próżni.  
 Ni gród, ni okręt, nie przecie nie waży,  
 Jeśli nie stanie męża dla ich straży.  
 O biedna dziatwo! Nazbyt ja świadomy  
 Prośb waszych celu; wiem, że wszystkie domy  
 Gnębi choroba, lecz wśród zła powodzi  
 Najgorsza nędza w mą osobę godzi.  
 Bo was jedynie własne brzemie dręczy,  
 Gdy moja dusza — za mnie, za was jęczy,  
 Za miasto całe; ze snu się nie budzę  
 Na wasze głosy; wiedzcie, że lży ronię  
 I częstem troski błakaniem się trudzę,  
 By co obmyśleć, co dobrem się zdało.  
 Syna Menojka, a żony mej brata  
 Do Apollina pytyjskich wyroczeni  
 Posłałem, aby Kreon się wywiedział,  
 Co czyniąc, mówiąc, zbawiłbym to miasto.  
 A odmierzając dzień jego odejścia,  
 Już spokój tracę, bo nad miarę czasu  
 Zwykłą nie widać go w domu zpowrotem.  
 Lecz skoro wróci, to byłbym przewrotnym,  
 Gdybym za głosem nie postąpił boga.

Edyp.

## Fragment II, w. 151 nst.

*Kreon właśnie wrócił z Delf i przyniósł rozkaz Apollina, że Tebańczyj muszą wypędzić z kraju zbrodniarza, który przed laty zamordował na obczyźnie króla ich Lajosa. Edyp zarządza poszukiwania, pełen nadziei; przemawia*

Chór. Zeusa wieści ty wdzięczna, jakież w zlociste Teb progi  
I w Pytona wzniosły chram wici niesiesz nam?  
Duch się wyteęza, a kłębią się myśli od grozy i trwogi.  
Delicki władco, o Peanie!  
Drzę ja, czy nowy trud nastanie?  
Czy dawne trudy w czasów odnowisz kolei?  
Głosie niebiański, ty przemów, ty dziecię złotej nadziei!  
Naprzód niechaj mnie Zeusa córa, odwieczna Pallada  
I Artemida wspomóże,  
Która strzeże tej ziemi i tron okrężny zasiada  
Na Teb agorze. Przyjdź i Febie w dal rażący,  
Stańcie troje jak obrońcy.  
Jeśli już dawniej wy grozę ciężącą na mieście  
Precz stąd wyżeli, przybądźcie i teraz i pomoc mi nieście.  
Zło mnie bezbrzeżne dotknęło. O biada!  
Naród wśród moru upada i myśli zbrakło już mieczy  
Ku obronie i odsieczy. Pola kłosem się nie skłonią,  
Matki w pologach mrą, lub płody ronią.  
Jak lotne ptaki, wartkie błyskawice,  
Mkną ludzie cwałem w Hadesu ciemnice.  
Nad miastem zawisła głusza i stopy trupów po ulicach leżą,  
A śmierć i dżunę szerzą; nikt ich nie płacze, nie porusza;  
Żony i matki z posrebrzonym włosem  
Żalobnym zawodzą głosem.  
Skarga wszechludu zabłysła wśród nocy,  
O Zeusa złota córo, udziel nam pomocy!  
Przybądź chyżo — oto wróg, choć mu nie lśni mieczem dłoń.  
Z krzykiem wtargnął w miasta próg! Wyprzyj go na morską toń,  
Lub pędź w niegościnną dal, w głębie trackich fal.  
Choć oszczędzi ciemna noc, to dzień wtóry zgębi dom!  
Ty, co grzmotów dierzysz moc, Zeusie, ciśnij grom!  
Z twego łuku złotych strun, puść, Apollo, krocie strzał!  
Artemis, spuść żary łun, z którymi mkniesz wśród Likji skal!  
Ciebie wzywam, złotosploty, boś tej ziemi syn!  
Niechaj zaznam twej ochoty, ty, coś panem win!  
O Bachusie, pośród gór płasasz w Menad gronie;  
W boga klęsk, co niesie mór, żagwią mieć, co płonie!

## Fragment III, w. 513 nst.

*W tym czasie nadchodzi przywołany przez Edypa, ale za radą Kreona, czcigodny wróżbita Tejrezjasz, wygłasza szereg ciemnych i niemiłych dla Edypa, dwuznacznych obwieszczeń. Edyp posądza go, że mówi to z poduszczenia Kreona, wypędza wróżbitę i rzuca oskarżenie o intrygę na Kreona. Chór starców również powątpiewa o prawdziwości wróżbity. Wchodzi Kreon:*

Drodzy ziomkowie, doszło moich uszu,  
Że Edyp władca ciężko mnie winuje.  
Więc tu przybywam z obrazą. Bo jeśli  
Mniema, iż ja się czy słowem, czy rzeczą  
Do troski, co go gnębi, przyczynilem,  
To już nie pragnę dłuższego żywota  
Pod tym zarzutem. Toć takie mniemanie

- Nie drobną tylko wyrządza mi krzywdę,  
Ale największą, skoro ja rodakom,  
Wam i innym bliskim przewrotnym się wydam.
- Chór. Zarzut ten jednak w gniewliwym zapale  
Raczej się począł, a nie w głębi duszy.
- Kreon. Skąd te posłuchy, iż z mego podmuchu  
Wróżbiarz kłamliwe wygłasza twierdzenia?
- Chór. Słowo to padło; skąd poszło, ja nie wiem.
- Kreon. I z prostym wzrokiem, i wzniesionem czołem  
Takie tu na mnie miotano zarzuty?
- Chór. Nie wiem. Co władcy czynią, ja nie śledzę.  
Lecz ołóż księżę sam kroczy z pałacu.
- Edyp wchodzi, zastaje Kreona i Chór.*
- Edyp. Tyś tutaj? A więc śmiesz tak być bezczelnym,  
Aby do moich przybliżać się progów,  
Ty, coś zamierzył popełnić morderstwo  
I z władzy króla mnie gwałtem ograbić?  
Rzeknij na bogów, czy słabość, czy głupstwo  
We mnie spostrzegłeś, by snuć te zamiary?  
Czyś mniemał, że twych ukrytych podstępów  
Nie dojrzę? że się obronić nie zdolam?  
Czyż nie przewrotnem twoje przedsięwzięcie,  
Bez sił, wspólników, tak rwać się na trony,  
Które się ludźmi zdobywa i złotem?
- Kreon. Radzę ci naprzód wysłuchać mej mowy,  
A potem, rzeczy poznavszy, osądzić.
- Edyp. W słowach ty dzielny, lecz złym ci ja będę  
Uczniem, bo mam cię za zdrajcę i wroga.
- Kreon. Posłuchaj oto, co powiem w tej sprawie.
- Edyp. Nie praw ty oto, że jesteś bez winy.
- Kreon. Jeżeli mniemasz, że upór jest skarbem,  
Choć bezrozumny, to mniemasz przewrotnie.
- Edyp. Jeżeli sądzisz, iż krzywdząc krewnego,  
Nie zaznasz kary, to sądzisz fałszywie.
- Kreon. Uznam twe zdanie; lecz poucz mnie przecież,  
Cóż ci się teraz wydarzyło złego?
- Edyp. Czyś mnie namawiał, czyli nie namawiał,  
Bym tu sprowadził znanego wróżbitę?
- Kreon. I dziś obstawę przy tej samej radzie.
- Edyp. Jakże to dawno, od czasu, gdy Lajos...
- Kreon. Cóż począł? Słów twych nie całkiem pojmuję.
- Edyp. Zniknął, śmiertelnym ugodzony ciosem?
- Kreon. Będzie już dawno od tego zdarzenia.
- Edyp. Czy wtedy wróżbiarz sprawował swą sztukę?
- Kreon. Równie był mądrym i w równej już cenie.
- Edyp. Czyż on naówczas mnie wspomniał choć słówkiem?
- Kreon. Nigdy; przynajmniej jam tego nie słyszał.
- Edyp. A czyście wtedy zarządzili śledztwo?
- Kreon. Tak, oczywiście, lecz było daremne.
- Edyp. I czemuż wtedy nie gadał ten znachor?
- Kreon. Nie wiem — a kiedy czego nie wiem, milczę...
- Edyp. Lecz tyle z wiedzą mógłbyś rzec i znawstwem...
- Kreon. Co znów? nie zaprę się rzeczy mi znanych.
- Edyp. Gdyby nie schadzki z tobą, nie nazwałby  
Śmierci Lajosa on moich rąk dziełem.
- Kreon. Jeśli tak mówi — wiesz to sam...

## Fragment IV, w. 704 nst.

*Dalej trwa sprzeczka, coraz bardziej gwałtowna; Chór starców ubolewa, nadchodzi z pałacu królowa Jokasta, chce pogodzić zwaśnionych męża i brata; Edyp jej skarży się:*

- Edyp. Nasłał wróżbitę przewrotnego, który  
Słów mu oszczędził i głowę oslonił.
- Jokasta. Ty więc, nie bacząc wiele na te rzeczy,  
Mnie raczej słuchaj i wiedz, iż śmiertelnych  
Sztuka wróżenia nie ima się wcale.  
Złożę ci na to stanowcze dowody.  
Wiedz więc, że Lajos otrzymał był wróżby  
Nie od Apolla, lecz od jego służby,  
Iż kiedyś śmierć go z rąk syna pokona,  
Co zeń zrodzony — i z mojego łona.  
A przecież jego, jak wieść niesie, obce  
Zabily zbiry w troistem rozdrożu.  
A to niemowlę, gdy trzeci dzień świtał,  
Przebiwszy u nóg kosteczki, wysadził  
On ręką obcą gdzieś w górskich ostępach.  
I tak Apollo nie dopełnił tego,  
By syn ten ojca powalił, ni groźby,  
Że Lajos legnie pod syna zamachem.  
A tak głosiły przecie przepowiednie.  
Nie troszcz się o nie. Gdy tajemnej toni  
Bóg chce co wydrzeć, on sam to odsłoni.
- Edyp. Po twoich słowach jakież mną owładnął,  
Żono, niepokój i ducha wzruszenie!
- Jokasta. Nowa więc troska znów ciebie się czepia?
- Edyp. Słyszałem, tak mi się zdaje, że Lajos  
Legł, gdzie potrójne rozchodzą się drogi?
- Jokasta. Tak wieść głosiła i dotąd się krzewi.
- Edyp. A gdzie spełniono nieszczęsną tę zbrodnię?
- Jokasta. Focydą zwie się kraj ów, a dwie drogi  
Z Delf i Daulidy zbiegają się w jedną.
- Edyp. A jak to dawno od tego zdarzenia?
- Jokasta. Na krótko, nim ty władcą tej krainy  
Zostałeś, wieść ta doszła do stolicy.
- Edyp. O Zeusie, cóż ty kazałeś mi spełnić?
- Jokasta. Co ci tak serce, Edypie, porusza?
- Edyp. Nie pytaj więcej, lecz powiedz mi, jaki  
Lajos miał wygląd i w jakim był wieku?
- Jokasta. Smagły był, włosów bielala już welna,  
Od twej postawy niewiele się różnił.
- Edyp. Biada mi, straszną rzuciłem ja klątwę,  
Jak się wydaje, nieświadom, na siebie.
- Jokasta. Co mówisz, książe?...

## Fragment V, w. 861 nst.

*Ze słów Jokasty Edyp zaczyna wnioskować, że to właśnie on przed laty zamordował Lajosa, nie znając go, ale przeczą temu słowa starego sługi, który podówczas sam tylko ocalił się i opowiadał, że to banda opryszków napadła na króla, jadącego do Delf; tymczasem Edyp w swej przygodzie pomocników nie miał. Postanawia wezwać tego sługę.*  
*Chór, zaniepokojony, śpiewa:*

- Chór. Niechbym ja słowom i sprawom, co święte,  
Cześć wierną dał i pokłony.

Strzegą ich prawa w eterze poczęte,  
 Nadziemskie strzegą zakony.  
 Olimp im ojcem, z ziemskiego bo łona  
 Takie nie poczną się płody,  
 Ani ich fala zapomnień pokona.  
 Trwa w nich bóg wielki, mocny, wiecznie młody.  
 Pycha rodzi tyranów; gdy pychy tej czaty  
 Prawa i miarę przekroczą,  
 Runie na głowę, ze stromej gdzieś skały,  
 Gdzie głębie zgubą się mroczą.  
 Nic jej stamtąd nie wyzwoli.  
 Do boga wzniosę ja prośbę gorącą,  
 By zbawił tego, co nas ratował w niedoli.  
 Bóg mi ostoją i wiernym obrońcą.  
 A gdy ludzi czyn lub głos prawa obrazi i święte bóstw trony,  
 Niech ich straszny dogna los, skarci dumy wzlot szalonej;  
 Gdy za brudnym zyskiem gonią,  
 Gdy od ludzi złych nie stronią,  
 Świętość grzeszną skarzę dłonią.  
 Któżby jeszcze się chelpił, iż kary on groty  
 I bogów odeprze gniewy?  
 Jeśliby takie cześć miały roboty,  
 Nacóż me tańce i śpiewy?  
 Już do Olimpji nie pójdę, nie pójdę Delfów ja szlakiem,  
 Nie ujrzy mnie Abejski chram,  
 Aż niebo swym wszechwładnym znakiem  
 Mowom ludzi zada kłam. O Zeusie! jeśliś ty panem niebiosów,  
 O wszechwładco ziemi losów, bacz na krnąbrność ludzkich głosów!  
 Co bóg o Lajosie wieści, mają już za sen i mary!  
 I Apollo już bez cześcił Wniwecz idą wiary...

Fragment VI, w. 1060 nst.

*Wkrótce nadchodzi posel z Koryntu i przynosi wiadomość, że król Polibos, którego Edyp poczytywał za swego ojca, umarł; zarazem powiadamia Edypa, że nie jest synem Polibosa; że jako niemowlę został znaleziony w dolinach Cytajronu; Jokasta słyszy te nowiny i zaczyna rozumieć, że Edyp, jej obecny mąż, jest zarazem jej synem, który jako niemowlę został porzucony właśnie tam, gdzie znaleziono przybranego syna Polibosa i właśnie w tym samym czasie. Zwraca się do Edypa:*

Jeśli, na bogów, życie tobie miłe,  
 Nie badaj tego; starczy mej katuszy.  
 Edyp. Odwagi! nic ci nie ujmie, chociażbym  
 Z dziadów i ojców pochodził niewoli.  
 Jokasta. Jednak mnie słuchaj, błagam, nie czyni tego.  
 Edyp. Zbytńia uległość nie zawrze mi prawdy!  
 Jokasta. Z serca najlepszą ci służę poradą.  
 Edyp. Co zwiesz najlepszem, oddawna mnie dręczy...  
 Jokasta. Nieszczęsny, niechbyś nie wiedział, kim jesteś.  
 Edyp. Czyż mi nie stawią wnet tego pastucha?  
 Ta — niech się cieszy świetnością swych przodków!  
 Jokasta. Biada, nieszczęsny, to jedno już słowo  
 Rzeknę, a głos ten już będzie ostatnim (odchodzi).  
 Chór. Dłaczegóż żona w tak dzikiej rozpaczy  
 Precz stąd wybiegła, Edypie? Strach zbiera,  
 Że jaka klęska w milczeniu się zerwie...

## Fragment VII, w. 1102 nst.

*Po odejściu złamanej Jokasty Edyp z dumą wypowiada przypuszczenie, że jest synem nieznanego boga, który go pozostawił w górskich dolinach; również i Chór tak mniema i cieszy się. Nadchodzi stary pasterz, któremu Lajos ongi dał synka do zabicia, i stwierdza, że synka tego oddał pasterzowi z Koryntu, gdzie tenże został wychowany przez króla Polibosa; stwierdza zarazem, jako jedyny świadek śmierci Lajosa, że zabił go Edyp. Zatem sprawdziła się stara wyrocznia Apollina, że Edyp zabije własnego ojca i ożeni się z matką.*

- Edyp. Biada, już jawnem to, czegom pożałd;  
O słońce, niechbym już cię nie oglądal!  
Życie mam, skąd nie przystało, i żyłem,  
Z kim nie przystało — a swoich zabiłem.
- Chór. O śmiertelnych pokolenia! życie wasze to cień cienia.  
Bo któryż człowiek więcej tu szczęścia zażyje  
Nad to, co w sennych rojeniach uwije,  
Aby potem, z biegiem zdarzeń, po snu chwili runąć z marzeń.  
Los ten, co ciebie, Edypie, spotyka,  
Jest mi jakby głosem żywym,  
Bym żadnego śmiertelnika nie zwał już szczęśliwym.  
Twe cięciwy miotły strzały gdzieś daleko, za granice  
Zwykłych szczęść i chwaly. Wróżą zmożęś ty dziewicę,  
Ostrzem zbrojną szponów. Żeś nam stanął jako wieża  
Obronna od zgonów, uczcił w tobie lud rycerza  
I wywyższył cię ku niebom, byś królem był Tebom.  
A dziś kogo większa moc klęsk i złego gnębi?  
Któż w czarniejszą runął noc do nieszczęścia głębi?  
Edypa głowa wystawiona, jednej starczyło przystani  
Na syna, ojca kochanie — i jednego łona.  
Jakoż cię mogły znosić do tej pory w milczeniu ojca ugory?  
Czas wszechwiedny, ten odłoni winy twojej brud,  
Ślub nieślubny zemsta zgoni płodzących i płód.  
O niechajbyś się, Lajosa dziecię, nigdy nie był zjawił,  
Nie byłbym teraz rozpaczą, co micie jęki, serc krwawił.  
Tyżeś to kiedyś roztworzył me oczy —  
I dziś ty grażysz mnie w mroczy.
- Posłaniec domowy (*wychodzi z pałacu, dokąd przed chwilą odszedł zrozpaczony Edyp*).  
O wy, którzyście starszyzną tej ziemi,  
Jakież będziecie wnet słyszeć i widzieć  
Klęski i jakiej doznacie boleści,  
Jeżeli trwacie w miłości tych domów.  
Myślę, iż Istru ni Fasysu wody  
Kałów nie zmyją, co kryją się w wnętrzu  
Tego domostwa i wyjrzą na światło. —  
Woli to dzieła. A najgorszą męką  
Ta, którą człowiek własną ściagnie ręką.
- Chór. To już, co wiemy, dość daje żaloby  
I dosyć jęków. Cóż nadto przynosisz?
- Posłaniec. By jednym słowem wyrzec i pouczyć,  
Wiedźcie, że boska Jokasta nie żyje.
- Chór. O ta nieszczęsna! Jak ona zginęła?
- Posłaniec. Z własnej swej ręki. Co grozą w tym czynie,  
To was oszczędzi, boście nie patrzeni.  
Jednak o ile rzecz w mojej pamięci,  
Straszne niewiasty opowiem katusze.  
Gdy bowiem w szale rozpaczy wkroczyła

W przedsiębierstwo, wbiegła prosto do łożnicy,  
 Włosy targając obiema rękami,  
 A drzwi za sobą gwałtownie zawarłszy,  
 Cieniów zmarłego woła Lajosa,  
 Starych pamiętna miłości, od których  
 On zginął, matką zostawając nato,  
 Aby płodziła dalej z własnym płodem.  
 Jękała nad łożem, co dała nieszczęsnej  
 Męża po mężu i po dzieciach dzieci,  
 I jak wśród tego skończyła, już nie wiem.  
 Bo, wyjąc, Edyp wbiegł i od tej chwili  
 Już nie widziałem, co ona poczyna.  
 Lecz jego tylko śledziłem już ruchy.  
 Biegał on, od nas żądając oszczepu,  
 Wołał, gdzie żona, nie żona, gdzie rola  
 Dwoista, której był siewcą i siewem.  
 I szalonemu duch chyba to wskazał,  
 Nie żaden z ludzi, którzy tam obecni.  
 Więc z krzykiem strasznym, jakby za przewodem  
 Runął ku odrzwiom i wnet ze zawiasów  
 Wysadził bramę i wpadł do komnaty. —  
 A tam zoczył niewiastę, jak wisi  
 Chustą zdławioną. Edyp na ten widok  
 Z wyciem okropnym, nieszczęsny, rozplątał  
 Węzeł ofiary, a kiedy jej ciało  
 Zwiśło na ziemię, zdwoiła się groza.  
 Bo sprzączki z szaty wyrwawszy zlociste,  
 Któremi ona spinała swe suknie,  
 Wzniósł je i wraził w swych oczu źrenice,  
 Jęcząc, że dotąd wyście nie widziały,  
 Co ja cierpiałem i com ja popełnił,  
 Przeto na przyszłość w ciemności dojrzenie,  
 Czegobym nie chciał; co chcę, nie poznać.  
 Wśród takich zaklęć raz wraz on wymierza  
 Ciosy w powieki; wydarte źrenice  
 Zbarwiły lica, bo krew nie ściekała  
 Zrazu kroplami, lecz pełnym strumieniem  
 I z ran sączyła wdół czarna posoka.  
 To się z obojga zerwało nieszczęście,  
 Nieszczęście wspólne mężowi i żonie. —  
 Była tu świetność zaprawdę świetnością  
 Za dni minionych, w dniu jednak dzisiejszym  
 Nastąpiła groza, śmierć, hańba i jęki,  
 Nie brak niczego, co złem się nazywa.  
 Cóż więc poczyna teraz ów nieszczęsny?  
 Krzyczy, by bramy rozwarło, i Tebom  
 Wskazano tego, co ojca zmordował,  
 Co matkę — wstręł mi przytoczyć te słowa; —  
 Woła, że, z kraju uchodząc pod klątwą,  
 Tu nie zostanie, jak sam się zaklinał.  
 Lecz brak mu siły i brak przewodnika,  
 Bo zło zbyt ciężkie na niego runęło.  
 Wnet to ujrzycie, bo bram tych zawiasy  
 Się rozkwierają, a stanie przed wzrokiem  
 Taki nam widok, że wrógby zapłakał.

Chór.

Postaniec.

- Chór. O, straszny los dla ludzkich ócz,  
 Straszniejszy cios od wszelkich klęsk,  
 Które widziałem na ziemi.  
 Jakiż wśród nędz nagarnął cię szal?  
 I jakiż duch z nawalem burz  
 Do takiej zgrążył cię głębi?  
 Biada ci, biada! wymija cię wzrok,  
 A chciałbym wiele się spytać,  
 Wiele się zwiedzieć i wiele rozważyć,  
 Lecz strach mną trzęsie i groza.
- Edyp. O biada mi, biada! Nieszczęsny ja, do jakich ziem  
 Podążę? gdzie uleci głos? O losie! w coś ty mnie powalił?

Fragment VIII, w. 1526 nst.

- Chór. Ach, ojczystych Teb mieszkańcy, patrzcie teraz na Edypa,  
 Który słynne zgłębił tajnie i był z ludzi najprzedniejszym,  
 Z wyżyn swoich na nikogo ze zawiścią nie spoglądał,  
 W jakiej nędzy go odmętach srogie losy pograżył!  
 A więc bacząc na ostatni bytu ludzi kres i dolę,  
 Śmiertelnika tu żadnego zwać szczęśliwym nie należy,  
 Aż bez cierpień i bez klęski krańców życia nie podbieży.

Koniec tragedji.

Tłum. K. Morawski.

## EURYPIDES

(484—406 przed Chr.)

### BACHANTKI

*Osoby dramatu: Dionizos; Chór Bachantek. Tejrezjasz wróżbita; Kadmos, założyciel Teb; Penteusz, król tebański; Sługa; Goniec; Agawe, córka Kadma, matka Penteusza. Rzecz dzieje się w Tebach.*

Fragment I

- Dionizos. A zatem na tebańskie przybyłem zagony,  
 Ja, Zeusa syn, Dioniz, ongi urodzony  
 Z Semeli, latorośli Kadmowego domu,  
 Co zleża, rozwiązana tyrkawicą gromu.  
 Na ziemskie kształty bożą zmieniwszy urodę,  
 Mam oto źródła Dyrki i Ismenu wodę,  
 Grobowiec mej zabitej od pioruna matki  
 I domu królewskiego dymiące ostatki.  
 Niebieskie jeszcze ognie tlą się w tej ruinie,  
 Od których, tak się stało, ma rodzica ginie,  
 Ofiara zemsty Hery. Kadma chwałę sobie,  
 Że kazal tak ogrodzić to miejsce przy grobie  
 Swjej córki. I me ręce również osłoniły  
 Bogatym winogradem świętość tej mogiły.  
 Rzuciwszy ziemię Lidów, gdzie złota bez końca,  
 I Frygów, równie Persów, spalone od słońca,  
 Baktryjskie dalej mury, szare ludów niwy  
 Za sobą zostawiwszy; przebiegłszy szczęśliwy  
 Arabji kraj i Azję całą u wybrzeży  
 Mórz słonych, co basztami pięknych miast się jeży,

Gdzie z tłumem barbarzyńców zmieszały się Greci,  
 Obrządek mój, me płasy w tej strefie dalekiej  
 Zaprowadziwszy wszędzie, by miano w pamięci,  
 Że jestem bóg, do tego według mojej chęci  
 Przybyłem naprzód miasta, by tebańskie rzesze,  
 Nim inny kraj helleński zaprawię w uciesze,  
 Rozwydrzyć, ciała w skóry przyodziać jelenie,  
 Dać w ręce tyrs, bluszczowy ten mój bał! Nasienie  
 Niedobre, siostry matki mojej, co się przecie  
 Bynajmniej nie godziło, zaczęło po świetle  
 Rozgłaszać, że Dioniz to nie syn Zeusowy,  
 Że matka ma, Semela, z Kadmosa namowy  
 Na bóstwo całą hańbę swojej winy złoży,  
 Gdy człowiek ją śmiertelny, a nie władca boży,  
 Zapłodni; że potem — tak ją piętnowały —  
 Zeus matkę mą uśmiercił za ten wymysł cały.  
 I dla mnie w tej obeldze dość było powodu,  
 By zmysły im pomieszać i wypędzić z grodu,  
 Więc dzisiaj siedzą w górach z obłąkaną duszą,  
 I w godła moich orgij przystrajać się muszą.  
 I jaka tylko żyła w tych murach niewiasta,  
 Musiała precz uciekać z Kadmowego miasta.  
 Ażby wszystkie razem z królewskimi córy  
 Złączywszy się, bez dachu, na złomiskach góry  
 Samotnych, opoczystych, wśród zieleni jodły,  
 Swoją żywot obłąkany dziś i zawsze wiodły!  
 Bo niechaj grodu tego uczują mieszkańcy  
 Z swą wolą, czy wbrew woli, że dotąd o te tańce  
 Bachijskie i obrzędy nie nazbyt się wiele  
 Troszczyli. Pragnę także i matkę Semele  
 Obronić, gdy się ludziom jako bóg ukaże,  
 Którego Zeusowi porodziła w darze.  
 Król Kadmos rządy państwa przelał już w tym czasie  
 Na syna drogiej córki, Penteja; ten zaśię  
 Mą boskość lekceważy, w zalewkach nie sprzyja,  
 W ofiarach i modlitwach. Zobaczysz on, czyja  
 Jest słuszność, kto mocniejszy! Żem bóg i że godnie  
 Należy uczcić boga, chyba udowodnię  
 I jemu, i mieszkańcom jego Teb!... Pod nieba  
 Zaś inne, zarządziwszy tutaj, co potrzeba,  
 Wybiorę się w te tropy, aby ludziom w ślepie  
 Zaświecić swą boskością! Zacie ja przetrzepię  
 Tych jego Tebańczyków, gdyby wściec się chcieli  
 I z gór moje bachantki pędzili. Jeżeli  
 W tej jawię się postawie, jeżeli się z boga  
 W człowieka przedzierżnąłem, to nato, by sroga  
 Spotkała ich nauka: menady zgromadzę  
 I huzia! hej! Zobaczą, kto ma tutaj władzę!  
 Niewiasty! Posłuchajcie! Za moim rozkazem  
 Od Tmolu, niw lidyjskich strażnicy, wy razem  
 Przyszłyście tutaj ze mną, wy, moje podróże  
 Z ziem cudzych wraz dzielące! Frygijskie — a nuż! —  
 Brać bębny, wynalazek mój i matki Rei!  
 Otoczyć dom królewski z poszumem zawiei,  
 Bić w błony, co tchu starczy, na słyhy i dziwy  
 Kadmosowego miasta! Ja teraz na niwy

Kitajzonowe skoczę, w jar, gdzie jest zebrany  
 Korowód mych bachantek, i puszcę się w tany!  
 Chór. Azji smug, święty Tmol, opuściłam śród swych dróg,  
 By mnie słyszał szumny bóg, by go uczył okrzyk mój!  
 W Bacha cześć łatwo znieść ten nieznojny, święty znój!  
 Któż tam, hej! w gmachu tym? któż mi w drodze stanął mej?  
 Precz mi z oczu! milczeć chciej, kto tu żyw jest, kto tu zdrow!  
 Bogu my ślemy tchy wrzących hymnów, wrzących słów!  
 Szczęśliwy zaiste człek, kto się do służby bożej  
 Całą swą duszą przyłoży, kto życia swego bieg  
 Kierując w góry, na wtóry i tańce bachijskie, najradziej  
 Im oddan, gładzi swe grzechy! szczęśliwy, kto się mozoli  
 Wraz z nami płasami w cześć Wielkiej Macierzy Cybeli.  
 Kto pelen szalonej uciechy, tyrsos w swą ujmie dłoń,  
 Bluszczem uwieńczy skroń i wielbi, i chwali najdbalej  
 Dionizową moc!... Hejże ku mnie, tłumnie, szumnie,  
 Ty, bachantek ciżbo młoda, coś szumnego tutaj boga,  
 Którego sam splodził bóg, od górzystej Frygji dróg  
 Do helleńskich wiodła smug!... Jakżeż ci on ujrzał świat? —  
 Znosząc strasznych bólów siła, rodzica go poroniła,  
 Gdy Zeus z swym piorunem spadł. I przerażona wraz skona  
 Pod razem straszego gromu. Lecz z zmarłej domu położnej  
 Kronida Zeus go zabierze i w biodrze, przeszczodrze  
 Obwiódłszy je złotem, by Herze z przed ócz go usunąć, ostrożny,  
 Zamyka dziecię — i wiecie, gdy Mojry porodu czas wydzwonily,  
 Gromosiły zrodził bóstwo, co na czole pokazało rogi wole  
 Oraz wieniec splecion z żmij:  
 Stąd, Menado, zbrojna w kij z węzów sobie warkocz wyl!  
 Tebański grodzie mój, ojczyście gniazdo Semeli!  
 Niech się, kto żyw jest, mozolil w bluszczu leśnego zwój  
 Każdy swe czoło strój! Strójcie się, strójcie się w kwiaty,  
 W powój zielenią bogaty, w gałęzie dębu, czy jodłę,  
 Na Bacha wesolą modle! Skóry zarzućcie jelenie  
 Na białe z welny odzienie, swywolne chwyciwszy pręty,  
 Świećcie obyczaj święty, a wnet za wami wślad  
 Ruszy się cały świat. W tan się on puści, w tan,  
 I ten nasz szumny pan do gór powiedzie, do gór  
 Swoj rozpasany chór. Tam czeka już gawieź radosna,  
 Od płochy wygżona i krasna przez Dioniza boga!  
 Kuretów skronie, hej! Zeusa prześwięta kolebo,  
 O Kreto, skąd się pod niebo z leśnych unosił kniej  
 Wrzask Korybantów, rej wiodących w bożej uciecze!  
 Wszakże ci ongi ich rzesze, strojne w szyszaku trzy kity,  
 O, ten nasz skórą obity krąg wynalazły i świetnie  
 Frygijskie, łagodne fletnie, dźwięk ich przesłodki, przemily,  
 Z jego rozlukiem spoily! Do Rei-macierzy rąk  
 Bębeny dały krąg, ażeby głośniej brzmiał  
 Święty bachijski szal. Od niej satyrów tłum  
 Wziął go na huk i szum w to uroczyste trzechlecie,  
 Ktorem się cieszy na świecie władca nasz Dionizos.  
 O, jakież słodki, rozkoszny to żar, gdy gorzki rzuciwszy jar,  
 Kiedy ze skalnej krawędzi w doliny nasz orszak boży pędzi,  
 Kiedy ta rzesza rozwiązła, spragniona wrzącej krwi kozła,  
 Gdy w niej żywego mięsa głód się sroży, kiedy jej pachnie krew,  
 Do Frygji czy Lidji gór, w splachciu z jelenich skór rwie się!  
 A przed nią na polu, po lesie — hu! ha! — krzyk Bacha się niesiel

I wraz po dolinie, wyżynie, mleko strugami płynie,  
 I wino płynie w bród, i płynie nektar miód,  
 I całą w okrąg błoń syryjska napelnia woń!  
 I Bachus żywiczne łuczywo wyciągnie z swej trzciny co żywo,  
 I, potrząsając ogniami, tumani swój orszak i mami,  
 Do tańców-lamańców rwie wlot! i głosy w niebiosy śle —  
 Swoj zew, swe wrzaski hukliwe na niwę rozlewa.  
 I bujne swe włosy, kędziorów splot, na wiatер rozpuszcza, na wiew!  
 I leje się krzyków ulewa po polu, przez uroczyśka kniej:  
 Hej, cudna kraso Tmolu, co szczerem złotem tryska,  
 Bachantki moje, hej! o wy, bachantki me! hu! chodźcie tu!  
 Chodźcie, hu! by co tylko starczy tchu, w Dioniza cześć  
 Hymn rozgłośny wzniesić! Oszałała w swej ochocie  
 Przy straszliwym bębnow grzmocie, oszalałe niech hejnały  
 Piers wyrzuci! oszalały chce ją słyszeć bóg!  
 A frygijskiej, dzikiej burzy, łagodząc jej huk,  
 Niechaj słodki dźwięk zawtórzy — niech świętego fletu święta  
 Płynie nuta i do gór w ten swój wtór  
 Mych bachantek wiedzie chór! I w te tropy wskroś przejęta,  
 Wyrzucając chyże stopy, jurna dziewczka, jak źrebięta  
 Przy klaczy, swej matce, na łące skaczące, pędzi za swoim bogiem...

*Na scenę wchodzi*

Tejrezjasz. Przy bramie kto? Wywołać Agenera plemię,  
 Kadmosa, co sydańską porzuciwszy ziemię,  
 Basztami gród ten zjeżył, obwarował Teby.  
 Niech idzie kto i powie, że nie bez potrzeby  
 Tejrezjasz chce z nim mówić. Wie, poco się jawię  
 I w jakiej stary z starszym godziłem się sprawie:  
 Wdziać na się skórę sarnią, tyrs pochwycić w dłonie  
 I bluszczu latoroślą uwieńczyć swe skronie.

*Z domu wychodzi*

Kadmos. Poznałem właśnie głos twój, usłyszałem, panie,  
 Mądrego iście męża przemądre wezwanie  
 I, gotów, idę z wszystkim, co potrzeba będzie,  
 Ażeby według sił swych w świątecznym obrzędzie  
 Wziąć udział i przyczynić się do pomnożenia  
 Czcł syna mojej córki, co jest dla plemienia  
 Ludzkiego na świat posłan jak bóg. Więc powiedz,  
 Gdzie tańczyć mam, na jaki zwrócić się manowiec  
 I siwą wstrząsnąć głową. Starszemu ty stary  
 Przewodźcie chciej, boś mędrzec. A ja tu bez miary  
 Bluszczowym będę prętem bił o ziem, zapomnę,  
 Że starość mi pisana.

Tejrezjasz. I ja też ogromne  
 Mam chęci! Odmłodziłem i do piasów stanę.  
 Kadmos. Na wozie brać się w góry? czy to jest wskazane?  
 Tejrezjasz. Nie! Mniejbyśmy tak bożą uczcili wszechwładzę!  
 Kadmos. Więc ja cię tam, człek stary, starca poprowadzę.  
 Tejrezjasz. Sam bóg nam dzisiaj drogę bez trudu pokaże.  
 Kadmos. Czy miasto weźmie udział w tym bachanckim żarze?  
 Tejrezjasz. My jedni mamy rozum, innym on nie służy.  
 Kadmos. Więc chwyć się mojej ręki, poco zwlekać dłużej?  
 Tejrezjasz. A ty na mem ramieniu oprzej się i w drogę.  
 Kadmos. Śmiertelny człek, bogami gardzić ja nie mogę.

Tejrezjasz. Tu nanie mędrkowanie! Wszelkie z niebem kwasy  
 Daremne. Wiary ojców, którą po te czasy  
 Przez wieki nam przodkowie nasi przekazali,  
 Nie zniszczy nikt, jej ustaw żaden mózg nie zwali,  
 Choć pomysł najbystrzejszy znajdzie człek w swej głowie.  
 Być może: «Jesteś stary» — tak niejeden powie,  
 Lecz ja się tego wcale nie wstydzę, ja w bluszcze  
 Przystroję skroń i w płasy serdecznie się puszczę.  
 Bóg przecież nie przepisał, kto ma iść w zawody  
 Bachanckie: człowiek stary, czy też tylko młody.  
 Od wszystkich czci on żąda i nie z lat jedynie,  
 Nie z barby ich cześć większa dłań lub mniejsza płynie.

Kadmos. Ponieważ dnia bożego nie widzisz, więc ja się  
 Podaję za proroka, mój Tejrezjasie,  
 I powiem ci, co widzą tej chwili me oczy:  
 Pośpiesznie oto Pentej w stronę zamku kroczy,  
 Mój wnuk, Echionida, któremu oddałem  
 Swe berło. Cóż mi powie? Jest jak zdjęty szateł!

*Na scenę wchodzi*

Penteusz. Bawiłem poza domem, powracam do kraju  
 I slysze o złym, nowym w tem mieście zwyczajaju.  
 Niewiasty oto nasze porzuciły domy  
 I, niby szal udając, przepelne oskomy,  
 W lesistych, rozłożystych się górach płasami  
 Nowego wielbią boga — kim on między nami  
 Być może — Dioniza. Są pijackie dzbany,  
 Co chwila ta lub owa w chuci rozpasanej  
 W ustronne znika miejsce, mężczyznom dogadza.  
 To znaczy: pod pozorem, że bożego władza  
 Natchnienia je porywa, niecne białogłowy  
 Dla Bacha i Cyprydy mają czas gotowy.  
 Ile ich pochwycono — każda ma już pęta  
 I w miejskiem jest więzieniu uczciwie zamknięta.  
 Na te, co jeszcze w górach, urządzę obławę —  
 Pochwycić każę Ino i matkę Agawę,  
 Co mnie Echionowi zrodziła...

...w żelazne je dyby  
 Zakuwszy, wnet odwiode od bachanckiej chyby.  
 Podobno miał z lidyjskiej przybyć tutaj ziemi  
 Czarownik jakiś, oszust z oczami ciemnymi  
 O słodkiej barwie wina; jak u Afrodyty  
 Włos jasny ma utreflon, w śliczne pukle zwity.  
 Z dziewczkami on młodemi, ten młodzieniec chwacki,  
 Przepędza dnie i noce pod pozorem schadzki  
 Świątecznej na cześć bogów. Jeśli pod tym dachem  
 Pochwycę go, doprawdy! nie ujdzie-li z strachem!  
 Przeszanie on mi stukać o ziemię tyrsosem  
 I tłumić się po świecie z tym rozwianym włosem,  
 Gdy łeb mu od tułowia oddzielę! Zbyt szczodrze  
 Mieni się Dionizem bogiem i że w biodrze  
 Zeusowem był zamknięty, jakkolwiek rzecz znana,  
 Iż z matką padł od ciosu gromowego pana  
 I zginął od pioruna, gdy te zaślubiny  
 Z Zeusem wymyślił!

Chór. Ach! Cóżto za bezbożnik! Niebu ty na zdradzie  
I plemieniami Kadma, który rzucił w ziemię  
Na mężów siew. Ty, ojca Echiona plemię!

*Wróżbita Tejrezjasz i starzec Kadmos starają się bezskutecznie przyprowadzić Penteusza do opamiętania.*

Fragment II

Chór. O zbożności boska ty, co nad ziemski wlatasz lan  
Na złocistem skrzydle swem! Słyszysz, jak niezbożnym tchem  
Pentej, z zgubnej pychy znan, szumnego nam boga lży?  
I tego syna Semeli, który się pierwszy weseli,  
Który jest zawsze na przodzie przy bogów radosnej,  
Strojnej w zieleń wiosny, biesiedzie. Albowiem dobrze się wiedzie  
Na świecie, kiedy przy flecie taneczne pływają grona,  
Gdy dusza, od troski zwolniona, śnać kona z radości —  
Kiedy niebiańskich uczujących gości wrzący rozpali sok,  
Z winnych wyciśnion tłok, kiedy wśród ludzi, zdobnych w bluszczu wian,  
I puhar krąży i dzban, gdy jego władza sen na powieki sprowadza.  
Co wędzidla nie chciał znać, sprośny język, już on zeżarł!  
Człek zbrodniczy, czelny człek, co wyrzuca bluźnierstw stek,  
Rychło smutny znajdzie czas. Zato skromna, cicha brać,  
Co, żyjąc zawsze roztropnie, przenigdy prawa nie kopnie,  
Ta w lasce żyje dużej: nie uderzy srogi grom w jej domu progi,  
Nie zburzy! Boć przecie widzą w swej stróży niebiosów  
Ci naszych losów szafarze, choć tak zdaleka,  
Wszelakie czyny człowieka! I rzeka rozumu  
Niezawsze będzie rozumem! Śród tłumu śmiertelnych ciał  
Bóg żyć nam królko dał. Kto zbyt się garnie, pnie, ten nie wie  
Śnać, co daje mu Ziemia-mać! Tylko szaleniec  
Po taki tu sięga wieniec! Na Cypru podążyc mi brzeg,  
Na Afrodyty ostrowie, gdzie słodcy miłości bożkowie  
Czarami ludzi tumanią. Być mi po wiek!...

*Sluga wprowadza związanego Dionizosa.*

Sluga. Penteju! Już jesteśmy; jest i lup gotowy,  
Po który nas wysłałeś. Niedaremne łowy!  
Lecz zwierz to oswojony, żadnym nas kłopotem  
Bynajmniej nie obarczył, ani myślał o tem,  
Ażeby nam się wymknąć, owszem najlaskawiej  
Dał ręce sobie związać, rzekłbyś, że się bawi,  
Bo nie zbladł, bo na liczku nie stracił rumieńca,  
Bo śmiał się, gdyśmy mieli odprowadzać jeńca,  
Bo w miejscu stał, tę naszą ułatwiając pracę.  
Więc mówię mu pokornie: «Przybyszu! Niech stracę,  
Lecz powiem ci, że brać cię nie mam żadnej chęci,  
Jednakże Pentej kazał, niech się przeto święci  
Ta wola mego pana...» — A one kobiety,  
Coś zgonił je i spętał, i zamknął, o rety!  
Uciekły precz z furdygi i na łęgi, do lasa,  
Gdzie cała ich gromada i huka, i hasa  
Na cześć szumnego boga! Z nóg im spadły dyby  
I wszystkie drzwi, i zamki, mówię to bez chyby,  
Otwarły się, choć ręka ludzka ich nie tknęła.  
Takie to w naszych Tebach cuda, takie dzieła,

O! człowiek ten dziś spełnia. Co tu czynić dalej,  
Już twoja to jest sprawa, my swoje działali.

*Odbywa się karygodna sprzeczka człowieka Penteusza z bogiem Dionizosem, który go napomina.*

## Fragment III

Penteusz. Hej, precz z nim! A przy końskim żłobie  
Przywiązać go, by w cieniu mógł zatańczyć sobie!  
Zaś te (*uskażuje Chór*), któreś tu przywiódł, uczestniczki zbrodni,  
Wysprzedam, albo, jeśli będzie mi dogodniej,  
Od hębna odzwyczaję i — to nie przelewkil —  
Do krosen je przystawię, jako proste dziewczki.

Dionizos. Idę... A juści tego znosić ja nie muszę,  
Do czego mnie nie zmuszą. Lecz za te katusze,  
Za szyd, ten Dionizos dobrze ci zapłaci.  
Zaprzeczać chcesz istocie tej bożej postaci,  
Więc będziesz musiał cierpieć! Mówiąc najwyraźniej:  
Krzywdzący mnie, ty boga zamykasz w swej kaźni!

*Dionizos zostaje uwięziony, Penteusz odchodzi. Chór bachantek ubolewa, aż z wnętrza królewskiego domostwa woła*

## Fragment IV

Dionizos. O haj! o haj! O słysz mnie, znaj! bachantek chór!  
A gdzież twój wtór? Słysz! Znaj! o haj!...

Chór. Cóżto? cóż? Skąd ten głos, tak mi znan? Czy mnie woła szumny pan?

Dionizos. Haj! o haj! Znów wołam, znów! Chów Semeli, Zeusa chów!

Chór. O haj! o haj! O panie wielki! twoje czcicielki  
Proszą cię, szumny ty boże, byś się pojawił w ich zborzel...  
Szał moje druhyl! ziemia się poruszał! ach, ach! ten Penteusza  
Królewski gmach w proch się rozpada, w kupy gruzu i złomu!...  
Dioniz jest w jego domu! Cześć mu oddajcie modłami!...  
Już oddajemy! Przed nami kamienne pękają słupy,  
Niebawem z pod tego dachu głos się triumfu, nie strachu, podniesie z warg!

Dionizos. Rozniećcie, rozniećcie się godnie, gromu ogniste pochodnie!  
Spalże mi, spalże mi docna dom ten, o iskro ty mocna!

Chór. Ach, ach! Zali nie widzisz? strach!  
Jak się ten płomień ścieli nad świętym grobem Semeli!  
Pożar to, luna z Zeusowego pioruna, który pozostał po niej,  
Kiedy ją gromem z swej dłoni uśmiercał możny bóg!  
Zginać-że, zginać kolana! Nie szczędzić trzęsących się nóg!  
Rzucąć na ziemię, na ziemię, to ciała przechwiejne brzemie,  
Bo oto już ku nam, menady, po zgliszczach i gruzach,  
Nasz młody zbliża się, zbliża pan!...

*Z ruin płonącego pałacu wychodzi*

Dionizos. Cudzoziemskie wy niewiasty! a więc taka trwoga trwóg  
O tę ziemię was rzuciła, powaliła z drżących nóg?  
Snać dlatego, tak się zdaje, że czułyście, jak ten gmach  
Pentejowy w gruz rozrzucal, jak go w pył rozkruszał Bach!  
Teraz wstańcie! Wypogódcie przerażoną, bladą twarz.

Chór. Ty w bachanckich korowodach najprzedniejszy wodzu nasz!  
Jak ja rada, widząc ciebie, w tej samotnej pustce, ach!

Dionizos. Ogarnęło cię zwątpienie z oną chwilą, gdy mnie w loch  
Prowadzono, gdy mnie Pentej kazał zepchnąć w kaźni mrok!

Chór. Tak, bo jeśli szwankbyś poniósł, któżby mój prowadził krok?  
Ale powiedz, jak uszedłeś z tych więziennych lotra bram?

Dionizos. Bez mozolu, bez wysiłku ocalitem się ja sam.  
 Chór. Jakto? Zali cię nie spętał? nie skępował ci tych rąk?  
 Dionizos. I tu sobie pokpiwałem z jego trudów, z jego mąk —  
 Zdało mu się, że mnie wiąże, że mnie w mocy swojej ma,  
 Że dotyka mych się członków, lecz nadzieja była czezał  
 Byka dopadł przy korycie, gdzie przytroczyć mnie on chciał,  
 Jął kolana mi krępować i racice, jak na schwał  
 Tchu mu zbrakło, sapał, zgrzytał, z ciała potu ciekł mu zdrój,  
 Wargi do krwi gryzł zębami! Nie wołałem doń: «A stój!»  
 Jenom cicho siedział przy nim, patrząc na to. W tenże czas  
 Przybył Bachus, wstrząsnął domem, ciężki mu wyrzucił raz,  
 Z grobu matki swej wyrzucił promienisty ognia słup!<sup>1</sup>  
 I Penteusz, zobaczywszy ten płonący, święty grób,  
 Mniemał, że mu dom się pali, że zniweczon jego próg,  
 Jął się rzucać na wsze strony, tu i tam, i do swych sług  
 Począł krzyczeć na ratunek, Acheloa, widać, głąb  
 Chciał wyczerpać: kto żyw tylko, pod zamkowy przybiegł zrąb —  
 Nadaremnie! I on również, myśląc, że to płona rzecz,  
 Przestał bawić się ratunkiem, jeno goły chwycił miecz  
 I do wnętrza wpadł. Śnać bał się, że mu jeszcze mogę zbiec.  
 Wówczas Bromjos, tak przypuszczam, gdy ten zaczął kłuć i siec,  
 W myśli, że tak mnie on siecze, podsunął mu twór ze mgieł:  
 Wydało się Pentejowi, że mnie sobie wziął na kiel,  
 A on w próżnię ciał przejrzytał! Niedość, że go Bach tak zwiódł,  
 Jeszcze on się stał dla niego sprawcą innych wielkich szkód:  
 Pałac w gruzy mu rozsadził, w perzynę obrócił dom  
 Z bólu, że mnie ujrzał w pętach, że mnie spotkał taki srom!  
 I on upadł ze zmęczenia, rzucił plony miecz o ziem —  
 On, śmiertelny, słaby człowiek, co w zuchwalstwie począł swem  
 Toczyć walkę z samym bogiem! I spokojnie, jakby nic,  
 O Penteja się nie troszcząc, ja u waszych staje lic.  
 Lecz zda mi się, że to jego skrzypią kierpce — jakby szedł  
 Tutaj do nas! o zapewne, wnet on zjawi się tu, wnet!  
 Ciekaw jestem, co też powie na to wszystko ten nasz gość?  
 Choćby z złości on aż dyszał, ja wytrzymam jego złość.  
 Bo do tego, tak powiadam, każdy w życiu swoim dąż,  
 Że łagodnym, powściągliwym winien być roztropny mąż.

*Wchodzi Penteusz, po chwili widzi Dionizosa:*

Straszliwie mnie okpiono! Uciekł przybysz szczwany,  
 Któregom w pętach rzucił we więzienne ściany.  
 A niech go! Co ja widzę? Tyś tu? Jaką drogę  
 Wybrałeś, by zbiec z lochu? Zrozumieć nie mogę!

*Odbywa się utarczka słowna Dionizosa i Penteusza: przybywa z gór goniec i mówi królowi o pochodzie szalejących bachantek i o ich połodze czarownej; Dionizos namawia Penteusza przebrać się za bachantkę i udać się na miejsce, potem powiadamia Chór, że to jest właśnie kara, jaką przeznaczył dla bezbożnego Penteusza; odchodzi z przebranym Penteuszem; chór ubolewa nad bezbożnością króla, wkońcu przybywa z gór goniec i opowiada o śmierci Penteusza:*

Goniec.

...głos ozwał się gromki:

«Niewiasty! Posłuchajcie! Wy, Kadma potomkil  
 I wy, moje dziewice! Zdrajcę wam przywiódłem,  
 Co mnie i was, i nasze obrzędy w swem podłem  
 Śmiał nurzać pośmiewisku! Ukarzcie go za to!...»  
 ...Zerwały się jak dzikie gołębice i, siły

<sup>1</sup> Dionizos-Bachus, mówiąc to, podaje siebie niby za proroka, a nie za samego boga.

Do biegu wyleżywszy, co tchu popędziły  
Agawa, matka króla, i obie jej siostry,  
I wszystkie wraz bachantki: niby wichur ostry  
Przepaści przesadzając, jary i źródlika,  
Pomknęły, bożym szaleń porwane i, zbliżka  
Ujrzawszy na tej jodle siedzącego króla,  
Straszliwie sobie tłum ich odrazu pohula.  
Nasamprzód były glazy w robocie: ze skały  
Sterczącej naprzeciwko kamienie rzuciły  
I kłody, i gałęzie. Inne w biedną głowę  
Mierzyły tyrsosami, lecz i tyrsosowe  
Jak pręły szły na chybe, albowiem na szczycie  
Wysokim, o nie! wyższym, niż sam chciał, swe życie  
Umieścił nieszczęśliwy ten mój pan! Bezradnie  
Na drzewie onem siedział, czekając, aż padnie.  
Konary dębowemi poczęły nareszcie  
Korzenie wydobywać te ręce niewieście,  
Podważać je bez dźwigni żelaznych. A kiedy  
Bez skutku i ta praca, do wścieklej czeredy  
Odezwie się Agawa: «Otoczyć mi kołem  
To drzewo, za pień chwycić, iżby przed mozołem  
Rąk naszych zwierz ten nie zbiegł i ażeby bożej  
Nie zdradził tajemnicyl...» I wraz się przyłoży  
Rąk tysiąc do tej jodły i wyrwie ją z ziemi.  
A między gałęziami siedział jodłowemi  
Penteusz, by wraz upaść śród jęków rozpaczy  
I westchnień przetyśniętych: wiedział, co to znaczy,  
Na śmierć niechybną szedł on. Dopadnie go matka  
I pierwsza — że kapłanka — pocznie do ostatka  
Mordować swego syna. On zasię, przepaszę  
Zrzuciwszy co tchu z głowy, błaga ją o łaskę,  
Ażeby go poznawszy, nieszczęsna Agawę  
Rzuciła te sprawiane nad nim sądy krwawe.  
«Syn jestem twój, o matko!» — tak on rzecze do niej,  
Dotknąwszy się jej lica, jej matczynej skroni —  
«To ja, Penteusz, syn twój, o matko rodzona,  
Któregoś porodziła w domu Echiona!  
Ulituj się nade mną i za moje grzechy  
Synowskiej ty się matko nie zbawiaj pociechy!»  
Lecz ona, wywracając oczy, tocząc pianę,  
Straciwszy zdrowe zmysły, gdzie zmysły wskazane,  
Bachanckim zdjęta szaleń, ani go nie słucha.  
Na piersiach mu stanąwszy, i ślepa, i głucha,  
Rozedrze mu łopatkę i, chwyciwszy ramię,  
Wrywa je — o, siłą nie własną! Nie kłamie:  
Bóg jakiś tak ustalił niewieście jej ręce!  
Zaś z drugiej strony Ino uczestniczy w męce,  
Na kęsy szarpiąc ciało. Nieszczęsnej ofiary  
Dopadła Autonoe, a z nią całe chmary  
Bachantek...  
O, biedny Penteusie! Kawałami ciała  
Twojego, niby piłką, ta czeladź rzuciła!  
Na ostrych skał złomiskach leżą jego strzępy,  
Po gąszczach rozsypane, na lesiste kępy  
Rzucone! O, nielato je znaleźć!... Traf zdarza,  
Iż głowa się dostaje do rąk matki. Wraża

Rodzica wraz na tyrsos ją zatknie: pędzi,  
By z głową lwa dzikiego, od skalnych krawędzi  
Cytajronowych. W górach wraz z swemi menady  
Pozostawiła siostry, sama zaś w me ślady,  
Z krwawego łupu dumna, śpieszy w nasze mury...

*Chór bachantek ubolewa, po chwili wchodzi Agawa z głową swego syna Penteusza, za nią inne bachantki, i wychwalają swój czyn; wchodzi Kadmos z resztkami zwłok Penteusza na noszach; Agawa powoli otrząsa się z szatu, rozpacza, że zamordowała syna, rozpacza i Kadmos.*

- Chór. Kadmosie, żal mi ciebie! Jednak zasłużenie  
Padł wnuk twój, choć tak krwawe zostawił ci mienie.
- Agawa. Cóż stało się z mych losów, ty mój ojcie miły?  
Ażeby żyć tu dalej, już ja nie mam siły!  
Penteusz, syn, nie żyje! Ręce moje własne  
Rozdarły go na strzępy! Niechże i ja zgasnę!
- Dionizos. On karę zasłużoną poniósł: szydził ze mnie  
I przeto z rąk tych zginął, z których tak nikczemnie  
Nie był powinien zginąć. Ale i wam godnie  
Zapłacić trzeba będzie za spełnioną zbrodnię  
Na wnuku tego starca. Już nie zobaczycie  
Tych murów, wypędzone z nich na całe życie.  
Ty w smoka, królu Kadmie, będziesz przemieniony,  
A co zaś do Aresa córki, twojej żony,  
Harmonji, która z tobą, choć śmiertelnyś, żyje  
W małżeńskim związku, w gada się przedzierzgnie, w żmiję —  
Lecz Ares przyjdzie w pomoc tobie i Harmonji,  
Obojga was na Wyspie Szczęśliwości schroni.  
To mówięc ja, Dioniz, nie śmiertelny człowiek,  
Lecz Zeusa syn prawdziwy...
- Agawa. Żegnaj mi, grodzie ojczysty, żegnaj mi, domie ty mój!  
Wypchniętą z rodzinnych progów okrutny czeka znój.  
Arystajowych poszukaj rozłogów!
- Kadmos. Ojczel! nad losem twym płaczę!
- Agawa. A mnie chwytają rozpaczę na twą i sióstr twoich dolą!
- Kadmos. Dioniz, wielki bóg, strasznym zapłonął gniewem,  
Z rodzinnych wygnał smug!
- Dionizos. Ale i mnie strasznie bolą te krzywdy, przez was zadane —  
Krwawą mi ranę Tebański zadał gród, że mi odmówił czci!
- Agawa. Bądź-że mi, ojczel, zdrów!
- Kadmos. Bądź zdrowa, córko-nieboga!  
Jeno do zdrowia nie wiecie ta droga!
- Agawa. Do sióstr mnie powiedzcie, do sióstr,  
Przed niemi niech stopa ma stanie,  
By razem pójść na wygnanie — biedne wy, siostry moje  
Nie na Cytajron mi iść, ani on mnie nie zobaczy,  
Ani ja jego! ach! nie dla mnie bachantek stroje,  
Nie dla mnie już w bluszczu liść zdobne te pręty —  
Innym zostawię ja ten obrzęd święty!...
- Chór. W przemnogiej postaci zjawiają się losy,  
I niespodzianki urządza nam bóg.  
Miast zyskać, człek traci, a zysków niebiosy  
Śród niespodzianych nie skąpią mu dróg.  
Tak było i z tem wydarzeniem...

Koniec tragedji.

Tłum. Jan Kasprowicz.

## ARYSTOFANES

(450—385? przed Chr.)

## PTAKI

W. 1 nst.; 187 nst.; 676 nst.

*Osoby komedji, występujące w przytoczonych partjach: Euelpides oraz Pejstetajros (Dobromyśl i Druhorad), obywatele ateńscy w płasich maskach. Dudek, ongi król Tezeusz, Mysikrólik, służebnik Dudka, Prokne, słowiczka, małżonka Tezeusza, za sceną. Prometeusz, tytan, przyjaciel ludzi. Chór ptaków.*

*Skalista okolica, dokoła gęsty las Dwaj Ateńczycy Euelpides i Pejstetajros, którzy wyruszyli na poszukiwanie nowej siedziby, błądzą, niepewni, w którą stronę się zwrócić. Jeden z nich trzyma kawkę, drugi wronę na pięści, używając ptaków jako przewodników.*

Euelpides (do kawki).

Więc prosto radzisz, gdzie rośnie to drzewo?

Pejstetajros (do wrony).

Byś pękał!... Ścierwo znów «wtył zwrot» nam kraczel

Eu.

Nacóż, kpie jakiś, błądzić w prawo, w lewo?...

Na tych manowcach szeczniem snadź, tulaczel

Pejst.

Bo też ja, wronie ufając, niebożę,

Obiegłem wkółko tysiąc stadjów może!

Eu.

Bo też ja, kawce ufając przekłętej,

Obilem u nóg paznokcie i pięty!

Pejst.

Dzika tu, zgola obca okolica!

Eu.

Czybyś stąd dojrzał, gdzie nasza stolica?

Pejst.

Stądby nie dojrzał jej ni Egzekestid.

Eu.

Biada!

Pejst.

Tą drogą pójdziesz ty sam chyba!

Eu.

Zaiste, okpił nas na ptasim targu

Ów ptakokupień, Filokrates durny,

Ręcząc, iż ptaki te nas do Tezeja

Powiodą, który ptakiem z rodu... ptaków.

Sprzedal tę oto Tarelejdy córę,

Kawkę, za obol, za trzy zasię wronę:

A one jeno w kasanu uczone.

(do kawki) Co dziób rozdziawiasz? Czy z tych skał nas może

Chcesz na leb strącić? Wkrąg ni śladu ścieżki!

Pejst.

I tu, dalibóg, nie, jeno bezdroże!

Eu.

Nic-że ci wrona o ścieżce nie wieści?

Pejst.

Na Diosą, pieje inaczej niż wprzód.

Eu.

A co do ścieżki?

Pejst.

Nic! Lecz chęć ją bierze

Do krwi pokasać i obgryźć mi palce.

Eu.

To niesłychane! Tak pragniemy szczerze

Iść do... Kaduka z manatki wszystkieni,

A drogi znaleźć nie możemy k'tej ziemi. (do publiki):

Boć baczciesz, mężo — widzowie tej sztuki,

Że my nie chorzy, jak Sakas przechera,

Który przemocą do Miasta się wdziera: —

My co do rodu i cechu nie włóki,

Mieszkańce Miasta, acz nas nikt nie żenie,

Wlot porzucamy ojczyznę i mienie!

Nie z nienawiści do Miasta, broń boże!

Wszak to szczęśliwe i możliwe, bo może

Opróżniać z grona... ziomek swych kieszenie.

Jeśli ćwierkają miesiąc dwa świerszczyki  
Pośród konarów, to cne Ateńczyki  
Życia ciąg cały nad sporami swemi.  
Przetośmy za kij chwycili pielgrzymi,  
I krwi ofiarny niosąc koszowian mirtowy;  
Szukamy, błędząc, kraju bez procesów,  
Gdzieby spokojnie można skłonić głowę.  
Ninie pątujem do Dudka-Tezeja,  
By go zapytać, jaka jest nadzieja?  
Czy miasto widział w lotach swych takowe?  
Hej, ty!

Pejst.

Eu.

Co znowu?

Pejst.

Wrona znowu wrzeszczy,

Dziób wznosząc wgórę.

Eu.

Kawka moja również

Wzwyż dziób rozdziawia: snać mi daje znaki.

Muszą tu chyba gdzie gnieździć się ptaki.

Wszcząwszy zgiełk nagły, spłoszym stado całe.

Pejst.

Wiesz co, mój drogi? wal nogą o skałę!

Eu.

Łbem lepiej trykaj, będzie hałas większy.

Pejst.

No, to kamieniem pukaj.

Eu.

Sprawa krótkal

*Podnosi kamień i bije nim mocno o skałę, jakoby do drzwi.*

Hej, chłopcze!

Pejst.

Jak ty wołasz? «Hej, chłopcze» — na dudka?

Raczej: «Hej, dudud» trza na niego pukać.

*Puka znowu.*

Hej, dudud! — dudud!

*Z zarośli wychodzi w podrygach ptak długodzioby i długoogoniasty, służebnik Dudka, na scenie zatem: Euelpides, Pejstetajros i Mysikrólik; ten mówi:*

Mysikrólik. Ktoście wy? Kto z was wołał mego pana?

*Ogólne przerażenie. Pejstetajros upada na ziemię ze strachu, przyczem ucieka mu wrona, również kawka uwalnia się z drżącej dłoni Euelpidesa.*

Euelpides, *drżąc ze strachu.*

Febie, klątw chrońco! co za rozziw dziobał!

Mysikrólik, *dygocąc.*

Biada mi! — to są ptaszniki, ma zguba!

Eu.

Przecz srogiś? Pięknie powitaj swe drużby!

Mys.

Zacznijcie oba!

Eu.

My nie ludzie.

Mysikrólik *z powątpiewaniem.*

Któżby?

Eu.

Jam ptak libijski. Zwą mnie strachodupek.

Mys.

To kłamstwo!

Euelpides *pokazuje na leżącego u swoich stóp Pejstetajrosa i na... niewątpliwy dowód jego przerażenia.*

*Spytaj której z onych kupek!*

Mysikrólik *do Pejstetajrosa, leżącego wciąż jeszcze na ziemi.*

Co ty za ptaszek? Powiedz, jeno szczerze.

Pejst.

Fajdek me miano, Fajdek z Procesowa.

Eu.

Ninie, przebogi, mów, coś ty za zwierzę?

Mys.

Jam jest ptaszorób.

Eu.

Znaczą się te słowa,

Żeś przez koguta pobit?

- Mys. Nie, — lecz pan mój dudkiem  
Ostawszy, prosił, bym ja też się w ptaka  
Przemienił, iżby nie brakło mu służki.
- Eu. Nacóż ptakowi służby? Korzyść jaka?
- Mys. Dla niego wielka! Był człekiem czas długi,  
Więc już sardelki ląknę do biesiady,  
I ja z półmiskiem biegnę po sardelki; —  
Już łyżki, garnka brak do marmelady,  
Więc ja po łyżkę gonię.
- Eu. Toś ty Mysikrólik?  
Wiesz co, króliku? Rozwiń loty skore  
I zwij nam pana.
- Mys. Dalibóg, nie wporę,  
Gdyż śpi, najadłszy się jagód i muszek.
- Eu. Musisz go zbudzić.
- Mys. Wiemci wprawdzie zgóry,  
Iż będzie mruczał, lecz dla was to zrobię (*odlatuje*).
- Pejstetajros *spogląda za odlatującym Mysikrólikiem.*  
Byś szczeł!... O małom nie umarł ze strachu!
- Eu. Rety! W tej trwodze kawka poszła sobie  
Do djaska!
- Pejst. Arcytechórzliwy ciarachu,  
Puściłeś kawkę ze strachu!
- Eu. A czyś ty,  
Na ziemię padłszy, nie wypuścił wrony?...
- Pejst. Ja?... Nie!...
- Eu. Gdzież więc jest?
- Pejst. Pomknął gdzieś ptak zatracony!
- Eu. Sam umknął? O, ty mężny bohaterze!  
(*wchodzi*) **Dudek**  
Wyjść na świat pragnę. Otwórz leśne dzwirze.
- Eu. O, Heraklesie! jakież widzę zwierzę?  
Jaki trójkity powab! co za pierze!
- Dud. Ktoście, mnie szukający?
- Eu. Śnać dwunastu bogów  
Podskubało cię troszkę?
- Dud. Śmiecie-ż u mych progów  
Drwić, iż mam skrzydła? Gdyż jam, o przybysze,  
Był człowiekiem.
- Eu. Nie z ciebie...
- Dud. Z kogoż? Niechże słyszę!
- Eu. Twój dziób nas jeno śmiesz i przeraża.
- Dud. To mnie Sofokles w poniżeniu łakiem  
W tragedjach swoich na scenie znieważa.  
...Lecz mówcie, coście wy zasz?
- Eu. My? Śmiertelni!
- Dud. Skąd rodem?
- Eu. Z kraju pięknych trójwiosłowców.
- Dud. Tedy przysięgli? <sup>1</sup>
- Eu. O nie, przyjacielu,  
My nie z przysięgłych.
- Dud. ...Wy tu w jakim celu?
- Eu. Ciebie odwiedzić.
- Dud. Ale poco? — pytam.

<sup>1</sup> Aluzja do procesowania się Ateńczyków.

- E u.           Boś był człowiekiem, tak jako my — drzewiej,  
I długi-ś robił, tak jako my — drzewiej,  
Nierad je płacił, tak jako my — drzewiej.  
Wtóre, boś potem postać wzięwszy ptaszą,  
Obleciał wkrąg i morza i lądy,  
Myśl mając ludzką i ptasie poglądy.  
Tedy przychodzim — nie gardź prośbą naszą,  
I miasto w welnę bogate nam wymień,  
Gdzieby lec można, jak na runie miękkim.
- Pejst.           Wszak ziemię otacza powietrze!  
My, jeśli dążym do Delfów, musimy  
Beotów prosić o wolne przechody.  
Tak więc, gdy ludzie iść będą bogom  
Ofiary, a ci wam nie złożą dani,  
Przez miasto wasze (*to zn. ptasie*), przez powietrzne szlaki  
Nie przepuszczajcie dymu z ud ku niebu.
- Dud.           Hul... Hal... Na Ziemię! sidła! na sieci i matnie!  
Cóżto za pomysł świetny, niestychany!  
Zbudujmy przeto spolem miasto-bratnie,  
Jeśli i inne przytakną nam ptaki!
- Pejst.           Któż im przedstawi tę myśl?
- Dud.           Ty, kochany! Barbarzyńcami byli przedtem, ale  
Obcując ze mną, mówią dziś wspaniale!
- Pejst.           Jakże je zwołasz?
- Dud.           To rzecz arcylatwa.  
Pośpieszę zaraz w te zarośla, aby  
Zbudzić słowika. Z nim wspólnie będziemy  
Zwoływać ptaki. Skoro leśna dziatwa  
Głos nasz usłyszy, zlatywać się pocznie.
- Pejst.           O ty najmilszy z ptaków! nie żmudź ninie,  
Ni nie zwłócz, błagam, lecz pośpiesz bezzwłocznie  
Budzić słowika, co śpi w tej gęstwinie.
- Dudek (*odlatuje, później śpiewa za sceną*):  
Hej, słowiczku mój, spłosz z powiek swych sen  
I świętych melodjom pieśni płynąć zwól!  
Niech z twych boskich ust wydzwonią jak tren  
Za Itysem mym oplakany — w ból,  
Kiedy pieni i lka żalobną mu dań płowopióra twa krtani!..  
Od harmonij tych drży włochaty klon,  
Płynie srebrny dźwięk pod Diosa tron.  
Skarg słuchając twych, złotowłosy leń,  
Za słoniową kość lutni chwytą swej,  
Chór bogów w płeśny rwąc rej.  
I oto symfonji Nieśmiertelnych świętej  
Rozbrzmiewają wkrąg po przestworzu nieb  
Z ust szczęsnych boskie lamenty.

#### Pienie chóralne ptaków.

Rozkoszy ptaków, ty płowy słowiczku mój,  
Druhu mój wierny, ty me pieśni zawdy strój!  
Witaj! o, witaj mi! na srebrnej fletni graj,  
Ty, co ślesz pieśni zdrój i słodko wabisz maj:  
Ninie mych anapestów wiedz druże.

## Przodownik chóru

*(wygłasza parodje na kosmogoniczne i filozoficzne teorje):*

Nuże! Śmiertelnym cmo, bładzące omackiem plemie, by liść, co go jesienny wiatr zenie  
 Nędzne lepianki z glin, rodzic bez mocy i sił, wyblakłe rozwiewne cienie,  
 Żaloszny tłumie sennych mar, żyjące dzień, bezskrzydłe, przyziemne robactwo,  
 Nam Nieśmiertelnym cześć, skrzydlatym eleru nam mieszkańcom oddajcie wladztwo,  
 Których nie strawi Czas, ni Wiek, których zaduma gna nad wieczną zagadkę żywota!

Nuże! słuchajcie nas i od nas uczcie się, jaka rzeczy niebieskich istota.  
 A gdy pojmiecie już, skąd nasz, Ptaków ród i jak spłodzone są bogi,  
 I skąd się Chaos wziął i Erebu mrok, i rzek źródła, i gorzkie rozłogi,  
 Wówczas spokojnie już będziecie mogli snadź wygwizdać mędrka Prodika...  
 Nasamprzód Chaos był i Erebos, i Tartaru głąb, nie było Nieba, ni Ziemi,  
 Ani powietrznych przestworów, ni gwiazd; w Erebu zaś gardzieli olbrzymiej  
 Siedziała brzemienna Noc, ciemnoskrzydłata, i w pierw zrodziła z Wichru pra-jaje.  
 Zaś zeń, gdy przyszedł Czas, zrodził się Eros bóg, lubieżnej twórcą tęsknoty,  
 Ze skrzydły złotemi u bark, a tak chybki, jak huraganowe poloty.  
 W Tartaru wdarłszy się głąb i zgwalcwszy Noc, Chaosu skrzydlate brzemie,  
 Spłodził Eros i wywiódł z gniazd i na światłość dnia prastare Ptaków plemie.  
 Nie istniał jeszcze bogów ród, aż wszech skłóciła świat potężna siła Erosa,  
 Który Wszelakość w pary sprzął i powołał w byt Ziemię, Ocean, Niebiosą  
 I wszelki szczęsnych bogów ród. Przeto żaden z nich nam ptakiem nierównien jest pono  
 Co do wieku, i każdy wie, że najpierw nas Erosa wydało łono.

Wszak skrzydlateśmy są, i dla kochliwych par od wieków powierni druhowie.  
 Toż i niejeden raz chłopię, zimne jak lód, gach zwabi, o siwej acz głowie,  
 Biorąc w pomoc nasz czar: więc z przepiórki śląc dar, kurki, gąski lub ptaka perskiego...  
 Dalej i ludziom z nas spada po wszelki czas łask wszelakich brzemie radosne!  
 My zwiastujemy wam, jak wam wodzirej rok jesień wie dzie, zimę i wiosnę.  
 Kiedy żóraw z krakaniem w libijskie leci strony, ziemianin w pole wczas śpieszy  
 K'siejbie ozimych zbóż, żeglarz zaś wiesza ster nad ogniskiem w domowej pieleszy  
 I Orestowitka szatkę jakową, by ustrzec w zimie złodzieja.

Kiedy w powietrzu znów czapła pokaże się, z nią wiosny wraca nadzieja,  
 Więc oweczarz krząta się koło wiosennych strzyż... Kiedy jaskółka w podsieniu,  
 Przedaje futro ten i ów, bo oto trzeba już o letniem myśleć odzieniu.  
 Wszakże do różnych wieszczb równie służymy wam, jak w Delfach wyrocznia wam służy;  
 Wróżym, jak wróży Dodo, jak ołtarz Amona i jak Febus Apollo wam wróży.  
 Zanim do jakich prac przyłożycie swych rąk, naprzód nas, ptaków w pytacie:  
 Czyto, by kupezyć czem, czyto, by upiec chleb, czy stanąć w weselnej szacie.  
 Toż ptakiem wam się zda wszelaka rzecz, co wieszce budzi mniemanie,  
 Ptakiem ulotna wieść, i ptakiem też mienicie pono... kichanie,  
 Ptakiem mienicie krzyk i ptakiem każdy znak, ptakiem parobka i ośtał  
 Czyliż nie jasno wam, że jak Apollo czczon, i nam się należy cześć wzniosła?

Przeto uznajcie nas za bogów, a zato  
 Służyć będzie wam nasz wróżebny śpiew.  
 My zwiastujem wam zimę, wiosnę, lato  
 I jesień — nie lecim hen, do niebieskich stref,  
 Zachmuurnych gdzieś przed wami szukać leż,  
 Gdzie tronuje Zeus, gnuśnych pełen pych!  
 My użyjemy wam zawsze darów swych,  
 Waszym dzieciom wraz, wnukom waszym też:  
 Bogactwa, szczęścia i mocy,  
 Radości, śpiewu — w dzień, spoczynku — w nocy,  
 Gędźby, rozkosznych uczt, pieśni i wiecznej młodości  
 Ba, nawet ptasiego mleka!  
 Utonie każdy z was i pięknie w tej dóbr pełni,  
 Która się wokrag was rozkipi i rozwelni,  
 Gdyby pienista łask rzeka.

...Kto z was z nami chce, z ptakami żyć ochoczo i wesole,  
 Chętnie, mile go zapraszam, niechaj wstąpi w nasze kolo.  
 Wszystko, czego jako zbrodni zakazuje wam ustawa,  
 Nader piękne w państwie ptaszem i cnotliwe się wydawa.  
 U was zbrodnią jest bić ojca — u nas jest to istną cnotą,  
 Jeśli syn na ojca wpadnie i z bojową nań ochotą  
 Krzyknie, wrzaśnie: «Broń się, stary, wszak od tego masz ostrogi!»  
 U was raba, gdy piętnowan, ściga znamię kary srogiej —  
 U nas za jarzábka jeno pstrokatego jest uznany.  
 ...Para skrzydeł to rzecz piękna, to rzecz wysmienita zgola!  
 Przykład leży tuż pod nosem. Gdyby który z widzów kola  
 Skrzydła u bark miał, i nagle pośród słodkich drzeń harmonji  
 Tragicznego chóru poczuł, że mu głód po kiszkaach dzwoni —  
 Mógłby frunąc szybkim lotem na śniadanko wprost do domu  
 I powrócić z pełnym brzuszkiem do teatru znów bez sromu.  
 Gdyby przyszła nań potrzeba, że musiałby kręcić tyłkiem  
 I do płaszcza sprośnie trąbić, leczby stąd wyfrunął chyłkiem,  
 I pozbywszy się ciężaru, znowu zasiadł w widzów rzędzie.  
 Ktoby zasię zamiast w swojej, w cudzej wolał kopać grzędzie,  
 A na ławie rajców zoczył męża pięknej białogłowy  
 Drzemiącego, mógłby zaraz skrzydła puścić w lot godowy  
 Pod pierzynkę, szybko, zgrabnie — i na miejsce wrócić swoje.  
 Więc mam słuszność, chyba twierdząc, że skarb istny — skrzydeł dwoje!  
 Tłum. Bogusław Butrymowicz.

## HERODOT Z HALIKARNASU

(484—425 przed Chr.)

### DZIEJE POWSZECHNE

Fragment I. Księga I

#### Początek niezgody Zachodu ze Wschodem

Herodota z Halikarnasu badania historyczne do tego zmierzają, żeby czyny ludzkie przez czas nie zostały zatarte, żeby dzieła wielkie i podziwu godne, jużto przez Greków, już przez obcych dokonane, nie pozostały bez należynej sławy, a przede wszystkim, żeby nie zapomniano o przyczynach wojny, jaka powstała między Grecami a Wschodem. Perscy uczeni opowiadają, że powodem kłótni byli Fenicjanie. Oni to bowiem przybyli od morza, zwanego Czerwonem, tutaj do naszego morza i zamieszkali okolicę, którą i teraz jeszcze dzierżą; oni natychmiast zaczęli odprawiać dalekie morskie wędrowniki; rozwoząc egipskie i asyryjskie towary, zawijali Fenicjanie tak do innych krajów, zawinęli też i do Argos; w owym bowiem czasie miasto Argos przodowało wszystkim krajom, które teraz Grecją zwiemy. Fenicjanie przybyli tutaj i wystawili na targ swoje towary; piątego czy szóstego dnia po ich przybyciu, gdy prawie wszystko rozprzedali, przybyło nad morze wiele niewiast, a w liczbie ich królewska córka, której na imię podobno było Io, a ojciec jej zwał się Inachem. Gdy te kobiety, podszedłszy do okrętów, kupowały, czego każda najbardziej chciała, Fenicjanie porozumieli się ze sobą i rzucili się na nie; większa część owych niewiast uciekła, ale Io z innymi została porwana, a Fenicjanie wprowadzili ją na okręt i szybko odплыli do Egiptu. Tak oto, inaczej niż Grecy, opowiadają Persowie, że Io dostała się do Egiptu, a to dało początek do krzywd wzajemnych. Po tym wypadku miała znowu pewna liczba Greków — a imion ich nie umiemy wymienić — przybyć do miasta Tyru w Fenicji i wprowadzić córkę króla, której na imię było Europa; byli to zapewne Kreteńscy. Tak oto oddali sobie wet za wet. Ale następnie Grecy podobno zostali sprawcami drugiej krzywdy; przepłynęli na długim okręciu do Kolchidy i nad rzekę Farys; załatwili tam inne sprawy, które były celem ich przybycia, i porwali córkę króla Medeję. Król Kolchidy posłał posła do Grecji, żądał zadośćuczynienia za rabunek i zwrotu córki, ale Grecy mieli odpowiedzieć, że i oni przecież,

cudzoziemcy wschodni, nie dali zadośćuczynienia za uprowadzenie Iony z Argos; teraz więc i Grecy cudzoziemcom odmawiają.

Opowiadają dalej Persowie, że w następnym wieku Parys, syn trojańskiego króla Priama, posłyszawszy o tych gwałtach, zapragnął żonę sobie porwać w Helladzie; wiedział dobrze, że kary nie zapłaci, bo i Grecy jej nie zapłacili. Uprowadził on Helenę; Grecy najprzód postanowili wyprawić posłów i domagać się wydania Heleny i nagrody za porwanie; lecz Trojanie na żądania Greków przypomnieli im porwanie Medeji, że więc nie mają prawa żądać zadośćuczynienia ci, co sami go nie dali, ani żądającym zwrotu Medeji królowny nie wydali. Dotąd dokuczali sobie nawzajem samemi tylko rabunkami, ale od tego czasu Grecy srodze zawinili, bo pierwszej wyprawili się z wojną do Azji, pod Troję, aniżeli narody azjatyckie do Europy. Persowie mniemają, że porywać niewiasty jest zwyczajem złych ludzi; ale usiłować zemścić się za porwanie kobiety jest to cechą ludzi bezrozumnnych, a przymiotem roztropnych jest nie dbać wcale o porwanie; jasną jest bowiem rzeczą, że gdyby kobiety same tego nie chciały, to wcale nie zostałyby porwane. Powiadają dalej Persowie, że mieszkańcy Azji wcale nie poszukują porwanych swoich kobiet, Grecy natomiast dla jednej lacedemońskiej niewiasty zgromadzili wielką flotę, przybyli do Azji i zburzyli państwo Priama. Od tego to czasu Persowie zawsze uważali Greków za swoich wrogów; albowiem Azję i mieszkające w niej ludy Persowie poczytują za swoją jedną całość, a Europę i mieszkające tutaj greckie szczepy za kraj oddzielony i obcy.

Tak opowiadają Persowie, a zburzenie Troi uważają za początek nieprzyjaźni swojej dla Greków. Co do Iony, córki króla Inacha, to Fenicjanie nie zgadzają się z Persami i opowiadają, że bynajmniej nie porwali jej gwałtem do Egiptu, bo ona sama została kochanką sternika fenickiego, a zmiarkowawszy, że zaszła w ciążę, ze wstydu i z bojaźni przed rodzicami dobrowolnie odplynęła z Fenicjanami, by ukryć swój stan. Tak opowiadają Persowie i Fenicjanie, a ja nie będę rozstrzygał, czy tak się stało, czy inaczej, tylko wymienię tego, który według mnie pierwszy dopuścił się krzywdy wobec Greków, a potem będę dalej opowiadał i będę przebiegał w opowieści w równym stopniu i wielkie miasta, i małe; albowiem miasta, które niegdyś były wielkie, z biegiem czasu zmalaly, a te, które teraz są wielkie i znaczne, dawniej były małe. Wiem dobrze, że ludzkie szczęście nie zatrzymuje się na jednym miejscu, więc będę opowiadał zarówno o wielkich i o małych.

## Fragment II. Księga I

### Początek państwa lidyjskiego

Krezus, Lidyjczyk z pochodzenia, syn Aljatesa, panował nad ludami mieszkającymi na zachód od rzeki Halis, która płynie na północ pomiędzy Syryjczykami i Paflagonami i wpada do Czarnego morza. Ten to Krezus, ze wszystkich mieszkańców Azji pierwszy dobrze nam znany, jednych Greków zhołdował i zmusił płacić haracz, z innymi natomiast zawiązał przyjaźń. Podbił Jończyków, Eolów i Doryjczyków azjatyckich, zaprzyjaźnił się z Lacedemończykami. Przed panowaniem Krezusa wszyscy Grecy w Azji byli niezależni, bo tłumy Cymeryjczyków, którzy przed Krezusem napadli na Jonję, nie zdobyły miast na stałe, lecz mimochodem je złupily. Naczelną władzą w państwie, dawniej należąca do rodu Heraklidów, takim oto sposobem przeszła na ród Krezusa, zwany Mermaadami. Kandaules, którego Grecy zwą Marsylem, władca miasta Sardes, był potomkiem Alkeosa, syna Heraklesa; Kandaules był ostatnim królem w Sardes, a przed Heraklidami panowali nad tą krainą potomkowie Atysa Lidyjczyka, od którego cały ten naród miano Lidów przyjął, a pierwiej zwany był Meońskim. Od tych to dawnych królów Heraklidowie przejęli panowanie z natchnienia przepowiedni, zrodzeni zaś byli z niewolnicy Jardany i Heraklesa boga, a dzierżyli władzę przez dwadzieścia dwa pokolenia, pięćset i pięć lat, biorąc rządy zawsze syn po ojcu, aż do Kandaulesa syna Myrsosa.

Kandaules namiętnie kochał swoją żonę i myślał, że jest ona najpiękniejsza

z kobiet; był przekonany o tem. Miał w drużynie przybocznej wielkiego przyjaciela Gigesa, syna Daskilosa, i naradzał się z nim o najważniejszych swoich sprawach, a zarazem i piękność żony nadmiarę przed nim wychwalał. Po pewnym czasie — albowiem królowi był przeznaczony nagły zgon — rzekł Kandaules do Gigesa: «Przyjacielu, widzi mi się, że nie bardzo wierzysz opowiadaniom moim o piękności mojej żony; ludzie zresztą zawsze własnym oczom bardziej wierzą, aniżeli zasłyszanyim wieściom; postaraj się tedy, przyjacielu, zobaczyć moją żonę nagą». Giges przerażony na to: «Panie, mowa twoja jest niezdrowa! Jakżeż to żądasz ode mnie, bym królowę moją oglądał nagą? Kobieta, zrzucając z ciała koszulę, odrzuca od siebie i wstyd zarazem! Oddawien dawna znane są prawa przyzwoitości; należy słuchać tych praw. Jedno z nich orzeka, by każdy trzymał się swego. Wierzę ci, królu, że żona twoja jest najpiękniejsza z kobiet, ale błagam cię, nie żądaj ode mnie niegodziwych czynów». Temi słowy bronił się Giges; bał się, że coś złego dlań wyniknie, a Kandaules na to: «Nie bój się, Gigesie, nie myśl, żebym te słowa powiedział po to, by wypróbować ciebie; żony mojej również nie obawiaj się, bo nie ci złego nie zrobi; tak urządzę wszystko, że królowa ani się dowie, żeś ją nago widział. Ukryję cię w sypialni naszej przy otwartych drzwiach; po mojem nadejściu wnet i królowa przyjdzie do łoża, a przy wnijsciu samem krzesło stoi i będzie na to krzesło kładła suknie, zdejmując je z siebie, i przez długą chwilę będziesz ją oglądał; a gdy już od krzesła tego do mojego łoża pójdziesz i odwróci się do ciebie plecami, ty się wymknij drzwiami, ale tak, żeby nie ujrziała ciebie». Giges widzi, że nie może się wymówić i przystał; Kandaules, gdy nadeszła pora nocnego spoczynku, wprowadził Gigesa do sypialnej komnaty, a wkrótce żona jego przyszła; Giges oglądał królowę, jak się rozbierała, a gdy odwróciła się plecami i do łoża poszła, Giges wychylił się z ukrycia i wyszedł, ale kobieta spostrzegła go i domyśliła się, że to własny mąż jej uknuł, i zawstydzila się, ale nie krzyknęła i nie pokazała nic po sobie, lecz zamyśliła w duszy zemścić się na Kandaulesie. Lidyjczycy bowiem, podobnie jak i inne azjatyckie narody, uważają, że nawet dla mężczyzny jest rzeczą hańbiącą, żeby go ktoś zobaczył nago.

Królowa nic nie pokazała po sobie i przemilczała, ale skoro nadszedł dzień, przygotowała najwierniejsze swoje sługi i przywołała do siebie Gigesa. Ten myślał, że królowa nic nie wie o tem, co się stało, i przybył zawołany, bo zawsze stawiał się natychmiast, ilekroć królowa zażądała. Gdy przyszedł Giges, niewiasta rzekła: «Gigesie, masz przed sobą dwie drogi; wybierz sam, którą zechcesz udać się. Albo zabijesz Kandaulesa i weźmiesz w posiadanie mnie i królestwo lidyjskie, albo sam natychmiast musisz zginąć, byś nie wiedział dłużej tego, czego nie powinienes wcale wiedzieć, skoro tak we wszystkim jesteś posłuszny Kandaulesowi. Powinien zginąć śmiercią albo ten, który nagą mnie oglądał i dopuścił się niegodziwego czynu, albo ten, który to urządził». Giges osłupiał zrazu na te słowa, ale wkrótce zaczął błagać królowę, by nie zmuszała go do takiego wyboru, ale nie przebłagał jej i przekonał się, że istotnie musi albo swego króla zabić, albo sam śmiercią umrzeć; wybrał dla siebie życie i zapytał niewiastę temi słowy: «Skoro zmuszasz mnie, pani, zabić króla mego, wbrew woli mojej, powiedz, w jaki sposób mam tego dokonać?» Na to białogłowa: «Na tem samem miejscu będzie wykonany zamach, gdzie król tobie nagą mnie pokazał; napadniesz go, gdy zaśnie». Tak ułożyli zdradę. Giges dłużej nie ociągał się, bo nie było sposobu uniknięcia zbrodni, i widział, że ktoś musi zginąć, albo on, albo Kandaules. Za nadejściem nocy poszedł Giges za niewiastą do komnaty, a ona dała mu sztylet i ukryła go za temi samemi drzwiami. Kandaules zasnął, a wtedy Giges wyszedł, zabił go i posiadał żonę jego i królestwo. O tym wypadku wzmiankuje poeta Archiloch z wyspy Paros, żyjący w tym samym czasie, mianowicie w trymetrach jambicznych. Posiadłszy królewską władzę, Giges utrwalił ją przy pomocy delfickiej przepowiedni. Albowiem Lidyjczycy oburzali się, że Kandaules został zamordowany, i stanęli pod bronią, ale między powstańcami i zwolennikami Gigesa nastąpiła ugoda, że jeżeli wyrocznia delficka orzeknie, iż Giges ma być królem, to niech pozostanie przy władzy, a jeżeli orzeknie, że nie, to musi berło oddać Heraklidom. Wyrocznia jednak uznała Gigesa królem, więc pozostał przy władzy. A jednak

już wtedy Pytja dodała, że zemsta Heraklidów spadnie na piątego potomka Gigesa. Atoli na przepowiednię Pytji ani Lidowie nie zwrócili uwagi, ani królowie ich — aż się ziściła.

## Fragment III. Księga I

## Arjon

Perjander był synem Kipselosa i panował w Koryncie. Otóż Koryntyjczycy, a razem z nimi i mieszkańcy wyspy Lesbos, opowiadają, że przytrafił mu się wielki cud: mianowicie Arjon z Metymny został przyniesiony przez delfina na przyładek Tenar; ten Arjon był najslawniejszym lutnistą swego czasu i podobno pierwszy skomponował dytyrambiczny utwór, dał mu nazwę dytyrambu i wyrecytował go w Koryncie. Opowiadają o tym Arjonie, że przez długi czas zabawiał u Perjandra w Koryncie i zapragnął popłynąć do Italji i do Sycylji, zgromadził tutaj dużo pieniędzy i znów postanowił wrócić do Koryntu. Miał zaufanie tylko do Koryntyjczyków, więc w Tarencie wynajął koryncki statek i wyruszył w drogę. Ale wynajęci Koryntyjczycy zmówili się, że, skoro wypłyną na pełne morze, wyrzucą Arjona z okrętu, a pieniądze jego zrabują. Arjon to zmiarkował i oddał im pieniądze, i zaczął błagać, żeby przynajmniej życie mu darowali, ale nie przebłagał żeglarzy; kazali mu albo samemu odebrać sobie życie, a wtedy oni pochowają go na lądzie, albo co prędzej skoczyć do morza. Tak zagrożony, domaga się Arjon, skoro już tak postanowili, więc niech pozwolą mu przynajmniej w uroczystym stroju lutnisty wyśpiewać na okręcie pieśń; poczem chciał sobie życie odebrać. Majtkowie zezwolili na to, bo zresztą wzięta ich chęć posłyszenia najslawniejszego lutnisty; zeszli z przodu na środek okrętu, by słuchać. Arjon przywdział na siebie swój uroczysty strój, wziął lutnię, a stojąc na rufie okrętu, odśpiewał wspaniałą pieśń, a potem w całym swym stroju skoczył w morze. Majtkowie dalej popłynęli do Koryntu, a o Arjonie opowiadają, że pochwyił go na grzbiet swój delfin i zaniósł na przyładek Tenaryjski. Tutaj zeszedł Arjon z delfina i w całym stroju swoim poszedł do Koryntu i opowiedział tam o swej przygodzie. Perjander nie uwierzył Arjonowi i trzymał go pod strażą, i nigdzie nie wypuszczał, ale zarazem kazał pilnować majtków. Oni nareszcie nadjechali, Perjander przywołał ich do siebie i wypytywał, co wiedzą o Arjonie. Żeglarze rzekli, że przebywa w Italji, że zostawili go w dobrem zdrowiu w Tarencie, aż tu nagle stanął przed nimi Arjon w tym samym stroju, w jakim skoczył do morza z okrętu. Prześtrazeni i przychwyceni na kłamstwie majtkowie, niczemu nie przeczyli. Tak oto opowiadają Koryntyjczycy i Lesbijczycy, a na przyładku Tenaryjskim stoi niewielki pomnik ze spiżu, ofiarowany przez Arjona; wyobraża on człowieka siedzącego na delfinie.

## Fragment IV. Księga I

## Solon i Krezus

Po pewnym czasie, gdy król lidyjski Krezus ujarzmił różne ludy i pomnożył potęgę Lidji, do stolicy jego Sardes, kwitnącej i bogatej, zaczęli przyjeżdżać z Grecji ludzie co najmądrzejsi, którzy w tym czasie żyli, jak któremu wypadło, każdy w innym czasie; przybył także Solon z Aten. Napisał on dla Ateńczyków na ich żądanie nowe prawa i wyjechał na dziesięć lat z ojczyzny, niby to w celu poznania cudzych praw i zwyczajów, w istocie zaś po to, by nie zmuszono go odwołać którąkolwiek z ustaw, jakie ustanowił; sami Ateńczycy nie mogli jego ustaw odwołać, bo zobowiązali się wielką przysięgą, że przez dziesięć lat będą stosowali prawa, które im nadał Solon. Dla tych tedy spraw i dla oglądania rzeczy nowych wyjechał Solon z ojczyzny, udał się do Egiptu, do króla Amazyasa, a potem do miasta Sardes do Krezusa. Skoro przybył Solon, gościnnie go w zamku przyjął król, a potem, trzeciego czy czwartego dnia, na rozkaz Krezusa wprowadzili go słudzy po skarbcu i pokazali

mu wszystkie co najdroższe kosztowności, jakie tam były. Solon obejrzał to wszystko i oglądał, ile mu czas pozwolił, a wtedy Krezus go zapytał: «Miły Ateńczyku! wiele i często słyszałem o głębokiej twojej wiedzy i o twych podróżach, jako pragnieniem poznawania kierowany, wiele krajów objechałeś; otóż teraz chcę zapytać ciebie, czy spotkałeś człowieka najszczęśliwszego z ludzi?» Krezus pytał o to, tusząc sobie, że to właśnie on jest najszczęśliwszym z ludzi; Solon jednak wcale mu nie schlebiał, prawdy trzymał się i odrzekł: «Tak, królu, poznałem, Tellosa mianowicie Ateńczyka». Zdziwił się tej odpowiedzi Krezus i odrzekł szybko: «I dlaczegoż to sądzisz, że Tellos jest najszczęśliwszym?» Na to mędrzec: «Po pierwsze dlatego, że ojczyste miasto jego było szczęśliwe, a sam on miał synów znacznych i dobrych i widział dzieci tychże wszystkich synów, a wszystkie one pozostały przy życiu; po drugie dlatego, że życie swoje, ile to w ludzkich siłach, dobrze przepędziwszy, skończył je szlachetnie, w bitwie mianowicie Ateńczyków z sąsiadami z Eleuzynu; przybył Tellos na pomoc swoim i zmusił nieprzyjaciół do ucieczki, a sam poległ najpiękniejszą śmiercią; Ateńczycy sprawili mu uroczysty pogrzeb na tem miejscu, gdzie dokonał życia, i wspaniale go uczcili». Tak Solon opowiedział o Tellosie i o jego czynach, i o szczęściu, i podniecił ciekawość Krezusa, i ten znowu pyta, kogo drugiego po Tellosie widział szczęśliwym, a spodziewał się Krezus, że bezwątpienia przynajmniej drugie miejsce pozyska. Ale Solon odrzekł: «Tak, królu, Kleobisa i Bitona; byli oni rodem z Argos, żyli w dostatku, a posiadali taką fizyczną siłę, że obaj zyskali nagrodę w zapasach, a jest i taka jeszcze o nich powieść: Gdy w Argos przypadła uroczystość bogini Hery i nieodwołalnie było konieczne, żeby matka ich na wozie ciągnionym przez woły przybyła do świątyni Hery, a woły w polu były na ten czas, wtedy młodzieńcy sami jarzmo włożyli na siebie i wóz ciągnęli, a na wozie siedziała ich matka; wóz do świątyni ciągnęli przez stadjów czterdzieści pięć, a dokonali tego w obliczu świątecznego zgromadzenia tłumów i spotkała ich najszczęśliwsza śmierć, przez co bóstwo pokazało, iż lepiej dla człowieka umrzeć, aniżeli żyć. Albowiem mężowie z Argos, stojąc dookoła, sławili siłę młodzieńców, a kobiety błogosławiły matkę, że takich synów dochowała się; matka, przejęta radością z czynu i sławy swych dzieci, stanęła przed posągiem bogini i błagała ją, by obdarzyła synów jej Kleobisa i Bitona, za to, że tak pięknie uczyli swoją matkę, by obdarzyła dobrem, które dla człowieka jest największe. Po tej modlitwie i po złożonej ofierze bogini, i po zbożnym posiłku, w tej samej świątyni młodzieńcy zasnęli, a więcej nie powstałi, lecz tak swoje życie zakończyli, a lud argijski wystawił ich posągi i ofiarował je do Delf, jako posągi najlepszych ludzi». Tak więc drugie miejsce szczęśliwości Solon tym młodzieńcom wyznaczył.

Krezus, żywo poruszony, rzecze: «Miły Ateńczyku! Moje zatem powodzenie tak nisko cenisz, iż stawiasz mnie na stopniu niższym niż prywatnych ludzi?» Solon na to: «Krezusie! Zapytujesz mnie o sprawę ludzką, ale ja dobrze wiem, jak zazdrosne i gwałtowne jest każde bóstwo. Przez długi okres swego życia dużo musi człowiek widzieć, czego by nie chciał widzieć, dużo musi także ucierpieć. Okres bowiem ludzkiego życia obejmuje siedemdziesiąt lat, tak mniemam, te lata obejmują dwadzieścia pięć tysięcy dwieście dni, wyłączając dodatkowe miesiące, a te miesiące dodatkowe, co dwa lata, dają przez ten czas dni tysiąc pięćdziesiąt. Owóż z tych wszystkich dni, tworzących owe siedemdziesiąt lat, których jest dwadzieścia sześć tysięcy dwieście pięćdziesiąt, żaden dzień zgoła nie przynosi tych samych zdarzeń, co następny. Tak oto, Krezusie, człowiek całkiem jest zdany na losy przypadku. Widzę dobrze, że obfitujesz w nieposłednie bogactwa, panujesz nad wielu narodami, ale nie nazwę ciebie szczęśliwym, o co pytałeś mnie, zanim nie dowiem się, że życie swoje skończyłeś w szczęściu. Albowiem największy bogacz nie jest szczęśliwszy od prostaka żyjącego z dnia na dzień, jeżeli los nie dozwoli mu dokonać życia pomyślnie, w posiadaniu wszystkich dóbr. Istotnie: dużo jest ludzi bardzo bogatych, a nie są oni szczęśliwymi — inni znów mało co mają, ale szczęśliwie żyją. Wielki bogacz, ale nieszczęśliwy, tylko w dwóch rzeczach przewyższa człowieka biednego, ale szczęśliwego, a ten przewyższa bogacza pod wieloma względami. Pierwszy, nieszczęśliwy bogacz, rozporządza środkami do zaspokojenia pożądlivości swojej i do łatwiejszego zniesienia

kłęski, która nań spada; drugi, szczęśliwy biedak, pod każdym względem przewyższa bogacza: nie ma możliwości, co prawda, w równym stopniu, co tamten, zaspokoić pożądaną i ulżyć sobie w kłęsce, ale kłęski przecież odwraca odeń powodzenie jego, a nadto nie ma żadnych braków fizycznych, cieszy się dobrem zdrowiem, nie zna przykrości, ma zdrowe dzieci, jest w obejściu miły. Jeżeli w dodatku i życia pomysłnie dokona — to właśnie taki człowiek, jak pytales mnie o to, zasługując, byśmy go uważali za szczęśliwego; nim jednak do kresu życia, musimy powstrzymać nasz sąd i nie możemy twierdzić, że jest szczęśliwy; najwyżej tylko, że sprzyja mu powodzenie. Nie możemy osiągnąć szczęścia, dopóki jesteśmy ludźmi; podobnież i kraje ziemskie: poszczególne okolice nie wystarczają same sobie, lecz jedne rzeczy mają, a inne z obcych krajów sprowadzają, ale ten kraj, który najmniej posiada, on właśnie jest najlepszy. Kto z ludzi bez przerwy najwięcej dostatków posiada, a potem w szczęściu życia dokona, ten tylko, według mniemania mego, może za szczęśliwego uchodzić, albowiem żaden człowiek nie wystarcza sam sobie: ten jedno ma, a drugie od innych ludzi dostaje. Musimy, królu, patrzeć na koniec każdej rzeczy, albowiem wielu śmiertelnikom bóstwo pierwaj dało dostatek a potem wtrąciło ich w przepaść». Tak przemawiał Solon, a Krezus nie obdarował go i pogardliwie potraktował, i odesłał od siebie niczem głupca, bo nie dowierzał Solon bieżącemu szczęściu i doradzał oglądać się na koniec każdej rzeczy. A jednak po odejściu Solona srogi gniew bóstwa spadł na Krezusa, a to mianowicie za to, że poczytywał siebie za najszczęśliwszego człowieka.

Fragment V. Księga VIII, rozdz. 52—64

- 1) Zdobycie zamku ateńskiego przez Persów
- 2) Narada greckich wodzów

Obleżeni w zamku Ateńczycy bronili się dzielnie, aczkolwiek sytuacja ich była beznadziejna i mury obronne rozsypywały się. Pizystratydzi doradzali poddać się, Ateńczycy jednak chwyłali się coraz to innych obronnych środków; naprzykład staczali wdół ogromne glazy, gdy Azjaci pod bramy zamku szli. Kserkses tedy przez długi czas nie mógł zdobyć Akropolu ateńskiej i nie wiedział, co ma dalej robić. Wreszcie najeźdźcy znaleźli sposób przewyciężenia tych trudności. Albowiem wyrocznia boża głosiła, że cała Attyka dostanie się w ręce Persów. W przedniej części Akropolu, ale niedaleko od bramy i przy wejściu na górę; w miejscu, gdzie nie było żadnej straży, bo nikt nie przypuszczał, żeby ktokolwiek w to miejsce przedostał się, wdrapało się kilku Persów tuż przy świątyni Aglaury, córki Cekropsa, protoplasty Ateńczyków; było to zresztą miejsce bardzo strome. Gdy Ateńczycy zobaczyli tych Persów, już będących w murach Akropolu, jedni skoczyli z murów wdół i zginęli, inni schronili się do przybytku świątyni. Persowie zaś, ci, co wdarli się na górę, najpierw skierowali się do bramy i rozłtworzyli ją, a błagających o darowanie życia wymordowali, a kiedy wszyscy obleżeni leżeli trupem, zrabowali świątynię i spalili Akropolę. Opanowawszy całe Ateny, Kserkses wyprawił gońca do miasta perskiego Suzy, ażeby ten powiadomił Artabana o powodzeniu. Następnego zaś dnia po wysłaniu gońca zwołał król Kserkses wygnańców ateńskich, którzy towarzyszyli mu w tej wyprawie, i kazał im udać się na Akropolę i złożyć bogom ofiarę według zwyczajów ateńskich. Możliwe jest, że sen, który mu przyśnił się, skłonił go do tego; możliwe również, że spalenie świątyni przeraziło go. Ateńczycy spełnili rozkaz perskiego króla. Muszę jednak powiedzieć, dlaczego wspomniałem o tem. Na Akropolu znajduje się świątynia Erechleja, tego mianowicie, który z Ziemi został poczęty; w tym przybytku rośnie drzewo oliwne i wytryska źródło słonej wody, które, według podania, Pallas Atena i Pozejdon umieścili tam, bo wiedli spór o krainę attycką i dali w tem miejscu świadectwo swej szczodrośliwości. To właśnie drzewo oliwne wraz z całym przybytkiem spaliło się w pożarze, wznieconym przez Azjatów; ale następnego dnia Ateńczycy, wyprawieni przez króla do złożenia ofiar, zobaczyli, iż z owego pnia oliwnego wystrzeliła gałązka na łokieć długi; tak opowiedzieli oni.

Atoli Grecy pod Salaminą zebrani, kiedy im doniesiono, co stało się z Akropolą ateńską, popadli w taką trwogę i w takie zamieszanie, że niektórzy wodzowie greccy, nie czekając, aż zapadnie jakies postanowienie ogólne, pobiegli do swoich okrętów i rozwinięli żagle do ucieczki. Natomiast ci, co pozostali, uchwalili stoczyć z Persami bitwę na morzu przed Istmem. Potem noc nastąpiła i rozeszli się oni z narady, i poszedł każdy do swego okrętu. Także i Temistokles wrócił do swego okrętu i tutaj zapytał go pewien Ateńczyk Mnezyfil, jaka uchwała zapadła na naradzie wodzów; dowiaduje się, że postanowiono odprowadzić flotę do Istmu i stoczyć tam bitwę z Persami w pobliżu Peloponezu; powiada tedy: «Jeśli tylko Grecy cofną się z flotą od Salamin, to już nie będziesz wcale, Temistoklesie, o swoją ojczyznę walczył, bo wszyscy sprzymierzeni udadzą się do swoich miast i nikt, bo ani Eurybjades nawet, już nie potrafi ich powstrzymać i uchronić przed rozproszeniem się, i Grecja zginie przez złe rady wodzów. Może jednak jest jeszcze jaki sposób na to? Idź, niech cofną to postanowienie, postaraj się przekonać Eurybjadesa; niech zmieni zdanie, niech zostanie na miejscu». Bardzo się spodobała Temistoklesowi ta myśl; nie jednak nie odrzekł i poszedł do Eurybjadesa. Zbliżywszy się do okrętu jego, oświadczył Eurybjadesowi, że chce pomówić z nim o bardzo ważnej sprawie; ten go przywołał na pokład i kazał mu wyluszczyć, co ma na myśli. Temistokles usiadł przy nim i powiedział wszystko, co posłyszał od Mnezyfila, ale tak jakby to sam w sobie obmyślił, także i inne dowody przytoczył i nalegał, i zmusił Eurybjadesa, żeby zeszedł z okrętu i znów zgromadził wodzów na naradę. Wodzowie poschodzili się i, zanim Eurybjades zdążył powiedzieć, dlaczego znów ich zwołał, już Temistokles obszernie zaczął opowiadać i nalegać. Przerwał mu wódz koryntyjski Adejmant, syn Okitosa: «Temistoklesie, w zawodach chłostą uśmierzają tych, co porywają się przed czasem». Na to Temistokles, usprawiedliwiając się: «Pozostających w tyle — rzeźce — nikt wieniec nie obdarzy». Tak więc Temistokles łagodnie odpowiedział Koryntyjczykowi, ale Eurybjadesowi teraz już nie nie wspominał z tego, co przedtem mówił, że z chwilą cofnięcia floty z pod Salamin sprzymierzeńcy rozproszą się. W obecności związkowych wodzów żadnego pożytku nie przyniosłaby nieufność: mówił inaczej, zgola inne dowody przytaczał:

«Eurybjadesie! w twojej teraz jest mocy ocalić całą Grecję, racz tylko usłuchać mnie i pozostań z flotą, i morską bitwę wydaj Persom, a nie idź za radą tych oto tutaj, nie usuwaj się do Istmu. Wysłuchaj mnie i dopiero porównaj obydwie decyzje. Potykając się z wrogami przy Istmie, będziesz musiał walczyć na pełnym morzu, a okręty nasze powolne i w niewielkiej liczbie nie nadają się do takiej bitwy; nadto utracisz Salaminę i Megarę, i Eginę, nawet jeżeli wszystko inne pomyślnie ci pójdzie. Razem z flotą Persów posunie się i wojsko ich lądowe, i sam przyprowadzisz ich na Peloponez i całą Grecję w krańcową niedolę wtrącisz. Jeżeli natomiast postąpisz tak, jak radzę, takie będziesz miał korzyści z tego: przedewszystkiem na Persów uderzysz w miejscu ciasnym, ale z flotą niewielką na flotę ogromną, i według wszelkiego prawdopodobieństwa będziesz miał przewagę nad nieprzyjacielem, bo dla nas jest dogodna bitwa w wąskim miejscu, a dla Persów na pełnym morzu. Nadto Salamina pozostanie w naszych rękach, a na Salaminę schroniliśmy nasze dzieci i nasze kobiety. Prócz tego i ta dogodność w mojej radzie mieści się, o którą wszystkim nam najbardziej chodzi: oto pozostając tutaj, równie walczyć będziesz w obronie Peloponezu, jak i wydając Persom bitwę przy Istmie — a jeśli będziesz roztropny, nie naprowadzisz owe rzesze azjatyckie na półwysep. Przewiduję pomyślny wynik bitwy; pewny jestem, że zwyciężymy, a w takim razie Persowie wcale nie dojdą do Istmu i nie posuną się poza attycki kraj, i cofną się bezładnie, a my dopomożemy w tem i ocalimy Salaminę, Megarę i Eginę. A przecież i wyrocznia nam przepowiedziała, że zwyciężymy wrogów pod Salaminą. Ile razy ludzie zamierzają coś i uchwalają roztropnie, zawsze im sprzyja powodzenie; jeżeli zaś słuchają nierozsądnych rad, to bóstwo im nie sprzyja i nie popiera ich».

Po przemówieniu Temistoklesa Koryntyjczyk Adejmant znowu ostro wystąpił przeciwko niemu i zażądał oden, żeby milczał, skoro stracił ojczyznę; również i od Eurybjadesa żądał, by nie dopuszczał do słowa człowieka, który nie ma swego

miasta; o ileby Temistokles udowodnił, że jest obywatelem jakiegoś państwa, może być mowa o tem, żeby wygłaszał swoją opinię. Adejmant mówił to w tym sensie, że Ateny zostały zajęte przecież przez Persów i były w ich władzy. Teraz dopiero Temistokles dał ostrą odprawę Adejmantowi i Koryntyjczykom i udowodnił, że Ateńczycy owszem posiadają jeszcze własne państwo i to większe niż Koryntyjczycy, albowiem mają dwieście wojennych okrętów, a żaden naród grecki nie wytrzymałby ich natarcia, gdyby chcieli z Grekami wojować. Powiedziawszy te słowa, zwrócił się do Eurybjadesa, ale w sposób stanowczy i zdecydowany: «Jeżeli pozostaniesz tutaj — mówił — i okażesz się człowiekiem energicznym, dobrze zrobisz; jeżeli nie — Grecję zgubisz, albowiem cały wynik wojny zawisł od naszej floty. Zatem posłuchaj, co ci powiem: jeżeli uczynisz inaczej, niż radzę ci, to my, Ateńczycy, tak jak jesteśmy, zabierzemy rodziny nasze na okręty i pożeglujemy do Italji, do miasta Syrys, które zdawien dawna należy do nas, bo zresztą i wyrocznie same orzekły, że Syrys musi być przez Ateńczyków zaludnione. Wy zaś wszyscy zrozumiecie wartość mojej rady dopiero wtedy, gdy odmówimy wam pomocy!» Te słowa dopiero przekonały Eurybjadesa. Myślę mianowicie, że Eurybjades dlatego przyjął radę Temistoklesa, bo przestraszył się, by Ateńczycy nie opuścili Greków, gdyby całą flotę chciał cofnąć do Istmu. Po oddaleniu się Ateńczyków cała morska siła Greków nie sprostałaby przewadze Persów. Zatem Eurybjades zdecydował, że Grecy pozostaną na miejscu i stoczą z Persami bitwę morską.

Taki oto owi mężowie na Salaminie stoczyli między sobą bój na słowa; skoro jednak Eurybjades stanowczo orzekł swoją decyzję, tamże na Salaminie zaczęli przysposabiać się i do morskiej bitwy. Następnego dnia wraz ze wschodem słońca dało się wyczuć na lądzie i na morzu trzęsienie ziemi. Zdało się tedy Grekom rzeczą godziwą wnieść modły do bogów i przywołać pomocy zmarłych przodków, mianowicie herosów Eakidów. Jak postanowili, tak uczynili i pomodlili się do wszystkich bogów, a szczególnie błagali o pomoc herosów Ajaksa i Telamona, jako że pochodzili oni z Salaminy; wysłali również łódź do Eginu, żeby ubłagać herosa Eaka i jego potomków.

*Tłum. M. St. Popławski według Bronikowskiego.*

## TUCYDYDES

(455—400 przed Chr.)

### HISTORIA WOJNY PELOPONESKIEJ

(Księga pierwsza; początek)

Tucydides Ateńczyk daje opis wojny, którą prowadzili mieszkańcy Peloponezu z Ateńczykami; spisywać zaczął na samym początku tej wojny, albowiem odrazu było widać, że będzie ona wielka i bardziej wiekopomna, aniżeli wszystkie poprzednie wojny. Obydwie strony przystąpiły do walki po długim przygotowaniu, wciągnęły inne greckie państwa, po jednej lub po drugiej stronie, wnet po wybuchu wojny, lub po jakimś czasie. Było to największe poruszenie, przez jakie przeszli Grecy, a ponieważ i obce narody również; rzecz można, że rozciągnęło się ono na większość ludzkich plemion. Albowiem wypadki, poprzedzające tę wojnę w czasach odległych, nie mogą być zupełnie dobrze zbadane, bo na przeszkodzie stoi dawność czasu. Niemniej z różnych oznak, które, spoglądając wstecz, odnajduje badacz nawet w najdalszych okresach, z oznak tych wnioskuje, że dawne wydarzenia, ani wojenne, ani inne, nie miały tak wielkiego znaczenia, jak ta obecna wojna. Okazuje się bowiem, że terazniejsza Grecja niezawsze była stale zamieszkana. W starodawnych czasach odbywały się w Grecji wędrówki z miejsca na miejsce, a poszczególne gromady, wypędzone przez inne liczniejsze, z łatwością opuszczały rodzinne miejsca. Handel w tych czasach nie istniał; nie istniały żadne pokojowe stosunki, ani morskie, ani lądowe; każdy miał tyle tylko własności, ile potrzebował z dnia na dzień. Ludzie nie mieli podówczas nadmiernego dobytku, nie znali uprawy roli, bo nikt nie był pewien, czy

jakiś napastnik nie obrabuje go, bo i obronnych twierdz nie znali, a zarazem wszyscy byli przekonani, że niezbędną strawę można znaleźć w każdym innym miejscu. Zatem z łatwością porzucali swoje siedziby, nie gromadzili bogactw po miastach i obronnych grodach, ani dobytku i sprzętu. Najżyźniejsze kraje najbardziej przechodziły z rąk do rąk; były to Tessalja i Beocja, tudzież długi szereg okolic na Peloponezie, z wyjątkiem Arkadii, wreszcie inne żyzne miejscowości w Grecji. Albowiem urodzajność gleby, a wraz z nią wzrastająca zamożność mieszkańców, pobudzała ich do wewnętrznej walki, i ludność sama siebie wyniszczała, a przez to stawiała zgoła słaby opór obcym napastnikom. Natomiast attycki kraj glebę ma nieurodzajną, od najdawniejszych czasów wolny był od wewnętrznych buntów, a zamieszkiwał Attykę zawsze ten sam szczerp. Jeszcze i to nienajslabszym dowodem dla mego twierdzenia, że inne greckie terytoria, wskutek przesiedlania się mieszkańców ich do innych okolic, wzrastały i zaludniały się wolniej od Attyki. Zewnętrzne wojny i wewnętrzne właśnie wypędzały z różnych okolic Grecji jednostki najwybitniejsze, a te znów szły do Ateńczyków, którzy w kraju swoim siedzieli bezpiecznie. Przybysze uzyskiwali obywatelskie prawa i od najdawniejszych czasów zasilali państwo ateńskie i powiększali ludność Attyki. Z biegiem czasu, nie mając już wolnych terenów, mieszkańcy Attyki zaczęli wysyłać osady na wschód, do Jonji.

Pewne szczegóły i ślady świadczą również i o słabości pierwotnych mieszkańców Grecji. Aż do trojańskiej wyprawy Grecy nie zdobyli się na żadne wspólne poczynania; sądzę nawet, że Grecja nie znała podówczas jeszcze wspólnego swego miana Helleni; wyraz ten nawet nie istniał w czasach przed Hellenem, synem Deukalijona; kraj znaczyły swoją nazwą poszczególne tylko plemiona, przeważnie pelagijskie. Dopiero potem Hellen i synowie jego we Ftyotji umocnili się, a inne gminy zaczęły wzywać ich do siebie z prośbą o pomoc, a wtedy i inne plemiona zaczęły częściej przezywać siebie Hellenami, a to mianowicie przez ciągłe wzajemne obcowanie ze sobą. Niemniej przez długi czas ta nazwa nie mogła na stałe utrwalić się pomiędzy wszystkimi Grekami. Najlepiej świadczy o tem Homer. Żył on przecież dużo później, niż się skończyła trojańska wojna, a jednak nigdzie wszystkich Greków nie obejmuje mianem Hellenów; natomiast ftyotyjską drużynę Achillesa nazywa owszem Hellenami; oni to byli pierwszym narodem tej nazwy, inne natomiast narody nazywa Homer w swych pieśniach Danajami, Argiwami, Achajami. Również i miana barbarzyńców Homer nie zna; dlatego, przypuszczam, że mieszkańcy Grecji nie wyodrębnili się podówczas od innych narodów pod jedną wspólną nazwą. Tak oto Grecy, zaludniając poszczególne okolice, rozumieli wzajem swoją mowę, a potem przybrali miano Hellenów, ale przed trojańską wojną, wskutek słabości swojej i rozproszenia, niczego spolem nie zdziałali. Na wyprawę zaś pod Troję, już oswojeni cokolwiek z morzem, wyruszyli wspólnie i gromadnie.

Wiemy z zachowanych podań, że najspierw Minos rozporządzał flotą i szeroko panował na morzu, które obecnie zwieemy Helleńskim lub Egejskim. Opanował on również wyspy Cyklady, wypędził z nich Karyjczyków, a większą część archipelagu zaludnił własnymi osadnikami; rządy w poszczególnych osadach oddał swoim synom. Jest bardzo prawdopodobne, że Minos wytepił korsarstwo na morzu, jak tylko mógł szeroko, a to w tym celu, żeby daniny wpływały mu pewnie. W starożytnych bowiem czasach Grecy, takż i obce narody, osiadłe nad morzem, tak na stałym lądzie, jak i na wyspach, skoro tylko nawiązali ze sobą stosunki żeglarskie, zaczęli uprawiać korsarstwo. Na czele okrętów korsarskich stawiali ludzie wybitni i możni i zdobywali dla siebie tą drogą bogactwa, a dla podwładnych środki do życia; napadali na miasta, jeszcze nieobronne wtedy i podobne do wiejskich osad, rabowali je i żyli z tego procederu. Korsarstwo w tych czasach nie uchodziło za rzecz ujemną, lecz owszem przysparzało sławy. Dowodem tego są i teraz jeszcze istniejące niektóre zwyczaje u plemion, mieszkających nad morzem: uważają one korsarstwo za objaw junactwa poniekąd. Również i w dawnych poezjach czytamy o tem, że mieszkańcy stałego lądu, każdego, kto przybył do nich morską drogą, wypytują, czy nie jest korsarzem; zarazem widzimy w tych utworach, że ani pytający nie uważa tych słów za obelgę, ani zapytany nie obraża się. W tych czasach zresztą i na stałym lądzie

ludzie ustawicznie na siebie napadali; jeszcze i teraz w wielu okolicach Grecji zachował się ten starożytny zwyczaj, więc u Lokrów ozolskich, u Etolów, u Akarnańczyków i dalej w głębi stałego lądu. Noszenie na codzień broni przy sobie u tych mieszkańców lądu zachowało się z dawnego zwyczaju powszechnego rozbójnictwa.

Albowiem wszyscy mieszkańcy dawnej Grecji byli zawsze uzbrojeni, bo ich domy mieszkalne były nieobronne i drogi były niebezpieczne, a z tego powstał zwyczaj mieć przy sobie broń na codzień, niczem w krajach pozagreckich. Te więc okolice greckie, które zachowują dawny sposób życia, świadczą o tem, że dawniej wszystkie greckie plemiona żyły tak samo. Ze wszystkich najpierwsi Ateńczycy odłożyli broń i przyjęli mniej krępujący tryb codziennego życia, a zaś bardziej dostatni. Najstarsi i najmoźniejsi Ateńczycy dopiero niedawno przestali folgować wyszukanyom wygodom i zarzucili koszulki z cienkiego płótna, także i włosy na głowie przestali spinać kunsztownemi szpilkami ze złota; również i starzy Jończycy, spokrewnieni z Ateńczykami, przez długi czas mieli taki sam strój. Natomiast Lacedemończycy najpierw zaczęli ubierać się skromniej, jak to i teraz robią; zresztą u nich tryb życia ludzi zamożnych niczem nie różni się od życia ludzi prostych. Lacedemończycy również pierwsi wprowadzili zwyczaj, że podczas ćwiczeń i zapasów, w obecności innych ludzi, można rozbiierać się do naga i nacierać się oliwą. W starożytnej dobie nawet podczas olimpijskich igrzysk zapaśnicy mieli na biodrach przepaski; dopiero niedawno ten zwyczaj ustał, a potykają się zupełnie nago. Natomiast niektóre obce narody, przeważnie azjatyckie, owszem również znają fizyczne zapasy, ale zapaśnicy mają na biodrach przepaski. Oprócz powyższych szczegółów mógłbym i inne przytoczyć na dowód zupełnego podobieństwa trybu życia starożytnych Greków do trybu życia teraźniejszych barbarzyńców.

Wszystkie miasta, założone w ostatniej dobie, to znaczy w czasach, kiedy żegluga dobrze już była uprawiana, miasta te, zasobne i bogate, pobudowano tuż nad samem morzem i obwarowano, także i przesmyki pozajmowano, a to w tym celu, żeby rozwijać handel i żeby uniezależnić miasta te od sąsiadów i umocnić je. Inaczej starożytne miasta, wskutek rozwielenionego korsarstwa były one i na stałym lądzie i na wyspach pobudowane przeważnie daleko od morskiego wybrzeża, — zresztą, mieszkańcy tych miast, zarówno jak i mieszkańcy wybrzeża, ustawicznie wojowali ze sobą; jeszcze i teraz te dawne miasta znajdują się daleko od wybrzeża. Wyspiarze przedewszystkiem uprawiali korsarstwo, Karyjczycy mianowicie i Fenicjanie, którzy zaludnili większość wysp. Na dowód tego przytoczę, co następuje: Teraz, podczas bieżącej wojny, Ateńczycy ze względów religijnych oczyszczali wyspę Delos ze wszelkich skaz i usunęli z niej wszystkie grobowce, jakie tylko tam były, a większość pochowanych w tych grobowcach należała do karyjskiego plemienia; można to było poznać po broni, znajdującej w grobowcach i po rytuale pogrzebowym, który i teraz jeszcze zachowali Karyjczycy. Z nastaniem morskiej potęgi Minosa utrwaliły się także i stosunki żeglarskie, bo Minos powypędzał z wysp rozbójnicze plemiona, a w większej części ich osiedlił własnych osadników. Prócz tego nadmorscy mieszkańcy bardziej dbali o dostatek i o bezpieczeństwo, a bogatsze osiedla obwarowano. Pragnienie władzy i zysku spowodowało zależność biedniejszych warstw i przewagę możnych; ci, rozporządzając wielkim dostatkiem, podbili także i mniej znaczne miasta. Taki stan rzeczy trwał w Grecji dość długo, aż wkońcu wyruszyli na trojańską wojnę. Nawet i po trojańskiej wyprawie odbywały się w Grecji wędrówki plemion; kraj nie miał spokoju i nie mógł wzrastać w dobrobyt. Albowiem powrót Greków z pod Troi odbywał się przecież po dłuższym czasie, a to spowodowało wiele zmian i wewnętrznych tarć w miastach i w gminach, a duża ilość wygnañców z tych miast pozakładała nowe osady. Tak naprzykład Beotowie w sześćdziesiąt lat po zburzeniu Troi, wypędzeni przez Tessalczyków z Arny, osiedlili się w teraźniejszej Beocji; dawniej kraj ten zwano Kadmeją; zresztą i przedtem była tutaj już beocka osada, a zbrojna drużyna Beotów stąd właśnie pod Troję pociągnęła. W osiemdziesiąt lat po zdobyciu Troi szczep dorycki, prowadzony przez ród Heraklidów, zajął Peloponez. Tak oto po długim dopiero czasie i z trudem ziemia helenska uspokoiła się, ustały wędrówki plemion i Grecy sami zaczęli wysyłać kolonje

i osady. Ateńczycy zaludnili osadami kraj joński w Azji Mniejszej, również i większą część wysp; plemiona Peloponezu, więc Dorowie, pozajmowały kraje na południu Italji oraz Sycylję, tudzież pozostałe jeszcze niezajęte okolice w samej Grecji. To zakładanie osad i kolonij odbywało się już po trojańskiej wojnie.

Gdy Grecja zaczęła już coraz to bardziej rosnać w potęgę i w bogactwa, wtedy w większej części państw, naskutek rosnącego dobrobytu, zaczęły powstawać rządy tyranów, czyli bezprawnych samowładców. Dawniej w tych państwach władza była dziedziczna i należała do królów, mających pewne ściśle prerogatywy. Zarazem Grecy zaczęli budować coraz to większe floty i chcieli opanować morskie szlaki. Podobno najpierw mieszkańcy Koryntu udoskonallili się w żeglarskiej sztuce, takiej mniej więcej, jaką teraz znamy. Pierwsze greckie trójrzędowce miały być zbudowane właśnie w Koryncie; również i dla mieszkańców wyspy Samos budowniczy koryncki Aminokles zbudował cztery okręty. Od czasu, jak Aminokles przybył na Samos, do końca tej wojny, którą opisuję, upłynęło co najmniej trzysta lat. Najdawniejsza znana nam morska bitwa, była to bitwa Koryntyjczyków z mieszkańcami wyspy Korcyry; od tej bitwy do obecnej chwili upłynęło mniej więcej dwieście sześćdziesiąt lat. Albowiem miasto Korynt jest położone na Istmijskim przesmyku, a od najdawniejszych czasów był to ważny punkt handlowy. Bo Grecy, zamieszkujący Peloponeski półwysep, komunikowali się z resztą greckich krajów pierwotnie raczej lądową drogą, aniżeli morską, zatem przez Istmijski przesmyk i przez Korynt. Więc to miasto bardzo wzbogaciło się, a nawet i poeci zachowali wspomnienie tego, bo Koryntowi dali przydomek bogatego miasta.

Z biegiem czasu Grecy zaczęli więcej żeglować po morzu, a wtedy Koryntyjczycy zbudowali sobie flotę, wyteplili korsarstwo i swój punkt handlowy uprzystępnili i od strony morza, i od strony lądu; zarazem umocnili swoje miasto i jeszcze bardziej bogacili się. Natomiast Jończycy w Azji Mniejszej dopiero później posiadli flotę, za panowania Cyrusa, pierwszego króla Persów, również i za syna jego, Kambizesa. Prowadząc wojnę z Cyrusem, Jończycy przez jakiś czas zwyciężali go na Egejskiem morzu. Polikrates, tyran na wyspie Samos, w epoce Kambizesa również rozporządzał silną flotą i podbił długi szereg wysp, w tej liczbie wyspę Reneję, którą ofiarował w darze Apollinowi Delijskiemu. Potem Focyjczycy, założyciele Massalji (*obecnie Marsylja we Francji — przyp. tłum.*), pokonali w bitwie morskiej Kartagińczyków. Te oto były najznacześniejsze potęgi morskie. Wyżej wspomniane floty pobudowane były długo po trojańskiej wojnie; niemniej składały się one, jak sędzę, w małym tylko stopniu z trójrzędowców, przeważnie zaś z wydłużonych łodzi i z pięćdziesięciowiosłowych okrętów, podobnie jak floty w epoce wojny trojańskiej. Krótko przed wojną z Persami, krótko przed śmiercią króla Darjusza, który panował w Persji po Kambizesie, wielką ilość trójrzędowców znajdujemy u tyranów rządzących w Sycylji, także i u mieszkańców wyspy Korcyry. Te oto były najsilniejsze i godne pamięci greckie floty tuż przed wyprawą na Grecję perskiego króla Kserksesa.

Natomiast mieszkańcy wyspy Eginy, również i Ateńczycy, również i niektóre inne miasta greckie, posiadali zupełnie małe floty i to przeważnie nie trójrzędowce, lecz okręty pięćdziesięciowiosłowe. Dopiero potem, i to za radą Temistoklesa, pobudowali sobie Ateńczycy trójrzędowce, bo właśnie uwikłali się w wojnę z mieszkańcami wyspy Eginy; Temistokles jednak miał na widoku również i zagrażającą inwazję Persów; na tych to trójrzędnych okrętach spotkali się Ateńczycy na morzu z Persami — ale i te okręty nie całkiem były jeszcze pokryte pokładem. Te więc były morskie zbrojenia Greków w czasach najdawniejszych i potem w nowszych. Rozwinęli jednak Grecy morską potęgę przede wszystkim przez napływ pieniężnych środków i przez rozszerzenie panowania nad innymi miastami. Czynili morskie ekspedycje, podbijali poszczególne wyspy, a robili to ci przede wszystkim, którzy u siebie w kraju za mało mieli uprawnej ziemi. Natomiast podbojów lądowych, takich, co prowadziłyby do stworzenia większej potęgi, tego Grecy nie robili. Jakiegokolwiek zdarzyły się lądowe wojny, zawsze toczyły się tylko o najbliższe granice, a dalekich wypraw i podbojów nie czynili Grecy. Albowiem słabsze państwa nie dołączały się do potężniejszych jako podwładne kraje; zarazem państwa mocniejsze i mniej znaczne nie podej-

mowały wspólnych wypraw, jak równi z równymi; każde państwo wołało potykać się tylko z bezpośrednim sąsiadem. Zresztą dawno bardzo, podczas wojny Chalcydy z Eretrją, plemiona greckie podzieliły się: jedne wspierały Chalcydę, inne pomagały Eretryjczykom. Różne szczepy zawsze miały przed sobą jakąś przeszkodę, która uniemożliwiała im stworzenie większej potęgi. Tak na przykład Jonczycy bardzo się wzbogacili i urosli w potęgę, ale spadła na nich władza Cyrusa, króla Persów. Zwyciężył on lidyjskiego króla Krezusa, zagarnął całe jego państwo w Azji Mniejszej, od rzeki Halis do morskiego wybrzeża; Cyrus opanował wszystkie greckie miasta na azjatyckim lądzie, a potem król Darjusz, posługując się flotą Fenicjan, podbił również wyspy greckie. Natomiast tyrani, jacy tylko podówczas panowali w greckich państwach, oni tylko swoje osobiste korzyści mieli na oku, o bezpieczeństwo tylko własne swoje dbali, o potęgę dynastji swoich; rządili państwem, a w miarę możliwości wyłącznie osobistego swego dobra pilnowali i nie dokonali żadnych wiekopomnych czynów, chyba, że drobne wojny z sąsiadami prowadzili; natomiast w Sycylii tyrani do największej potęgi doszli. Tak więc przez długi okres czasu Grecja ze wszystkich stron była ścieśniona i żadnej wielkiej rzeczy wspólnym wysiłkiem nie wykonała, a siły poszczególnych państw, oddzielnie brane, nie wystarczały do wykonania czegoś wielkiego.

Spartanie obalili rządy tyranów w Atenach i w innych greckich państwach, które znacznie dawniej podpadły pod jedynowładcze panowanie; pozostały tylko rządy tyranów sycylijskich. Sparta od czasu, kiedy dorycki szczep osiadł na jej terytorjum — a siedzi tam i teraz jeszcze — Sparta przez długi czas nękana była szeregiem wewnętrznych walk; jednakowoż od najdawniejszych czasów panowały w niej dobre ustawy i wcale nie zaznała władzy tyranów. Od końca obecnej wojny lat przeszło czterysta wstecz Spartanie zawsze mieli ten sam państwowy ustrój; dzięki temu stworzyli u siebie nielada potęgę i pilnowali porządku również i w innych greckich państwach. Wkrótce po usunięciu tyranów odbyła się bitwa pod Maratonem, Ateńczyków z Persami, a w dziesięć lat potem Persowie znowu z ogromną armją wtargnęli do Hellady, aby ujarzmić kraj, i wielkie niebezpieczeństwo zawisło nad całą Grecją. Spartanie, jako że najsilniejsi militarnie, objęli przewodnictwo nad wojskiem wszystkich Greków, sprzymierzonych ku obronie. Ateńczycy wobec inwazji perskiej postanowili opuścić swoje miasto, a cały dobytek zabrali z sobą na okręty i w ten sposób stali się kompletnymi żeglarzami. Wspólnym wysiłkiem Grecy odpędzili Persów, a wtedy wszyscy, bo i ci, co odłączyli się od perskiego króla, i ci, co wspólnie walczyli przeciwko Persom, wszyscy rozdzielili się na dwie części i przystali albo do Ateńczyków, albo do Spartan. Albowiem te dwa narody były najsilniejsze: Spartanie górowali na lądzie, Ateńczycy na morzu. Jednakowoż przymierze tych dwóch narodów niedługo trwało i wkrótce już, poróżnieni między sobą, Spartanie i Ateńczycy, a wraz z nimi sprzymierzeńcy ich, zaczęli wojować przeciwko sobie; z innych plemion greckich, które tylko poróżniły się, natychmiast przystępowały do tej albo do przeciwnej walczącej strony. To też od inwazji Persów aż do bieżącej wojny Ateńczycy i Spartanie albo pokój zawierali, albo wojowali, a wojowali albo z sobą wzajem, albo ze sprzymierzonymi państwami, które chciały odłączyć się od nich. Tą drogą ćwiczyli się w wojennem rzemiośle, hartowali się w ustawicznych potyczkach i nabierali bojowej wprawy. Spartanie dzierżyli przewodnictwo w swoim związku bez nakładania haraczu na sprzymierzonych; pilnowali tylko tego, żeby w tych państwach były oligarchiczne rządy, podobnie jak w samej Sparcie. Ateńczycy odwrotnie: z biegiem czasu odebrali sprzymierzeńcom swoim floty — wyjątek stanowiły wyspy Chios i Lesbos — i na wszystkich nałożyli haracz. Oto dlatego ku początkowi wojny, którą opisuję, Ateńczycy byli bezporównania lepiej uzbrojeni, aniżeli wtedy, kiedy ich morski związek kwitł i pełny był świeżych sił.

Taki oto był przebieg dawniejszych dziejów według moich badań; trudno jest jednak całkowicie polegać na samych opowiadaniach. W dawnych dziejach najważniejszym wydarzeniem była wojna z Persami; ta jednak wojna została rozstrzygnięta w dwóch morskich bitwach i w dwóch lądowych. Ta jednak wojna Aten i Sparty przeciąga się na długi okres czasu, a kraje greckie poniosły tyle klęsk, ile przedtem

nigdy nie spadło na Helladę w równym okresie czasu. Nigdy nie było tak dużo miast zdobytych, zrujnowanych, raz przez barbarzyńców, kiedy indziej przez samych Greków wojujących; niektóre miasta, po zdobyciu nawet mieszkańców stałych, całkiem się zmieniły! Nigdy nie było tyle ludzi na wygnaniu, tyle mordów, jeden raz na polu bitwy, potem znów w wewnętrznych walkach. Dochodzi i to, o czym często opowiada się, że było w przeszłości, a w rzeczywistości rzadko daje się zaobserwować, w tym okresie natomiast nieraz się zdarzyło: oto mianowicie trzęsienie ziemi, które ogarnęło ogromną połać kraju i srożyło się nadmiernie; oto zaćmienia słońca, które teraz częściej się zdarzają, aniżeli w dawnych czasach, jak podania świadczą o tem; posuchy straszliwe, a wślad za nimi głód i morowe powietrze, owa kłeska okropna, dziesiątkująca ludność. Wszystkie te nieszczęścia na okres trwania wojny... Początkiem wojny było to, że Ateńczycy i Spartanie złamali trzydziestoletni pokój, który zawarli między sobą po podbiciu Eubei. Nasampierw opowiem o waśni i o przyczynach, które spowodowały złamanie pokoju, a to w tym celu, żeby wyjaśnić przyszłym badaczom wybuch tej wojny ogólnogreckiej. Najistotniejszą przyczyną, tak sądzę, jest potęga Aten i obawa Sparty, która, zaniepokojona, zaczęła wojnę; jest to jednak przyczyna starannie ukrywana i pozorowana; w słowach i jawnie obydwie strony podawały inne powody, które sprawiły złamanie pokoju i wszczęcie wojennych działań, a były one takie...

*Tłum. Mieczysław St. Poplański.*

## KSENOFONT

(430—355 przed Chr.)

### CYROPEDIA

(ŻYCIORYS KRÓLA PERSKIEGO CYRUSA)

#### Cyrus u swojego dziadka Astjagesa (I 3)

Cyrus aż do dwunastu lat, albo nieco dłużej, wychowywał się w ten sposób, i wyróżniał się między wszystkimi rówieśnikami i prędkim wyuczaniem się obowiązkowych przedmiotów, i pięknem a męskim wykonaniem każdej rzeczy. Właśnie wtedy Astjages wezwał do siebie swoją córkę wraz z jej synem; chciał bowiem zobaczyć go, ponieważ słyszał, że jest piękny i dobry. Udała się więc Mandana sama do ojca i wzięła z sobą syna swego Cyrusa. Skoro tylko przybyła, i Cyrus zrozumiał, że Astjages to ojciec jego matki, jako chłopak z natury uprzejmy, tkliwy i kochający, uściskał go, tak samo, jakby go witał dawny towarzysz lat dziecińczych i stary przyjaciel, i z podziwem patrzył na jego przystrojenie się: na podmalowane oczy, przyprawione włosy i szminkę wtartą w skórę, co właśnie było zwyczajem u Medów; wszystko to bowiem jest medyjskie — a także spodnie suknie z purpury i kaftany, łańcuchy na szyi i naramienniki naokoło rąk; — u Persów zaś, w ich ojczyźnie, jeszcze i dzisiaj suknie są o wiele lichsze i skromniejszy sposób życia; otóż, widząc ozdoby dziadka, rzekł: «Mamusiu, jak pięknego mam dziadzia». Gdy go zaś matka zapytała, kto wydaje mu się ładniejszym, ojciec czy ten, Cyrus odpowiedział natychmiast: «O matko, między Persami stanowczo najpiękniejszy jest mój ojciec, między Medami jednak, o ile poznałem ich podczas drogi i na dworze, jest bezwątpienia najpiękniejszy ten mój dziadek». Dziadek tedy, uściskawszy go nawzajem, kazał włożyć na niego piękną szatę, obdarzył go i przyozdobił łańcuchami i bransoletami, i ilekroć dokądś wyjeżdżał, kazał mu jechać na koniu ze złotą uzdą, tak samo jak i on miał zwyczaj jeździć. Ponieważ zaś Cyrus był chłopcem lubiącym to, co piękne, i ambitnym, cieszył się szatą i z wyraźną radością uczył się jeździć konno: u Persów bowiem z powodu trudności nietylko chowania koni, lecz także jeźdżenia w kraju górzystym, jest osobliwością nawet zobaczyć konia.

Pewnego razu jadł Astjages obiad razem z córką i z Cyrusem. Chcąc, by chłopiec jadł jak najchętniej i mniej tęsknił za domem, kazał przed nim zastawić łakocie,

różnego rodzaju polewki i potrawy. Cyrus, jak opowiadają, odezwał się wtedy: «Dziadku, jakież ty kłopoty masz z obiadem, jeżeli musisz wyciągać ręce do tych wszystkich misczek i kosztować tych różnorodnych potraw». — «Co? — miał powiedzieć Astjages — czyż nie wydaje ci się ten obiad o wiele piękniejszym, aniżeli u Persów?» — Cyrus miał mu na to odpowiedzieć: «Nie, dziadku, lecz o wiele łatwiejsza i prostsza jest u nas droga do nasycenia się, aniżeli u was: nas bowiem prowadzi do tego chleb i mięso, wy zaś śpieszycie wprawdzie do tegoż celu, co i my, lecz, kołując i po wielu manowcach zabłąkawszy się w górę i nadół, z trudem przybywacie tam, dokąd myśmy dawno przyszli». — «Ależ, dziecko! — rzekł Astjages — bardzo chętnie błakamy się po nich; a i ty przy kosztowaniu poznasz, że są przyjemne». — «Lecz widzę — powiedział Cyrus — że i ty, o dziadku, brzydzisz się temi potrawami». — A Astjages, jak mówią, zapytał znowu: «Z czegoż to wnioskujesz, dziecko, że tak mówisz?» — «Ponieważ widzę — powiedział Cyrus — że ilekroć dotkniesz się chleba, nie obcierasz sobie nieczem rąk, jeżeli zaś dotkniesz czego z tych potraw, natychmiast obcierasz sobie ręce ręcznikiem, jak ten, co jest zły, że mu od tego zbrukały się ręce». Na to Astjages: «Jeżeli zatem tak myślisz, dziecko, to używaj dosyta przynajmniej mięsa, abys wrócił do domu silnym młodzianem». Równocześnie z temi słowy kazał postawić przed nim wiele mięsa z dziczyzny i ze swojskich zwierząt. A Cyrus, gdy zobaczył tak wiele mięsiwa, miał powiedzieć: «Czy istotnie, dziadku, dajesz mi wszystko to mięso, abym z niem zrobił, co chcę?» — «Tak, dziecko, na Zeusa! — miał powiedzieć — daję tobie». Wtedy, jak mówią, Cyrus nabral mięsiwa i rozdzielił między służących dziadka, mówiąc przytem do każdego: «Tobie to daję, ponieważ chętnie uczysz mię jeździć konno; tobie zaś, ponieważ dałeś mi oszczep i teraz mam go narreszcie; tobie zaś, ponieważ dobrze obsługujesz dziadka; a tobie, ponieważ szanujesz moją matkę». To czynił, dopóki nie rozdał wszystkiego mięsiwa, jakie wziął.

«A Sakasowi — miał powiedzieć Astjages — podczaszemu, którego najwięcej szanuję, nie nie dajesz?» Sakas mianowicie był pięknym mężem i miał zaszczytny urząd przedstawiania tych, którzy pragnęli z Astjagesem mówić, nie dopuszczać zaś takich, których przedstawić nie wydawało mu się stosownem. Cyrus śmiało, jako chłopak nielekliwy, zapytał: «Dlaczegoż to, dziadku, tak go cenisz?» Na to Astjages odpowiedział żartem: «Czyż nie widzisz, jak pięknie i przyzwoicie sprawuje on urząd podczaszemu?» Podczaszowie tych królów sprawują swój urząd zgrabnie, nalewają czysto, podają czarę, trzymając ją trzema palcami, i przystępują z puharem do chcącego pić z tej strony, z którejby mu było najłatwiej wziąć. «Rozkaż przecie, dziadku — miał on powiedzieć — niech Sakas i mnie da puhar, ażebym, o ile potrafię, zjednął sobie twą łaskę i przez zgrabne nalanie i podanie». Astjages kazał dać mu. Cyrus więc wziął i istotnie wypłókał czarę z taką starannością, jak to widział u Sakasa, a przybrawszy poważną minę, w pięknej postawie, ku wielkiemu rozweseleniu matki i Astjagesa, przyniósł puhar i podał go dziadkowi. A także sam Cyrus, roześmiewszy się, przyskoczył do dziadka i, całując go, powiedział: «Sakasie, przepadłeś, wyruguję cię z zaszczytnego urzędu; wogóle bowiem nietylko piękniej od ciebie będę nalewał, lecz także nie będę wypijał wina». Podczaszowie królewscy mianowicie, dając czarę, czerpią z niej kubkiem i, wylawszy na lewą rękę, wypijają, dlatego, aby im się to na nic nie przydało, jeżeli włali trucizny. — Następnie rzekł Astjages żartobliwie: «Dlaczegoż to, Cyrusie, pod innym względem naśladując Sakasa, nie chleptałeś wina?» — «Ponieważ — odpowiedział — na Zeusa, bałem się, żeby w dzbanie nie była domieszana trucizna. Albowiem, gdy na swoje urodziny gościłeś przyjaciół, spostrzegłem wyraźnie, że on wam nalewał trucizny». — «A po czem — spytał — poznałeś to dziecko?» — «Bo, na Zeusa, widziałem, że byliście osłabieni na duchu i na ciele. Najpierw bowiem sami czyniliście to, co nam, chłopcom, zakazujecie czynić. Albowiem krzyczyliście wszyscy naraz i nie rozumieliście zupełnie jeden drugiego, śpiewaliście także bardzo śmiesznie, a nie słuchając nawet śpiewającego, przysięgaliście, że śpiewa bardzo dobrze; naprzód każdy z was chepił się swoją siłą, potem jednak, ilekroć wstawaliście, aby tańczyć, nietylko nie mogliście tańczyć do taktu, lecz nawet utrzymać się na nogach. Zapomnieliście zupełnie, ty, że jesteś królem, inni, żeś władcą.

Wtedy to istotnie po raz pierwszy poznałem, że to, coście wtenczas wykonywali — to była wolność słowa; przynajmniej ani chwili nie milczeliście».

Na to Astjages zapytał: «A twój ojciec, moje dziecko, nie upija się, kiedy pije?» — «Nie, na Zeusa» — odrzekł. «Ale jaki odczuwa skutek?» — «Przestaje mieć pragnienie, zresztą nie doznaje niczego złego; nie ma bowiem, myślę, dziadku, takiego Sakasa za podczaszego». Wtedy rzekła matka: «Ale dlaczegoż to, moje dziecko, prowadzisz taką wojnę z Sakasem?» Cyrus zaś miał odpowiedzieć: «Ponieważ, na Zeusa, nienawidzę go; często bowiem, gdy pragnę przybiec do dziadka, nie dopuszcza mnie ten niegodziwiec. Lecz błagam cię, dziadku, daj mi trzy dni władzy nad nim». Astjages zaś pytał: «Jakżebyś wykonywał władzę nad nim?» Cyrus odpowiedział: «Stanawszy podobnie jak on przy wejściu, rzekłbym, kiedy chciałby przyjść na śniadanie, że jeszcze nie można iść na śniadanie, gdyż król ma jeszcze z kilkoma ważne sprawy do załatwienia; następnie, kiedyby poszedł na obiad, powiedziałbym, że jest u kobiet; ażbym go tak przez wstrzymywanie nad ręczył, jak on mnie dręczy, nie dopuszczając do ciebie». Tak on ich zabawiał przy obiedzie; za dnia zaś, gdy spostrzegł, że czyto dziadek, czy brat matki czegoś potrzebuje, nie dał się żadnym sposobem nikomu innemu wyprzedzić w wykonaniu tego, gdyż z wielką radością spełniał każdą usługę, jaką tylko mógł.

### Cyrus i Krezus (VII 2)

Cyrus wraz ze swem otoczeniem, po spożyciu wieczornego posiłku i rozstaniu potrzebnych wart, ułożyli się do snu, a Krezus natychmiast razem z wojskiem rozpoczął ucieczkę w kierunku na Sardes, inne zaś ludy tej nocy w powrotnej drodze do swej ojczyzny posunęły się, jak tylko mogły najdalej. Kiedy dzień nastal, wyruszył Cyrus niezwłocznie do Sardes. Przybywszy pod mury miasta, ustawił maszyny, jakgdyby miał zamiar uderzyć na mur, i przygotował drabiny. Podczas tej czynności kazał Chaldejczykom i Persom następnej nocy wdrzeć się do tej części zamku w Sardes, która wydawała mu się najbardziej stroną. Pokazał zaś im drogę pewien Pers, który był dawniej niewolnikiem u jednego z załogi zamkowej i dokładnie poznał drogę z góry do rzeki i znowu do góry. Gdy się stało jawne, że zamek został wzięty, wszyscy Lidyjczycy uciekli z murów, dokąd kto w mieście mógł. Cyrus zaś wkroczył o świcie do miasta i wydał rozkaz, by nikt nie ruszał się ze swego stanowiska. Krezus, zamknawszy się w swym królewskim pałacu, głośno wzywał Cyrusa; Cyrus zostawił go pod osłoną straży, a sam udał się na zajęty zamek. Gdy spostrzegł, że Persowie strzegli zamku, jak należało, stanowiska zaś Chaldejczyków były opuszczone, gdyż zbiegli nadół, aby rabować po domach, zwołał natychmiast ich do wódców i kazał im jak najprędzej zabrać się z wojska: «Nie mógłbym bowiem — rzekł — ścierpieć tego, żeby w moich oczach nieposłusznym odnosił większe korzyści. I wiedźcie dobrze — mówił dalej — że zamierzam was, co wyruszyliście ze mną w pole, uczynić najszczęśliwymi ze wszystkich Chaldejczyków; teraz zaś nie dziwiecie się, jeżeli podczas waszego odejścia trafi się kto silniejszy od was». Chaldejczycy, usłyszawszy to, nastraszyli się i błagali, aby przestał się gniewać, i powiedzieli, że oddadzą całe zrabowane mienie. On zaś odrzekł, że tego nie potrzebuje. «Lecz jeżeli chcecie — rzekł — abym przestał się gniewać, oddajcie wszystko, coście wzięli tym, którzy pilnowali zamku. Kiedy bowiem inni żołnierze spostrzegą, że posłusznym mają korzyść, wszystko u mnie będzie dobrze». Chaldejczycy więc uczynili tak, jak rozkazał Cyrus; i tak otrzymali posłusznym wiele różnorodnych skarbów. Cyrus zaś, rozłożywszy swoich obozem w tej części miasta, która wydawała mu się najdogodniejszą, kazał im zostać na swych stanowiskach i jeść śniadanie.

Uskuteczniwszy to, polecił przyprowadzić do siebie Krezusa. Gdy Krezus zobaczył Cyrusa, rzekł: «Bądź pozdrowion, panie, los bowiem od tej chwili każe ci nosić to imię, a mnie tak cię nazywać». — «I ty — rzekł — Krezusie, bądź pozdrowion, albowiem obaj jesteśmy ludźmi. Ale — powiedział dalej — Krezusie, czybyś nie zechciał udzielić mi pewnej rady?» — «Chciałbym — odpowiedział — Cyrusie, coś dobrego dla ciebie wynaleźć; sądzę bowiem, że i dla mnie byłoby to dobre». — «Słuchaj tedy,

Krezusie; ponieważ widzę, że moi żołnierze przebyli wiele trudów i niebezpieczeństw, a teraz są przekonani, iż mają najbogatsze po Babilonie miasto w Azji, przeto uważam za rzecz słuszną, by żołnierze odnieśli jakąś korzyść. Wiem bowiem, że, jeżeli nie otrzymają żadnego plonu swoich trudów, nie będą mogli długo utrzymać ich w posłuszeństwie. Otóż nie chcę im miasta wydać na łup, gdyż sądzę po pierwsze, że miasto zostałoby zniszczone, po drugie zaś, że — wiem to dobrze — z łupstwa będą mieli korzyść najgorsi». Krezus, usłyszawszy to, rzekł: «Pozwól mi więc oznajmić Lidyjczykom, których sobie wybiorę, że wyjednałem u ciebie zakaz rabowania, i że nie pozwolisz też uprowadzać dzieci i kobiet, a to na moje przyrzeczenie, iż Lidyjczycy dobrowolnie wydadzą wszystko, co tylko jest pięknego i cennego w Sardes. Wiem mianowicie, że, kiedy to usłyszą, poznoszą ci wszystkie kosztowności, jakie tylko tutaj posiada mąż i niewiasta: a mimo to za rok będziesz miał to miasto pełne wszelkich dóbr, tak samo jak dziś. Jeżelibyś zaś wydał je na łup, to zostaną ci poniszczone dzieła sztuki, które, jak ludzie powiadają, są źródłem piękna. A wolno ci też będzie, gdy zobaczysz, co poznoszono, powziąć jeszcze zamiar co do rabunku. Najpierw zaś — dodał — pošlij po moje skarby, a twoja straż otrzyma je od mojej straży». Wszystko to zgodził się Cyrus tak uczynić, jak powiedział Krezus.

«To zaś mi dokładnie powiedz, Krezusie — rzekł — jak ci wypadło z wyrocznią w Delfach, boć powiadają, że wielce czciłeś Apollina i we wszystkich czynnościach słuchałeś jego woli». «Chciałbym, Cyrusie — odpowiedział — oby tak się było stało; udałem się jednak do Apollina, czyniąc zaraz z początku wszystko naopak». — «Jakto?» — rzekł Cyrus — wytłumacz mi to, mówisz bowiem bardzo zagadkowo». — «Najpierw — odpowiedział — nie dbałem o to, by pytać boga tylko w potrzebie, lecz wystawiłem go na próbę, czy potrafi powiedzieć prawdę. W tym zaś wypadku — mówił dalej — nietylko bóg, lecz także zanci i dobrzy ludzie, skoro poznają, że im się niedowierza, nie lubią niedowierzających. Gdy jednak powiedział, że czyniłem rzecz bardzo głupią, tedy, chociaż byłem bardzo daleko od Delf, posłałem tam w sprawie męskich potomków. Z początku Apollo nawet mi nie odpowiedział, gdy jednak, posyłając wiele złotych i srebrnych darów i składając bardzo wiele ofiar, przejednałem go, jak mi się wydawało, wówczas odpowiedział na moje pytanie, co powinienem czynić, aby mieć męskich potomków. Powiedział więc, że będę ich miał. I urodzili mi się wprawdzie, gdyż i pod tym względem nie zawiódł mnie, lecz ci, których otrzymałem, byli do niczego. Jeden bowiem pozostał przez całe życie niemym, drugi zaś, znakomity pod każdym względem, umarł w kwiecie wieku. Strapiony nieszczęściem, z powodu synów, posyłam znowu i zapytuję boga, co mam czynić, aby resztę życia jak najszcześliwiej przepędzić; on zaś odpowiedział: «Sam siebie znając, Krezusie, w szczęściu dokonasz żywota». Usłyszawszy taką wyrocznię, ucieszyłem się, sądziłem bowiem, że daje mi szczęście z najłatwiejszym poleceniem. Albowiem znać drugich jest częścią możliwe, częścią nie: siebie samego jednak, myślałem, zna każdy wogóle człowiek. Więc przez jakiś czas potem, póki miałem spokój, nie czyniłem losom żadnych wyrzutów z powodu śmierci mego syna; gdy zaś dałem się namówić Asyryjczykowi do walki z wami, popadłem w największe niebezpieczeństwo; uratowałem się jednak, nie poniosłszy żadnego nieszczęścia. Ale i z tego powodu nie obwiniam boga. Albowiem kiedy poznałem, że nie jestem zdolny do walki z wami, odszedłem bezpiecznie z bogiem, ja sam i moi ludzie. Ostatnio znowu, rozpieszony bogactwem, jakie posiadam, i w dumę wzbity przez tych, którzy mnie prosili, abym został dowódcą, dałem się skusić darom i pochlebstwom ludzi, którzy mi mówili, że, jeżelibym chciał panować, wszyscy będą mi posłuszni i stanę się największym mężem; dmąc się więc wgórę wskutek takich mów, zwłaszcza, że wszyscy królowie naokoło wybrali mię na wodza tej wojny, przyjąłem dowództwo, jakgdybym był zdolny do tego, by stać się największym. Nie znałem zatem siebie, skoro sądziłem, że potrafię prowadzić wojnę z tobą, co przedewszystkiem jesteś potomkiem bogów, a następnie długiego szeregu królów, a wreszcie od dzieciństwa ćwiczyłeś się w walce; z moich zaś przodków, jak słyszę, pierwszy, który otrzymał władzę królewską, stał się równocześnie królem i wolnym. Skoro więc na to nie zważałem, słusznie ponoszę karę. Ale teraz dopiero — rzekł — Cyrusie, znam siebie. Czy sądzisz

jeszcze — powiedział — że Apollo mówi prawdę, że będę szczęśliwy, znając siebie samego? Pytam ciebie dlatego, ponieważ myślę, że obecnie ty najlepiej możesz się tego domyślić; albowiem możesz to zdziałać».

A Cyrus odpowiedział: «Co do tego, daj mi czas do namysłu, Krezusie; ja bowiem, rozmyślając nad twojem dawniejszem szczęściem, lituję się nad tobą i oddaję ci już teraz twoją małżonkę, którą miałeś, i córki, albowiem słyszę, że masz córki, przyjaciół, sługi i stół, przy jakim żyłście; bitwy zaś i wojny odbieram»... Cyrus podziwiał pogodę umysłu Krezusa i zabierał go odtąd z sobą, dokąd tylko sam się wyprawiał, czyto, że zdawał mu się potrzebnym, czy dlatego, że sądził, że tak jest bezpieczniej.

*Tłum. Artur Rapaport.*

## PLATON

(427—347 przed Chr.)

### OBRONA SOKRATESA

Nie wiem, Ateńczycy, jakie oskarżyciele moi wywarli na was wrażenie, lecz ja sam nawet, pod ich wpływem, o mało, że samemu sobie wierzyć nie przestałem: z tak przekonywającą przemawiali siłą...<sup>1</sup> A jednak w tem, co powiedzieli, prawdy — że tak się wyrażę — ździebelka nawet nie było. Najbardziej przecie z wielu ich kłamstw zdziwiło mnie jedno, mianowicie to, w którym wam dowodzili, że powinniście mieć się na baczności, abym jako człowiek, dzielnie władający językiem, nie wywiódł was w pole... Że nie spłonęli oni rumieńcem wstydu na myśl, iż niebawem czynem samym dowiodę im kłamstwa, skoro się pokaże w rzeczywistości, że za biegłego mówcę bynajmniej uchodzić nie mogę, szczyt to już doprawdy ich bezczelności! Chyba, że biegłym mówcą zwie się u nich człowiek, mówiący prawdę: jeśli bowiem w takim słów tych używają znaczeniu, to gotów jestem przyznać, że, acz nie podług ich miary, istotnie mówcą ja jestem...

Oni więc, jak wam mówię, jednego prawdziwego słowa nie wyrzekli przed wami, ale ode mnie najszczerszą usłyszycie prawdę. Nie będzie to, Ateńczycy — Zeusem się świadczę — mowa, jaką ich była; wyluskana, strojna w krasomówcze kwiaty i ozdoby; przeciwnie, usłyszycie opowieść prostą, wygłaszaną słowami, jakie mi na myśl przychodzić będą. Bo ja ufność moją pokładam w tem, że sprawiedliwe jest to, co mówię; i niechaj niczego innego nikt z was nie spodziewa się ode mnie! I nie wypadaloby przecie, bym ja, w moim wieku, niby młodzieniaszek jaki, z wypracowaną przed wami występował oracją. Jednej wszakże rzeczy żądam od was, Ateńczycy; o jedno usilnie proszę. Skoro usłyszycie mnie, broniącego się tu w taki sam sposób, w jaki przywykłem mówić i na rynku publicznym, przed stołami wekslarzy, gdzie mnie słyszało wielu z pomiędzy was, i w innych miejscach, nie dziwcie się i nie szemrajcie z tego powodu. Tak się bowiem mają rzeczy, że ja, siedemdziesiąt z górą lat dźwigając na barkach, dziś po raz pierwszy występuję przed sądem; naturalnie więc język tutejszy obcy mi jest zupełnie. Przeciież, jeśli bym w samej rzeczy był tu człowiekiem obcym, przebaczylibyście mi bezwątpienia, gdybym przemawiał do was w takim narzeczu i w mowie swojej takich używał zwrotów, wraz z którymi wyrosłem na człowieka. Przeto i dzisiaj słusznej, zdaje mi się, żądam od was rzeczy: nie zważajcie na mój sposób mówienia; może on gorszym, a może lepszym okaże się; baczcie i uwagę waszą zwracajcie na jedną tylko rzecz: czy mówię

<sup>1</sup> Sokrates przemawia do sędziów przysięgłych, t. zwanych heljastów, którzy mieli wydać nań wyrok; komisja sędziowska była b. liczna i składała się z pięciuset przysięgłych. Oskarżyli Sokratesa w r. 399, przeszło siedemdziesięcioletniego już wówczas starca, trzej obywatela ateńscy: Meletos, Anitos i Likon; oskarżyli mianowicie o to, że odstąpił od wiary przodków i że psuje młode pokolenie; brzmiało to: «Sokrates dopuszcza się przestępstwa, nie wierząc w bogów, w których wierzy Rzeczpospolita, lecz wprowadzając nowe inne bożyszcza. Popępnia również przestępstwo, psując młodzież».

słusznie, czy nie; to bowiem właśnie stanowi zasługę sędziego; obowiązkiem zaś mówcy jest mówić prawdę.

Przedewszystkiem więc, Ateńczycy, wypada mi przystąpić do obrony przeciwko dawniejszym kłamliwym oskarżeniom i pierwszym moim oskarżycielom, a potem dopiero zwalczając następne oskarżenia i późniejszych oskarżycieli. Oddawna to już bowiem, od wielu już lat, liczni oskarżyciele kłamliwie czernili mnie przed wami, a oskarżycieli tych właśnie ja lękam się bardziej, aniżeli Anitosa i jego towarzyszków, aczkolwiek i ci są niebezpieczni. Dla mnie jednak, sędziowie, niebezpieczniejsi są owi, którzy, opanowawszy wielu z pomiędzy was, jeszcze od dzieciennych lat waszych, fałszywie oskarżali mnie przed wami i dowodzili wam, że istnieje pewien Sokrates, filozof, zajmujący się badaniem zjawisk niebieskich, szperaniem we wszelkich tajnikach podziemnych, który każdy fałsz w prawdę obrócić potrafi. Oni to, Ateńczycy, ci rozsiewacze podobnych baśni, stanowią zastęp groźnych dla mnie oskarżycieli, albowiem słuchacze ich są przekonani, iż ludzie, poświęcający się tego rodzaju dociekaniom, nawet w bogów nie wierzą. Dalej, oskarżyciele ci liczną stanowią rzeszę i obwiniali mnie przed wami przez długie lata, a do tego przemawiali do was wtedy właśnie, gdyście jako pacholeta, lub niektórzy z was jako młodzieńcy, byli w wieku najpochopniejszym do ślepej wiary, i skargi swoje, naturalnie, wytaczali zaocznie, gdyż nikt nie odpierał ich zarzutów. Najdziwniejsza jednak w tem wszystkim jest ta okoliczność, że nawet o nazwiskach tych ludzi dowiedzieć się, ani też wymienić ich tu niepodobna; komedjopisarz tylko pewien jedyny stanowi wyjątek (*Arystofanes, przyp. tłum.*). Ilu zaś tylko było takich, którzy, powodowani zawiścią a uzbrojeni w oszczerstwo, spotwarzali mnie przed wami, lub też takich, którzy, uwierzywszy komuś, potem i sami już przekonywali innych, wszyscy ci są dla mnie najzupełniej niedostępni. Niemożliwą jest dla mnie rzeczą ani pozwać kogokolwiek bądź z nich tu, na to miejsce; ani zderzyć z niego maskę; lecz, w samej rzeczy, u niewinniając siebie, muszę walczyć niby z jakimiś niepochwytnymi cieniami i dowodzić komuś fałszu, choć nikt mi nie odpowiada. Tu może kto z was gotów mi przerwać pytaniem: «Cóż się więc z tobą dzieje, Sokratesie? Skądże się wzięły owe potwarze przeciwko tobie?»... —...Zupełnie słuszną, mojem zdaniem, byłaby podobna uwaga. Dlatego też postaram się wyświełlić wam rzeczywistą przyczynę tych o mnie sądów i potwarzy. I może niejednemu z was będzie się zdawało, że ja żarty sobie stroję... Bądźcie jednak przekonani, że wam najszczerzą będę mówił prawdę. Rozgłos ów nieszczęsny, Ateńczycy, spadł na mnie za jakąś moją mądrość; nic innego nie było do niego powodem. I za jakąż to mądrość? Niezaprzeczenie jest ona mądrością czysto ludzką. Istotnie bowiem mądrość taką ja, zdaje się, posiadam; lecz ci, o których wspominałem niedawno (*to zn. sofści Gorgjasz, Prodyk i inni — przyp. tłum.*), ci prawdopodobnie są mędrkami, posiadającymi mądrość jakąś wyższą od dostępnej dla człowieka, albo też... nie wiem, co mam o niej powiedzieć... sam, zaprawdę, nie znam jej weale, a ktokolwiek mi ją przypisuje, ten mija się z prawdą i dlatego tylko tak mówi, iż ma oszczerstwo na celu. I nie burzcie się przeciwko mnie, Ateńczycy, choćby wam się i zdawało, iż zbyt zuchwałe prawię wam rzeczy. Słowa, które mam wygłosić, nie będą moje własne: powołam się na tego, od którego one wyszły, a który w oczach waszych godzien jest wiary. W sprawie mej mądrości, czy ona jest mądrością i jaką mianowicie, jako świadka postawię wam Apollina, boga delickiego. Znacnie zapewne Chajrefonta; od młodości swej był on towarzyszem moim, był towarzyszem i wielu z pomiędzy was, wraz z wami bowiem poszedł na wygnanie i razem z wami wrócił do ojczyzny. I wiecie chyba, co to za człowiek był Chajrefont, z jakim on żarem rzucał się do tego, o co się pokusił. Otóż on to pewnego razu, przybywszy do Delf, śmiało zapytał się wyroczeni... nie szemrajcie, mężowie, na to, co wam mówię... zapytał się więc, czy jest człowiek mądrzejszy ode mnie. I odpowiedziała mu Pytja, że mądrszego niemasz nikogo... Poświadczy to przed wami tu oto obecny brat jego, albowiem sam on już zeszedł z tego świata.

Zważcie, w jakim celu wam to mówię; mam wam przecież wykazać, skąd się wzięły miotane na mnie potwarze. Usłyszawszy o tem, zacząłem rzecz tę rozważać w następujący sposób: co znaczą słowa bóstwa? Co ono chce powiedzieć przez tę

zagadkę? Ja przecież wiem to o sobie, że bynajmniej mędrce nie jestem. Jakież więc nadaje ono miano swoim, nazywając mnie najmądrzejszym z ludzi? Rozumie się przecież, że nie kłamie; rzecz to niegodna bóstwa. Długo chwiałem się w niepewności, co mają znaczyć te słowa. Nareszcie, nie bez wewnętrznej walki z samym sobą, zwróciłem się do następujących poszukiwań: Udałem się najpierw do jednego z tych, którzy uchodzili za ludzi mądrych; jeśli już gdzie — myślałem sobie — to tam ja przekonam wyrocznie i wykażę wieszczbie: «Wszakże ty twierdzisz, że ja jestem najmądrzejszy, a tymczasem ten oto mądrzejszy jest ode mnie». Badając tego człowieka — nie mam wcale potrzeby przytaczać jego imienia, dość, Ateńczycy, że ten, badanie którego doprowadziło mnie do mych wniosków, był to jeden z mężów stanu; — z rozmowy z nim nabrałem przekonania, że człowiek ten w oczach wielu ludzi, a przede wszystkim w swoich własnych, zdawał się być mądrym, lecz nie był nim rzeczywiście. Staralem się przeto wyświecić mu, iż on sądził tylko, że jest mądry, a nie jest mądry. Otóż wskutek tego i w nim, i w większej części obecnych przytem wzbudziłem nienawiść przeciwko sobie. Lecz odchodząc od niego, rozumowałem sobie w myśli tak: Oto od tego człowieka ja mądrzejszy jestem; prawdopodobnie bowiem żaden z nas obu wiedzą swoją nie wkroczył w dziedzinę piękna i dobra; on atoli sądzi, że coś wie, choć nie wie; ja zaś, wiedząc, iż nic nie wiem, nawet nie przypuszczam, że coś wiem; zdaje się przeto, iż o małyżkę przynajmniej ja mądrzejszy jestem aniżeli on, już przez to samo, że nie myślę wcale, iż wiem to, czego nie wiem.

Stąd znowu udałem się do jednego z takich ludzi, którzy słynęli, jako jeszcze mądrzejsi od tamtego, lecz i o nim wkońcu powziąłem zupełnie takież samo przekonanie. Znowu tedy i w nim, i w wielu innych wywołałem niechęć ku sobie. Potem już pokolei chodziłem od jednego do drugiego, a choć spozierałem ze smutkiem i obawą, żem budził nienawiść ku sobie, uważałem jednak za rzecz nieuniknioną ponad wszystko postawić rozkaz boży. Zgłębiając istotne znaczenie wieszczęj odpowiedzi, muszę — myślałem sobie — obejść wszystkich, którzy, według ludzkiego zdania, coś wiedzą. I dalibóg, Ateńczycy, prawdę bowiem przed wami mówić mi należy, w samej rzeczy, znalazłem się wobec takiego oto zjawiska, iż u tych właśnie, których najbardziej wysławiano za ich rozum, gdym ich, posłuszny bóstwu, poddawał memu badaniu, znajdowałem największy prawie brak rzeczywistej mądrości; inni zaś, uważani powszechnie za ostatnich, wydali mi się ludźmi daleko bardziej zasługującymi na miano rozumnych. I muszę wam wystawić przed oczyma tułaczkę tę moją; pracę, rzec mogę, podejmowaną w pocie czoła, aby mi tylko na niewzruszonej słupce podstawie wyroczenia. Obszedłszy mężów stanu, udawałem się do poetów, do autorów tragedyj i do twórców dytyrambów, i do wszelkich innych pieśniarzy; tam już, sądziłem, przydybię samego siebie wobec żywych dowodów, iż mniej umiem niż oni... — ...Zauważyłem atoli jednocześnie, że oni wskutek swego poetyckiego daru wyobrażali sobie, że są najmądrzejsi z ludzi i pod każdym innym względem, czego w rzeczywistości nie było. I stąd tedy odszedłem, wynosząc z sobą przekonanie, że nad poetami mam tę samą, co i nad mężami stanu, przewagę. Nakońcu wreszcie udałem się do rzemieślników... — ...pokazało się atoli, Ateńczycy, że poczciwi ci majstrowie mieli taką samą wadę, co i poeci: każdy z nich przez to, że dzielnie kunszt swój uprawiał, uważał się już za najmądrzejszego i wobec wszelkich innych, najwyższej doniosłości zagadnień...

Z tego to właśnie badania, Ateńczycy, wybuchła taka moc nienawiści, skierowanej ku mnie; nienawiści w wysokim stopniu rozgoryczonej i zawziętej, objawiającej się w licznych miotanych na mnie oszczerstwach. Tu także ma źródło i ów rozgłos, że mędrce jestem. Zwykle bowiem obecni przy moich rozprawach sądzą, że ja posiadam tę mądrość, której nie przyznają drugiemu. A tymczasem, Ateńczycy, zdaje mi się nie ulegać wątpliwości, że rzeczywiście bóg tylko jeden jest mądry, i że w wieszczbie tej wypowiada on naukę, iż mądrość człowieka niewiele co, albo raczej nie zgoła nie jest warta. I prawdopodobnie w wyroczeniu swojej nie myśli on o Sokratesie, a użył tylko imienia mojego, stawiając mnie jako przykład, tak właśnie, jak jeśliby rzekł: «Ludzie, ten jest najmądrzejszy pomiędzy wami, kto jak Sokrates

doszedł do przekonania, że mądrość jego w istocie żadnej nie ma wartości». I dziś jeszcze posłuszny bogu chodzę pomiędzy ludźmi, i jeśli mi kto wygląda na mądrego, czy on należy do współobywateli naszych, czy to człowiek obcy, poddaję go takiemu rozbiorowi i badaniu; i jeśli nie widzę w nim mądrości, stoję po stronie bożej i wysławiam mu, iż nie jest on mądrym. Praca ta nie zostawiła mi czasu do spełnienia w zakresie spraw publicznych żadnego czynu godnego wspomnienia, ani też nie pozwoliła mi zająć się losem domowego mego ogniska. Ot, poświęciwszy się całkiem służbie bożej, żyję pogrążony w nędzy ostatecznej.

Do tego młodzi ludzie, stanowiący z własnej swojej woli zwykle moje otoczenie, mający czas najzupełniej wolny, synowie najzamożniejszych obywateli, przysłuchują się z przyjemnością rozprawom z badanymi przeze mnie ludźmi i częstokroć sami wstępują w moje ślady: usiłują przeto wybadywać innych i znajdują potem całe tłumy takich, którzy wyobrażają sobie, że coś wiedzą, gdy tymczasem nic nie wiedzą. Skutek tego taki, że wybadywani przez nich oburzają się nie na samych siebie, lecz na mnie i głoszą, że jakiś Sokrates jest to człowiek bez czci i wiary i psuje młode pokolenie. A gdy ich się kto pyta, co on czyni i czego uczy, nie na to rzec nie mogą, bo i sami nie wiedzą. Aby się jednak nie zdradzić ze swem zakłopotaniem, prawią owe, chwytane z podrezcza, wszystkim filozofom zarzucane baśnie o zjawiskach niebieskich, o tajnikach podziemnych, o niewierzeniu w bogów i przekręcaniu fałszu na prawdę. Prawdy albowiem, myślę, wyznać nie mają ochoty, iż wychodzi najaw, że nie nie wiedząc, nadają sobie pozór wiedzących. A że, o ile mi wiadomo, wszystko to są ludzie wysoko noszący głowę, ludzie gwałtowni, liczną stanowiący rzeszę, a w zwartych występują szeregach, a rozprawiają o mnie tonem, usuwającym wszelką o ich słowach wątpliwość, pełne więc macie uszy ich potwarzy, któremi oddawna a namiętnie szarpia imię moje. Z ich to grona rzucili się na mnie i Meletos, i Anitos, i Likon. Meletos rozjątrzony o poetów, Anitos o rzemieślników i mężów stanu, Likon o mówców. Wobec tego dziwiłbym się sam, jak to już rzekłem na początku, jeśli mi się udało w niedługim tak czasie wybić z umysłów waszych tak rozgłośnie oszczerstwo. Oto macie, Ateńczycy, szczerą prawdę; mówię bowiem, niczego nie ukrywając przed wami, nie przesłaniając niczego. A przecież jestem prawie przekonany, że przez tę szczerą jeszcze i teraz wytwarzam sobie wrogów. Dowód to właśnie, że mówię prawdę, niemniej, że taki jest istotnie charakter mojej niesławy i takie jej przyczyny. I jeśli, czy teraz, czy kiedy indziej, dochodzić tego zechcecie, zobaczycie, że słowa moje sprawdzą się co do joty. Tak postępować będę z każdym, kogo tylko spotkam: z młodszym, czy ze starszym, z obcym, czy z ziomkami — tem bardziej nawet z ziomkami, o ile rodem bliżsi mi jesteście. Wiedźcie o tem, że tak postępować rozkazuje mi bóg. I przekonany jestem, że nigdy jeszcze na waszą Rzeczpospolitą nie spadło dobrodziejstwo większe od tej mojej służby bożej. Wszak ja, chodząc pomiędzy wami, nie zajmuję się niczem innym, a tylko namawiam i młodszych, i starszych, abyście nie wpierw i nie z takim zapalem poświęcali się zabiegom około ciała i majątku, aniżeli troskliwości o duszę, aby się ona stała jak najdoskonalszą. I dowodzę, że cnota nie jest wynikiem bogactwa, lecz bogactwo i wszystkie inne dobra ludzkie, tak dla pojedynczego człowieka, jak i dla narodu, wypływają z enoty. Jeśli więc ja psuję młode pokolenie przez to, iż przemawiam w ten sposób, szkodliwa być musi taka nauka. Jeśli zaś kto twierdzi, że ja przemawiam nie tak, ale inaczej — kłamie. Wobec tego rzec wam mogę, Ateńczycy, czy słuchacie rady Anitosa, czy nie, czy mnie uniewinniacie, czy nie uniewinnicie, ja już postępować inaczej nie będę, choćbym miał nawet i tysiąc razy umierać.

Nie szemrajcie, Ateńczycy. Wytrwajcie mi przy ustępstwie, o które was prosiłem, abyście, co bądźbym wam mówił, nie wszczynali wrzawy, ale słuchali. Myślę nawet, że z korzyścią będzie to dla was, że mnie słuchać będziecie. Wypadnie mi wprawdzie niejedno wam jeszcze powiedzieć, z powodu czego zapewne hałaśliwą wybuchniecie wrzawą. Nie czynicie tego bezwarunkowo! Wiedźcie bowiem, że, jeśli wydacie wyrok śmierci na mnie, na człowieka takiego, jakim wam się tu przedstawiam, daleko bardziej zaszkodzicie samym sobie, aniżeli mnie. Bo mnie osobiście doprawdy w niczem nie zaszkodzi ani Meletos, ani Anitos. Nie w jego to nawet mocy; nie sądę bowiem,

aby się to zgadzało z prawem bożem, żeby człowiek lepszy mógł doznawać szkody od gorszego. Może on, prawda, spowodować skazanie mnie na śmierć, albo na wygnanie z ojczyzny, albo na pozbawienie praw obywatelstwa. Ja daleko bardziej poczytuję za nieszczęście dopuszczenie się czynu, jakiego on się obecnie dopuszcza: występne kuszenie się o wydarcie życia człowiekowi. I obecnie, Ateńczycy, daleki jestem od myśli bronięcia, jakby się to komu wydawać mogło, samego siebie; przeciwnie: ja przemawiam w waszym interesie, abyście, potępiwszy mnie, nie zgrzeszyli przez to przeciwko darowi, zeslanemu wam przez boga. Jeśli bowiem zglądziecie mnie ze świata, niełatwo znajdziecie drugiego takiego, któryby — choć to może trochę śmieszne porównanie — siadł z woli bożej na naród, jakby na konia, rosnącego, prawda, i rasowego, z powodu jednak rosnącości swojej trochę za leniwego i potrzebującego, aby go błąk jaki pobudzał do ruchu. Jestem przekonany, że bóg zesłał mnie Rzeczypospolitej, takie właśnie wskazawszy mi posłannictwo, abym nieustannie, po całych dniach, na każdym miejscu, czepiał się każdego z was i budził, i przekonywał, i karcił. A drugi taki, mężowie, niełatwo wam się dostanie; otóż, jeśli za moją pójsz zechcecie radą, oszczędźcie mnie. Bardzo wszakże być może, iż wy, w przystępie złości — tak samo, jak zasypiający, gdy ich kto budzi — grzotniejszy mnie, za radą Anitosa, zglądźcie lekkomyślnie ze świata i całe życie już potem spać będziecie bez przestanku, jeśli bóg w pieczołowitości swej o was nie zśle wam kogo innego.

*(Po dwukrotnem głosowaniu sędziowie wydali wyrok śmierci; Sokrates jeszcze raz przemówił):*

Dla niewielkiej na czasie wygranej znosić będziecie, Ateńczycy, przycinki i zarzuty każdego, kto zechce lżyć nasze społeczeństwo, żeście zabili mędrca Sokratesa. Nazywać mnie bowiem będą mędrcom, lubo nim w istocie nie jestem, ci, którzy zapragną obrzucać was błotem. Wszak gdybyście byli poczekali trochę, samo przez się byłoby wam to przypadło. Bo przecież widziecie, że wiek mój daleko wysunął się już naprzód na drodze żywota, że blisko ma już do śmierci. Mówię to nie do was wszystkich, lecz do tych, którzy wydali na mnie wyrok śmierci. Tym wszakże powiem jeszcze i to. Sądzić może, mężowie, że ja ginę z braku słów takich, któremi zdołałbym przekonać was, zwłaszcza, jeżelibym był sądził, że należy mi czynić wszystko i mówić wszystko, aby się tylko dobić uniewinnienia. Bynajmniej! Ginę, prawda, z braku — nie słów jednakże, ale bezczelności i bezwstydu. Ginę wskutek tego, że nie chciałem mówić wam takich rzeczy, które istotnie wielceby były przyjemne dla waszych uszu. Gdybym był płakał i biadał, gdybym był nie przebierał w środkach, ani w słowach takich, które ja za niegodne siebie uważam, a które wy przywykliście słyszeć od innych. Wszakże i wtedy daleki byłem od myśli, abym z uwagi na grożące mi niebezpieczeństwo dopuścić się miał jakiegóż niewolniczego czynu, ani też teraz nie żałuję tego, że się broniłem tak, a nie inaczej. Owszem, daleko bardziej wolę, wygłosiwszy tę obronę, umierać, aniżeli zapomocą owych środków pozostać przy życiu. Bo tak w rozprawie sądowej, jak i na wojnie, nie godzi się ani mnie, ani nikomu w świecie wysilać się na to, aby bądź co bądź uchronić się od śmierci. I w bitwach przecież nieraz oczywiście niejednego uniknąć mógłby śmierci, jeśli by porzucił broń i ku ścigającym błagalnie wyciągnął dłonie. W każdego rodzaju niebezpieczeństwach są, prócz tych, liczne sposoby uchylania się od śmierci, jeśli się tylko kto odważy w czynach i słowach swoich nie cofać się przed niczem. Lecz trudność, mężowie, nie na tem podobno polega, aby uciec przed śmiercią — daleko trudniej zaiste jest uciec przed nikiemnością, bo ona bieży chętniej od śmierci. To też i obecnie ja, jako ociężały już i stary, pojmany zostałem przez to, co powolniejsze. Oskarżyciele zaś moi, jako krzepcy i szybcy, przez to, co chętsze: przez podłość. Ja odejdę stąd, uznany przez was za winnego śmierci — oni uznani przez prawdę za winnych moralnej zgnilizny i niesprawiedliwości. I ja pozostaję przy swoim wyroku — mają swój i oni. Widać, że taki obrót sądzony już był tej sprawie, i mnie mam, że wszystko jest w porządku.

A teraz wy, którzyście wydali na mnie wyrok potępienia, pragnę wam wygłosić prorocstwo o następstwach tego w przyszłości. Bo jestem już wobec chwili, w której

ludzie najczęściej wieszczym przemawiają głosem — gdy się mają rozstawać z życiem. Mówię więc wam, mężowie, wam, którzyście uderzyli we mnie karą śmierci, że wkrótce po moim zgonie przyjdzie na was kara, daleko — przysięgam na Zeusa — cięższa, aniżeli ta, przez którą wydzieracie mi życie. Wy bowiem uczyniliście to w nadziei, że się uwolnicie od zdawania rachunku ze swego życia; a ja wam mówię, że otrzymacie skutek wręcz przeciwny. Karcący was w większej powstaną liczbie, bo ja wstrzymywałem ich dotąd, chociaż wy nie spostrzegaliście tego; i surowsi będą, bo młodszy; i bardziej jeszcze jątrzyć się będziecie. Jeśli sądzicie, że, skazując ludzi na śmierć, powstrzymacie kogo od czynienia wam wyrzutów, że żyjecie nie tak, jak żyć należy, jesteście w błędzie. Taki sposób wyzwalania się jest i niezupełnie możliwy, i nieszlachetny; a najuczciwszy i najprostszy zarazem jest — nie wycinać innych, a pracować nad samym sobą, aby się doprowadzić do jak największej doskonałości. Wygłosiwszy wieszczbę taką wam, którzyście mnie potępili, rozstaję się z wami.

*Tłum. Adam Maszewski.*

#### FILEB

*Osoby dialogu: Sokrates, Protarch, Fileb.*

Sokrates. Fileb bowiem za najwyższe dobro wszystkich istot żyjących uznaje przyjemność, rozkosz, uciechę i wszystko to, co w zakres tych uczuć wchodzi. Ja zaś, przeciwnie, odnawiam im pierwszeństwa, a przyznaję je mądrości, poznawaniu i rozpamiętywaniu, oraz pojęciom pokrewnym, jako to: myślom prawidłowym i prawdziwym wywodom, które dla wszystkich istot, zdolnych je sobie przyswoić, uważam za pożyteczniejsze i doskonalsze, aniżeli rozkosz. Powiedziałbym nawet, że najpożyteczniejsze wogóle dla istot odpowiednio uzdolnionych nietylko w terażniejszości, ale i w przyszłości. Wszakże tak mniej więcej, Filebie, brzmią dwa przeciwne sobie zdania, któreśmy wypowiedzieli?

Fileb. Zupełnie tak, Sokratesie.

Sokrates. Więc przyjmujesz, Protarchu, obronę poglądu, poruczoną tobie?

Protarch. Zniwolony jestem przyjąć, skoro nasz piękny Fileb zmęczony.

Sokrates. Musimy zbadać prawdziwość tych poglądów.

Protarch. Musimy.

Sokrates. Dalej musimy stwierdzić i to jeszcze...

Protarch. Co mianowicie?

Sokrates. Obaj winniśmy przecie wykazać ów przymiot i nastrój duszy, któryby uznać można za podwalinę szczęścia w życiu ludzkim. Czy nie tak?

Protarch. Słusznie.

Sokrates. Waszem tedy zadaniem będzie określić znamiona rozkoszy, mojem — mądrości.

Protarch. Tak jest.

Sokrates. Cóż jednak będzie, jeżeli inny jaki przymiot duchowy okaże się doskonalszym od tych? Gdy pokrewieństwem zbliży się więcej do rozkoszy, w takim razie, wobec sposobu życia, przyjmującego za podstawę ów przymiot, uznamy się wprowadzić obaj za zwyciężonych, ale życiu wśród rozkoszy przyznamy pierwszeństwo przed życiem według zasad mądrości?

Protarch. Owszem, tak.

Sokrates. Jeżeli jednakże ów przymiot okaże się więcej mądrości pokrewny, w takim razie mądrość górę weźmie nad rozkoszą, która za zwyciężoną uchodźcie będzie. Czy zgadzacie się na taką ugodę, czy jak?

Protarch. Mnie przynajmniej wydaje się ona słuszną.

Sokrates. A Filebowi, jak myślisz?

Fileb. Co do mnie, ja w każdym razie jestem i będę za przewagą rozkoszy. Ty, Protarchu, sam to zrozumiesz najlepiej.

Protarch. Zdawszy na mnie obronę swego twierdzenia, nie masz prawa, Filebie, ani ustępować Sokratesowi, ani mu się przeciwstawić.

Fileb. Prawdę mówisz; to też zrzekam się głosu i wzywam boginię za świadka.

Protarch. I my także ci poświadczymy, że wyrzekłeś to, co mówisz. A teraz zabierzmy się z kolei, Sokratesie, przy zgodzie Fileba, lub jak on zechce, do roztrząsania postawionych twierdzeń.

Sokrates. Uczynimy to, poczynając od bóstwa, zwanego powszechnie Afrodytą, a które najstosowniej, jak Fileb utrzymuje, zwać się powinno rozkoszą.

Protarch. Jak najstuszniej.

Sokrates. Obawa, Protarchu, z jaką przysłępuję do nadawania nazwisk bóstwom, jest niezwykła i przechodzi wszelkie granice. Więc też i nadal Afrodytę chcę zwać jej ulubionem imieniem. Rozkosz bowiem, o ile mi wiadomo, jest to pojęcie względne i właśnie od jej określenia, jak już powiedziałem, zacząć wypada. Wydaje się bowiem czemś jednolitem, a przejawia się w najrozlicniejszych odmianach, weale do siebie niepodobnych. Zastanów się tylko. Rozkosz uczuwa nietylko człowiek, oddany namiętnościom, ale niemniej i wstrzemięźliwy, przewyciężając namiętności. Rozkosz uczuwa nietylko ten, kto w swym nierozsądku dochodzi do przewrotnych poglądów i ludzi się płonną nadzieją, ale i ten, kto rozważa rzeczy zdrowym rozsądkiem. Czyżby w naszych oczach nie uchodził za człowieka nierozsądnego, kto dwojakim tym rodzajom rozkoszy przypisywałby podobieństwo?

Protarch. Prawda, Sokratesie, różnią się one swem pochodzeniem; jednakże w swej istocie nie różnią się niczem, bo jakżeby rozkosz nie miała być rozkoszą, iakżeby cośkolwiek w świecie nie miało być najpodobniejsze do samego siebie?

Sokrates. Zabawnyś; wszakże i barwa od barwy, jeśli ją tylko według jej istoty sądzić będziemy, niczem różnić się nie będzie; jednakże barwa czarna, jak wiadomo, jest od barwy białej nietylko różna, ale nawet wręcz jej przeciwna. Podobnie i kształt kształtowi co do istoty jest równy, gdy tymczasem rodzaje kształtów albo są sobie wręcz przeciwne, albo się różnią niezliczonymi odmianami. I wiele innych napotykamy rzeczy, pozostających w podobnym do siebie stosunku, tak, że nie ufaj nadto sposobowi myślenia, łączącemu w jedno rzeczy wręcz sobie przeciwne. Obawiam się zaś, że napotkamy często rozkosz przeciwną innym rozkoszom.

Protarch. Być może, lecz o ile miałoby to zbijać nasze twierdzenie?

Sokrates. O tyle, że mimo ich różnic oznaczasz je, powiedzmy, innym jeszcze mianem. Boć twierdzisz przecie, że wszystko, co przyjemne, jest dobrem. Iżby przyjemność nie miała być przyjemnością, tego ci nikt zaprzeczać nie będzie. Jednakże, gdy, podług mojego mniemania, niejedno, co przyjemne, jest złem, inne dobrem; ty natomiast wszystko, co przyjemne, uznajesz za dobre, pomimo, iż zmuszony jesteś przyznać przeciwnikowi, że istnieją przeciwieź różne przyjemności. Czemże więc jest to, co w równej mierze przypisujesz dobrym i złym rozkoszom, a wskutek czego wszelka rozkosz podług ciebie jest dobra?

Protarch. Do czego zmierzasz, Sokratesie? Czy sądzisz, że kto raz rozkosz nazwał dobrem, uczyni ci to ustępstwo i przyzna słusność twemu mniemaniu, jakoby pewne rodzaje rozkoszy były wprawdzie dobre, ale zato inne złe?

Sokrates. To mi jednak przyznasz, iż niektóre z nich różnią się pomiędzy sobą, a niektóre nawet wręcz sobie są przeciwne?

Protarch. Przecięź nie, o ile są rozkoszami.

Sokrates. Błądzimy w kole, Protarchu, i znów powracamy do twierdzenia, że rozkosz od rozkoszy się nie różni, lecz owszem, że wszystkie są do siebie podobne. Przytoczone w tej chwili przykłady chybiły tedy celu, a zdążamy do tego, czego czeplają się ludzie prości i dysput nieświadomi.

Protarch. Cóż znowu mówisz?

Sokrates. Otóż, że gdybym, naśladowając ciebie, chciał się bronić i umiał wyćmóc na sobie, abym rzeczy najbardziej różne uznawał za podobne do siebie, wtedy mógłbym przy tem samem, co ty, obstawać i okazalibyśmy się bardziej niedoświadczonymi, aniżeli się godzi, a w roztrząsaniu naszym ani o krok nie posunęlibyśmy się naprzód. Lecz podejmiemy je na nowo; może, podążając dalej, pogodzimy nasze zdania.

Protarch. Mówże jak?

Sokrates. Wyobraź sobie, Protarchu, że ty mnie wypytujesz.

Protarch. O co mianowicie?

Sokrates. Czyżby mądrość i nauka, i rozum, i wszystko, com na początku, zapytany o dobro, nazwał dobrem, nie podlegało temu samemu losowi, co twoje mniemanie?

Protarch. Jakiemu?

Sokrates. Wszelka nauka wydaje się nam wieloraką; w jej skład wchodzi wiele części, do siebie niepodobnych. A choćby niektóre z nich okazały się wręcz sobie przeciwne, czyż byłbym godzien prowadzić dysputę, gdybym bojaźliwie a uparcie chciał utrzymywać, że żadna nauka niezem się nie różni od drugiej; wskutek czego ta nasza rozmowa rozwiłaby się jak baśń jaka, a my sami szukalibyśmy zbawienia w czezej gadaninie.

Protarch. Tak jednak być nie powinno i zaradzić temu potrzeba. Podobieństwo, jakie w naszych, aczkolwiek przeciwnych sobie twierdzeniach napotykam, bardzo mi w tym względzie na rękę; uznajmy tedy wielość i różność rozkoszy, oraz wielość i różność nauki.

Sokrates. Nie ukrywajmy jednak, Protarchu, wielorakich różnic, zachodzących między mojem i twojem pojęciem dobra; owszem, starajmy się je otwarcie wyświełić; może zbadawszy je dokładnie, przekonamy się, czy rozkosz, czy mądrość jest dobrem, czy też coś trzeciego. Boć teraz już przecieź nie chodzi nam o to, czy moje zdanie zwycięstwo odniesie, czy też twoje, lecz obaj mieć winniśmy na oku przedewszystkiem prawdę.

Protarch. To bezwątpienia jest naszym obowiązkiem.

Sokrates. A więc utwierdźmy najprzód to nasze wspólne zdanie bliższem wzajemnem porozumieniem się.

Protarch. Jakie zdanie?

Sokrates. Zdanie, które wszystkim ludziom sprawia trudności; niektórym za ich wiedzą i wolą, innym niekiedy bezwiednie.

Protarch. Mówże jaśniej.

Sokrates. Mam na myśli ów pewnik, któryśmy wspólnie wynaleźli, a który w swej istocie jest bardzo dziwny, boć dziwne wydaje się zdanie, że jedność jest wielością, a wielość równocześnie jednością, i łatwo o sprzeczkę z każdym, kto za jednym lub drugim wyłącznie obstaje.

Protarch. Czyż tu masz na myśli, że mógłby kto mnie, Protarcha, będącego od urodzenia jednostką, nazwać równocześnie wielością, albo upatrywać we mnie, jako wielości, przymioty wręcz sobie przeciwne, jako zem wielki i mały, lekki i ciężki, i tak bez końca?

Sokrates. Poruszasz, Protarchu, w tem dziwnem połączeniu jedności i wielości tylko tę stronę, która się utarła powszechnie, którą uznano ogólnie za prawdę niezaprzeczoną, za rzecz prostą i zrozumiałą dla każdego dziecka, a utrudniającą tylko dysputę, gdy ktoś przeczy.

*Tłum. Br. Kasinowski.*

## ARYSTOTELES ZE STAGIRY

(384—322 przed Chr.)

### POETYKA

I. Chcemy mówić o samymże kunszcie poetycznym i o jego rodzajach, jakie ma znaczenie każdy z nich i jak należy układać pomysł, jeżeli poemat pięknie ma wypaść, a nadto, z ilu on i z jakich składa się części—zarówno jak o rzeczach innych, które do tegoż samego zakresu badania należą, a rozpoczniemy z natury rzeczy najprzód od tego, co pierwsze.

Epopeja zatem i utwór tragiczny, a nadto komedja i poezja dytyrambiczna<sup>1</sup>,

<sup>1</sup> Dytyramby były to pieśni śpiewane przez chór na cześć Dionizosa (Bachusa), z towarzyszeniem muzyki i tańca.

i gry na flecie i na cytrze część największa — wszystkie one są, razem wzięwszy, utworami naśladowczymi, a różnią się między sobą pod trzema względami: bo albo przez to, że odmiennymi naśladują środkami, albo że naśladują co innego, albo że inaczej i nie w tenże sam sposób. Podobnie bowiem jak barwami i układem postaci naśladują niektórzy sprawy rozliczne, odwzorowując je, a niektórzy zapomocą głosu, i to jedni przez sztukę, drudzy przez wprawę: tak i w wymienionych kunsztach dzieje się, że wszystkie wydają naśladowanie w rytmie, w słowie i w harmonji, i to albo oddzielnie w każdym z nich, albo w połączeniu jednego z drugim. I tak harmonji i rytmu używa jedynie gra na flecie i cytrze i, jeżeli inne jakie zdarzają się tego rodzaju co do istoty sztuki, naprzykład gra na piszczałce pasterskiej, samym zaś tylko rytmem bez harmonji naśladuje wielka część tancerzy, gdyż i oni przez ruchy rytmiczne naśladują i charaktery, i uczucia, i czynności, a epopeja naśladuje jedynie mowę potoczną<sup>1</sup>, albo samemi wierszami, i to wierszami bądź w pomieszaniu jednych z drugimi, bądź w zastosowaniu jednego jakiegoś ich rodzaju, jak się to dzieje właśnie dotychczas. Użyliśmy zaś wyrazu «epopeja», bo nie moglibyśmy żadnem innem mianem wspólnem objąć mianem Sofrona i Ksenarcha i rozmów sokracyjnych, jako też i utworów takich, gdyby ktoś wydawał naśladowanie w trymetrach albo w wierszach elegijnych, lub w innych jakich podobnych<sup>2</sup>. Tylko ludzie, łącząc ściśle poezję z rodzajem wierszy, jednych elegikami, drugich epikami mienią, w przekonaniu, że się twórców nazywa poetami<sup>3</sup> nie ze względu na naśladowanie, ale ogólnie ze względu na rodzaj wierszy. To też przywykli używać miana takiego, jeżeli ułoży kto utwór jakiś treści lekarskiej, albo umiejętnej, a przecież nie niema wspólnego oprócz wiersza pomiędzy Homerem a Empedoklesem<sup>4</sup>, i stąd tamtego słusznie nazywać poetą, tego zaś filozofem raczej niż poetą. A podobnież niema takiego wspólnego miana także dla utworu, gdyby ktoś wydawał naśladowania wszystkie, mieszając wiersze, jak to naprzykład Cheremon<sup>5</sup> napisał «Centaura», rapsodję ułożoną mieszaniem wszelkiego rodzaju wierszami, a mienić go trzeba poetą. W ten zatem sposób niechaj będzie podane określenie tych właściwości. Ale są niektóre sztuki, posługujące się wszystkimi wymienionymi środkami, rozumiem tu mianowicie: rytmiczne ruchy, melodję i wiersze, jako to: poezja dytyrambiczna, poezja nomiczna<sup>6</sup>, tragedia i komedia — a różnią się one przez to, że jedne posługują się nimi wszystkimi całe, inne częściowo. Takie zatem upatruję różnice w sztukach ze względu na środki, jakimi naśladowanie wydają.

II. A że naśladujący naśladują ludzi działających, ludzie zaś są koniecznie albo szlachetni, albo źli, gdyż charakter prawie zawsze na tych jedynie polega przymiotach, bo przez złość i przez cnotę różnią się charakterem wszyscy: to też naśladujący naśladować będą albo ludzi lepszych w stosunku do nas, albo gorszych, albo też podobnych, jak to malarze czynią: bo Polignot szlachetniejsze odtwarzał typy, Pauzon zaś niższe, a Dionizjos pospolite<sup>7</sup>. I oczywistą jest rzeczą, że każda także z wymie-

<sup>1</sup> Tu przeciwstawia epopeję sztuce dramatycznej, łączącej się niekiedy ściśle z muzyką i tańcem (tragedja), o których mowa była powyżej.

<sup>2</sup> Syrakuzanńczyk Sofron, żyjący około 420 przed Chrystusem, i syn jego, Ksenarchos, wstawili się «mimami», t. j. dialogami pisanymi prozą, wysławiającemi sceny z życia codziennego: i poważniejsze i komiczne; odznaczały się one ruchliwością i trafną charakterystyką osób. Przez «Różnowy sokracyjne» rozumie Arystoteles nietyle naukowe dialogi, np. Platona, ale pisma w rodzaju «Biesiady» Ksenofonta, mające przeważnie wartość estetyczną. Mówiąc o trymetrach, Arystoteles ma na myśli wiersze satyryczne Archilocha (ok. 650 przed Chr.) i jego następców.

<sup>3</sup> Grecki wyraz «poeta» bukwalnie znaczy «twórca»: «pojein=tworzyć».

<sup>4</sup> Empedokles, filozof, żył około r. 440 prz. Chr. Jest on autorem poematu «O przyrodzie», z którego dochowały się obszerniejsze fragmenty; w utworze tym wyłożył naukę swoją. Naogół Arystoteles tutaj ma na myśli t. zwaną poezję dydaktyczną, to znaczy poetycką w formie, ale naukową w treści.

<sup>5</sup> Cheremon, współczesny prawdopodobnie Platonowi, nie jest nam z utworów bliżej znany.

<sup>6</sup> Nomy były pieśniami pokrewnymi dytyrambom, treści również religijnej, ale ułożone monostroficznie, tem właśnie różniły się od dytyrambów.

<sup>7</sup> Polignot, Taryjczyk, syn malarza Aglaofonta, żył współcześnie z rzeźbiarzem Fidjuszem i również wysoko był ceniony. Pauzon, młodszy cokolwiek, nie tworzył karykatur

nionych sztuk naśladowczych także same wykaże różnice, i tym sposobem inną będzie przez to, że co innego wynasładowuje. Wszakże i w tańcu, i w grze na flecie i na cytrze wystąpić mogą owe cechy niejednakie. A te same różnice wykaże również opowiadanie potoczne i wiersze. Homer naprzykład naśladował charakterzy szlachetniejsze, Kleofon pospolite, Hegemon zaś Taryjczyk, pierwszy twórca parodji, i Nikochares, autor «Deljady» — niższe<sup>1</sup>. A również to samo da się powiedzieć o dytyrambach, także i o nomach, bo chociaż występują tutaj zwykle charakterzy szlachetniejsze, możnaby wydać w nich naśladowanie takie, jakie wydali w «Cyklopach» Tymoteusz i Filoksenos<sup>2</sup>. I w tym właśnie względzie rzeczowym różni się tragedia od komedji; ta mianowicie naśladować usiłuje ludzi gorszych, tanta lepszych, niż są w rzeczywistości.

III. A nadto trzecia jeszcze w tym szeregu wystąpi różnica przez sposób, w jaki ktoś to wszystko naśladować będzie. Bo naśladować można temi samemi środkami i toż samo, jużto opowiadając — bądź przez wprowadzenie kogoś innego, jak to czyni Homer, bądź jakoby samemu ciągle i bez zastąpienia własnej swojej osoby — jużto wystawiać można naśladowane osoby, wszystkie jakoby działające i czynne. Naśladowanie zatem przychodzi do skutku pod trzema rozmaitemi względami, jak na początku powiedzieliśmy, pod względem środków, rzeczy i sposobu. Dlatego mógłby Sofokles z jednej strony za takiego samego uchodzić naśladowcę jak Homer, gdyż obaj naśladowują ludzi szlachetnych, a z drugiej strony za takiego samego jak Arystofanes, gdyż obaj naśladowują ludzi działających i czynnych. Stąd też, jak utrzymują niektórzy, utwory ich nazywają się dramalami, to jest utworami z wprowadzeniem działania, ponieważ ludzi działających naśladowują. I z tej przyczyny pierwszeństwo w wynalezieniu tragedji i komedji przypisują sobie Doryjczycy: mianowicie w komedji Megarejczycy<sup>3</sup>, i to zarówno Megarejczycy mieszkający tutaj — w przekonaniu, że za rządów demokratycznych u nich komedja powstała — jak i Megarejczycy sycylijscy: stamąd bowiem pochodzi Epicharmos, poeta o wiele starszy od Chionidesa i Magnesasa<sup>4</sup>; w wynalezieniu tragedji zaś przypisują sobie pierwszeństwo niektórzy z Peloponezjan, biorąc sobie wyrazy za dowód. Powiadają bowiem, że osadom okolicznym dają nazwę «kômai», Ateńczycy zaś «dëmoi», tego będąc przekonania, że wystawiający komedje nie od wyrazu «kômazein» (wałęsać się) nazwani zostali, lecz od chodzenia po osadach (kômai), ponieważ mieszkańcy ich lekceważyli; także «działać» wyrażają sami słowem «drân», Ateńczycy zaś słowem «prattein». To zatem niechaj wystarczy o różnicach w naśladowaniu, ile ich jest i jakie są.

IV. Zdaje się zaś, że kunszt poetyczny, ogólnie wzięwszy, z dwóch przyczyn powstał, i to naturalnych. Naśladowanie mianowicie wrodzone jest ludziom od dziecka — i człowiek różni się od reszty zwierząt przez to, że najzdolniejszy jest do naśladowania i przez nie pierwszych nabywa wiadomości, i wrodzona jest wszystkim przyjemność, płynąca z dzieł naśladowczych. A dowodem tego okoliczność, zdarzająca się w rzeczywistości: obrazy bowiem, zdjęte z rzeczy, na które same z przykrością patrzymy, najdokładniej wykonane z przyjemnością oglądamy: postaci naprzykład najwstręt-

w ścisłem znaczeniu; komiczno-satyryczne obrazy jego wystawiały postacie szpetne i niskie. Dionizjos z Kolofonu nie objawiał tej wzniosłości i szlachetności, co Polignot — nazywano go też antropografem.

<sup>1</sup> Kleofon, zupełnie nieznan nam poeta. Z parodji Hegemona, żyjącego w czasach wojny peloponeskiej, zachowało się tylko 21 heksametrów; były to parodje epiczne. Nikochares, współzawodnik podobno Arystofanesa, wyśmiewać miał w «Deljadzie» Delijczyków, którzy, korzystając z napływu pielgrzymujących do świątyni Apollina na wyspie Delos, utrzymywali tam gospody i kuchnie, wyszukując niesumienne przybyszów.

<sup>2</sup> Tymoteusz z Miletu, ur. 446 prz. Ch., należał do najznakomitszych poetów lirycznych, tworzących nomy i dytyramby. Filoksenos z Cytery (425—380), żył na dworze Dionizjosa I. Najśłynniejszy jego dytyramb miał tytuł «Cyklop». Pod postacią Polifema wyszydził w nim poeta tyrana.

<sup>3</sup> Po upadku tyrana megarejskiego Teagenesa (ok. r. 590) przyszło tam wkrótce do rządów demokratycznych, podczas których wystąpił jako twórca komedji Suzarjon; około r. 576 przeniół się on do Ikarji w Attyce.

<sup>4</sup> Według innych wiadomości, był Epicharmos rodem z wyspy Kos, ale już jako dziecko przybył z ojcem do Megary w Sycylii a w r. 486 udał się do Syrakuz, gdzie żył na dworze Gelona i Hierona. Komedjopisarze attyccy: Chionidos dał się poznać w r. 501, a Magnes był jeszcze młodzieńcem, kiedy Epicharmos już w podeszłym był wieku.

niejszych zwierząt i trupów. Przyczyną zaś tego jest także między innymi ta okoliczność, że nabywać wiadomości nietylko dla filozofów bardzo miłą jest rzeczą, ale i dla innych ludzi również, tylko że zajęcie to ich trwa krótko. Oglądają oni mianowicie obrazy z przyjemnością dlatego, że wśród patrzenia przychodzi im się dowiadywać i wnioskować, co każdy z tych obrazów wystawia, na przykład «ten jest ten a ten». Toż, jeżeli przypadkiem poprzednio czegoś nie widzieli, nie naśladowanie wzbudzi w nich rozkosz, ale przyjemność im sprawi wykończenie dzieła, albo koloryt, albo inna jaka przyczyna podobna. A ponieważ w naturze naszej tkwi naśladowanie i harmonja, i rytm — bo, że miary wierszowe rodzajem są rytmów, wiadomo — od początku wyposażeni tak ludzie i zwolna do doskonałości to doprowadzając, stworzyli poezję z prób, bez przygotowania zrazu czynionych.

V. I rozdzieliła się według usposobień osobistych poezja. Mistrze bowiem z umysłem podnioslejszym naśladowali czynności szlachetne i przez szlachetnych ludzi zdziałane, a ci, co mieli umysł pospolitszy, czyny ludzi płaskich, naganne zrazu układając wiersze, podobnie jak tamci hymny i pochwały. Otóż z poematów tego rodzaju nie możemy przed Homerem wymienić żadnego, ale prawdopodobnie poetów takich było wielu; począwszy jednak od Homera, uczynić to już możemy, jak tego dowodem na przykład jego «Margites»<sup>1</sup> i tym podobne utwory. I pojawiła się też w wierszach tych stosownie dobrana miara jambiczna — dlatego to nazywa się ona obecnie uszczypliwą, gdyż takim właśnie wierszem uszczypliwie żartowano z siebie nawzajem. Jedni też z poetów dawnych zostali twórcami poematów bohaterskich, inni uszczypliwych. A jak w utworach poważnych Homer przede wszystkim poetą był, nietylko bowiem sam jeden tworzył dobrze, ale i sceny naśladowcze układał dramatycznie, tak także i zarysy komedji wskazał pierwszy, pomieściwszy w poezji dramatycznie nie naganę, ale żywioł śmiech obudzający. Bo taki sam jest stosunek «Iljady» i «Odysei» do tragedji, jak i «Margitesa» do komedji. A kiedy pojawiły się tragedja i komedja, ci, którzy oddawali się jednemu i drugiemu rodzajowi poezji, stosownie do właściwego sobie usposobienia, jedni zamiast jambików zostali komedjopisarzami, drudzy zamiast epików tragedjopisarzami, ponieważ oba te rodzaje poezji są wyższe i więcej cennie od dawniejszych.

VI. Otóż badać, czy tragedja jest już doskonałą w postaci swojej, czy nie, o ile osądzić można rzecz tę samą w sobie i ze względu na wystawę sceniczną, to pytanie inne. Ale po powstaniu tragedji z prób bez przygotowania zrazu czynionych — tragedja mianowicie, równie jak komedja, taki sam miały początek: tamta od przodowników w chórach dytyrambicznych, ta od przodowników w chórach fallickich<sup>2</sup>, które dzisiaj jeszcze w wielu miastach w zwyczaju się zachowują, — tragedja zwolna rozwinęła się przez udoskonalenie wszystkich części istotnych, jakie się w niej pojawiły, i wielu doznawszy zmian, stanęła u kresu, skoro otrzymała całość istocie swojej odpowiednią. I aktorów ilość z jednego na dwóch pierwszy zmienił Eschilos, i udział chóru ograniczył, i rozmowie naczelne znaczenie nadał; aktorów zaś trzech i dekorację sceniczną Sofokles przydał. A nadto w miejsce szczupłych pomysłów rozciąglejsze wprowadzono i ze sposobu wyrażania się żartobliwego, używanego w tragedji, ponieważ wyłoniła się z utworów z chórami satyrów, później dopiero wzniosła się do poważnej godności. I miara wiersza i tetrametru stała się jambiczną: zrazu bowiem używano tetrametru, ponieważ poezja ta miała zakrój żartobliwy i więcej na taniec była obliczona; skoro się jednak część dialogiczna wydoskonalila, znalazł się z istoty rzeczy wiersz odpowiedni: wiersz bowiem jambiczny jest z pomiędzy wszystkich do rozmowy najstosowniejszy, czego dowodem, że w rozmowie codziennej między sobą najczęściej jambami mówimy, a heksametrami rzadko i tylko wtenczas, jeżeli ze zwykłego toku mowy wypadniemy. Prócz tego przyszło do uzupełnienia ilości scen. W jaki sposób

<sup>1</sup> Margites, była to nazwa bohatera w poemacie nam nieznanym. Był to przemądrzały głupiec, który o wszystkim niby wiedział, ale o niczem dokładnie. Chociaż Arystoteles autorem poematu mieni Homera, był on prawdopodobnie, jak i parodje inne, utworem znacznie późniejszym.

<sup>2</sup> I jedne, i drugie chóry należały do religijnych obrzędów, podobnie jak i pieśni przez nie śpiewane.

zaś każdy z osobna szczegół miał być wykończony, uważajmy sobie za rzecz już znaną; byłoby bowiem za długo może rozwodzić się nad wszystkim oddzielnie.

VII. A roztrząsnawszy to, chcemy mówić teraz, jaki powinien być układ zdarzeń, gdyż to jest pierwsze i najważniejsze tragedji zadanie. Jest zaś dla nas rzeczą niezawodną, że tragedia jest naśladowaniem czynności skończonej i całej, rozciągłość pewną mającej — bo jest także całość, rozciągłości żadnej oznaczonej nie posiadająca. A całością jest wszystko, co ma początek i środek, i koniec. Początkiem zaś jest to, co niekoniecznie po czemś innym następuje, ale po którym drugiego coś z natury rzeczy znajduje się albo powstaje; końcem przeciwnie jest to, co po czemś innym z natury rzeczy samo znajduje się bądź to koniecznie, bądź zwykle, a po niem już niczego innego niema: środkiem znowu jest to, co i samo po czemś innym jest, i po niem jeszcze coś drugiego. Pomysły zatem dobrze ułożone, nie powinny ani skądkolwiek bądź zaczynać się, ani na czemkolwiek bądź kończyć, ale do określeń powyżej podanych stosować się powinny. A nadto ponieważ obraz piękny i wszelka rzecz, która złożona jest z pewnych części, nietylko uporządkowane mieć je powinna, ale i wielkość musi mieć dowolną — piękność bowiem na wielkości i porządku zależy, i dlatego ani obraz zbyt mały nie może być piękny, bo pogląd w niedostrzeżonym prawie czasie powstający miesza się, ani zbyt wielki, bo nie powstaje przytem pogląd, ale dla patrzących znika jedność i całość poglądu, naprzykład gdyby obraz wynosił 1000 staj<sup>1</sup> — dlatego podobnie jak rzeczy i obrazy pewną wielkość mieć muszą, i ona łatwo objąć się dać powinna, tak i w pomysłach rozciągłość pewna być musi i ona łatwo dać się uprzytomnić powinna. Ograniczenie rozciągłości ze względu na współzawodnictwo i na wrażenie sceniczne nie jest rzeczą sztuki. Gdyby bowiem sto tragedyj współzawodniczyć miało między sobą, współzawodniczyłyby przy klepsydrach<sup>2</sup>, jak się to niekiedy mówi. Z istoty zaś rzeczy wynikające określenie, że pomysł obszerniejszy, o ile jasny jest, piękniejszy zawsze będzie co do wielkości — wyrażając się zaś poprostu: wielkość, w jakiej według prawdopodobieństwa albo konieczności zdarza się w następstwie idących po sobie wypadków przejście z nieszczęścia w szczęście, albo ze szczęścia w nieszczęście — takie określenie wielkości dostateczne jest.

VIII. A pomysł stanowi jedność nie wtenczas, jak to niektórzy mniemają, jeżeli jednej osoby dotyczy, na jedno bowiem niezmiernie wiele rzeczy przypada, z których nie cokolwiek bądź razem jedność stanowi. A tak i czynności jednostki liczone są, a z nich żadna jeszcze ich jedność nie wypływa. I dlatego błąd popełniają widoczny wszyscy poeci, którzy «Heraklejdę», «Terejdę» i inne podobne potworzyli poematy. Sądzą oni mianowicie, że ponieważ jeden był Herakles, powinien i pomysł o nim być jednością. A Homer, jak i pod innemi względami odznacza się, tak i w tej mierze trafnie widział bądź przez biegłość w sztuce, bądź przez zmysł wrodzony: tworząc bowiem «Odyseję», nie umieścił w niej wszystkiego, co się Odyseuszowi zdarzyło, naprzykład, że zraniony został na Parnasie, i że szaleństwo udawał podczas zbierania się wyprawy wojennej, z których to zdarzeń żadne nie było koniecznym albo naturalnym skutkiem zdarzenia innego, ale ułożył «Odyseję» na podstawie, jakbyśmy wyrazili się, jednej czynności, a podobnie także i «Iliadę». Jak zatem i w innych sztukach naśladowczych naśladowanie jedno w jedności źródło ma swoje, tak i pomysł, ponieważ naśladowaniem jest czynności, powinien utrzymać w niej tę jedność i całość, a zdarzenia, w skład jego wchodzące, powinny w nim tak być spojone, żeby przez przedstawienie albo odjęcie jednej rozerwana i zburzona została całość: bo co przez dodanie albo usunięcie różnicy nie sprawia, nie jest żadną całością częścią.

IX. A z tego, co się powiedziało, i to także jasno wypływa, że nie opowiadanie zdarzeń, jakie zaszły, zadaniem poety jest, ale zdarzeń, jakiego by były mogły i jakie są możliwe, czyto z prawdopodobieństwa, czy z konieczności. Historyk bowiem a poeta nie tem się różnią między sobą, że w wierszach opowiadają, albo nie

<sup>1</sup> Niccałe 200 kilometrów (staja = 192 metry).

<sup>2</sup> W sądzie miała każda z procesujących się stron czas do mówienia ograniczony klepsydrą, t. j. zegarem wodnym.

w wierszach, gdyż dzieło Herodota wierszami ułożyłoby można i historja pozostałaby niemniej historją jakąś, czyto w wierszach, czy bez nich — ale różnica zachodzi w tem, że jeden opowiada zdarzenia, jak zaszły, a drugi, jakby zająć były mogły. I dlatego jest poezja więcej filozoficzna i głębsza, niż historja, poezja bowiem ogół raczej ujmuje, a historja szczegóły opowiada. A cechą jest ogółowości wskazywać, jak i jakiemu człowiekowi słosownie jest mówić albo czynić coś według prawdopodobieństwa albo konieczności, i do tego właśnie zmierza poezja przez przydawanie imion; a cechą jest szczegółowości wskazywać, co naprzykład Alcybjades działał, albo czego doznał. I to też uwidoczniło się już w komedji. Komedjopisarze bowiem, ułożywszy pomysł podług prawdopodobieństwa, imiona potem odpowiednie dokładają, nie biorąc jak jambografowie osób pewnych znanych. W tragedji zaś trzymają się ściśle imion historycznie przekazanych. A przyczyna ta jest, że co możliwe, to wiarogodne; co zatem nie zdarzyło się, w możliwość tego nie wierzymy jeszcze, a co zdarzyło się, to oczywiście możliwe jest: bo gdyby było niemożliwe, nie byłoby się zdarzyło. Wszelako są i w tragedjach niektórych między imionami jedno albo dwa znane, a inne wymyślone; w innych zaś żadne nie jest znane, jak w «Kwiatku» Agetona<sup>1</sup>. W tragedji tej mianowicie zarówno zdarzenia, jak imiona, są wymyślone, a przecież sprawia ona przyjemność. Dlatego nie należy bezwzględnie trzymać się przechowanych przez tragedję podań, na których osnute są tragedje ogólnie podziwiane. A jest i śmiesznie trzymać się tego, gdyż rzeczy nawet znane niewielom znane są, a mimo to sprawia sztuka przyjemność wszystkim. Jasno więc pokazuje się stąd, że poeta powinien raczej poetą być w pomysłach, niż w wierszach, o ile poetą jest ze względu na naśladowanie i naśladuje czynności. Chociażby mu zatem przyszło utwór ułożyć na podstawie zdarzeń już zaszłych, niemniej poetą jest: bo z tych zdarzeń niektóre mogą być bardzo dobre takie, jakie prawdopodobnie stać się mogły i były możliwe; o tyle też ów twórca jest w tej mierze poetą. Z pomiędzy zaś pomysłów i czynności prostszych najgorsze są te, które epizodycznie są ułożone. Pomysłem zaś tego rodzaju nazywam taki, w którym epizody nie następują po sobie według prawdopodobieństwa albo z konieczności. I takie utwory dają poeci gorsi sami z siebie, a lepsi — z przyczyny gry teatralnej. Współubiegając się bowiem o pierwszeństwo i rozszerzywszy pomysł wbrew treści nawet, zmuszeni są częstokroć zepsuć porządek. A naśladowanie nietylko naśladowaniem jest czynności w sobie skończonej, ale także spraw budzących trwogę i litość: to zaś najśnadniej dzieje się, kiedy się dzieje wbrew oczekiwaniu, a jeszcze więcej wtenczas, kiedy się dzieje wbrew oczekiwaniu przez związek zdarzeń — bo nadzwyczajność uwydatni się w takim razie bardziej, niż gdyby bez przyczyny i przypadkowo coś działo się: wszakże i ze zdarzeń przypadkowych te wydają się najwięcej nadzwyczajne, które mają pozór, jakoby z umysłu stały się, jak kiedy naprzykład posąg Mitysa w Argos zabił mordercę tegoż, runąwszy na patrzącego; wydaje się bowiem, że to nie przypadkowo stało się. Dlatego pomysły tego rodzaju muszą być piękniejsze.

X. A z pomysłów jedne proste są, drugie zawikłane, gdyż i czynności, których naśladowaniem są pomysły, same już takie są właśnie. Prostą zaś nazywam czynność, w której przebiegu ciągłym i stanowiącym według określenia powyższego jedność, przejście<sup>2</sup> dzieje się bez przelomu albo poznania; zawikłana zaś jest taka, w której dzieje się przejście przez przelom albo poznanie, albo przez jedno i drugie. A wynikać to powinno z samegoż układu pomysłu, tak, aby wypłynęło ze zdarzeń zaszłych poprzednio bądź z konieczności, bądź według prawdopodobieństwa. Wielka to bowiem różnica, czy dzieje się coś przez pewne zdarzenia, czy po nich.

*Tłum. St. Siedlecki.*

<sup>1</sup> Ageton — współczesny Platonowi; tragedja nam nieznaną.

<sup>2</sup> To znaczy zmiana nieśczęścia w szczęście albo odwrotnie; staje się przelomem, gdy osoba działająca w pewnym celu dokona mimowiednie czegoś wręcz przeciwnego, niż to zostało zamierzone, np. poseł koryncki w rozmowie z Edypem w tragedji Sofoklesa «Edyp król». O tem Arystoteles obszerniej niżej.

DEMOSTENES  
(384—322 przed Chr.)

PIERWSZA MOWA PRZECIWI FILIPOWI  
w roku 352

(Rozdziały: 1—11; 13—15; 33—37; 40—45; 47—51.)

*Mówca usprawiedliwia swój występ.*

Gdyby na porządku obrad, Ateńczycy, była jakaś nieznana dotychczas sprawa, wstrzymałbym się, aż większość zwykłych mówców wypowie zdanie; gdyby mi ktoś z nich odpowiadało, nie zgłaszałbym się do głosu; w przeciwnym razie próbowałbym sam wypowiedzieć swe zapatrywanie. Skoro obecnie wypadła debata, w której oni często głos zabierali, myślę, że usprawiedliwione będzie moje wystąpienie z pierwszym głosem. Bo nie trzeba było wam teraz obrad, gdyby uprzednio doradzili należycie.

*Dodaje otuchy i wyjaśnia zasadnicze źródła zlego.*

Najpierw nie powinniście, Ateńczycy, zniechęcać się obecnym położeniem, nawet jeżeli ono przedstawia się bardzo nieosobliwie. Najgorszy bowiem grzech przeszłości jest dobrą zapowiedzią na przyszłość. Jakiż to grzech? Oto fatalne położenie obecne, Ateńczycy, jest tylko wynikiem zaniedbywania powinności. Aliści nie byłoby nadziei na poprawę położenia, gdyby ono było takie, mimo spełnienia przez nas wszystkich obowiązków. A dalej uprzytomnijcie sobie rzeczy widziane, jak wielką niedawno temu potęgę mieli Lacedemończycy, a mimo to stawiliście im czoło w wojnie sprawiedliwej i uzyskaliście piękny i należny, a godny przeszłości państwa wynik. Nacóż to mówię? Abyście wiedzieli, Ateńczycy, i mieli na oczach, że jak wam nic nie grozi, jeżeli strzeżecie się, tak nic nie wypada po myśli, jeżeli opuszczacie ręce; weźcie naprzykład ówczesną potęgę Lacedemończyków, którą pokonaliście dzięki gorliwości w sprawach państwowych, oraz obecną buć Filipa, która nas tak niepokoi, skutkiem lekceważenia obowiązków.

Jeżeli kto z was, Ateńczycy, patrząc na ogrom potęgi Filipa i na utratę wszystkich twierdz kolonialnych naszego państwa, sądzi, że Filip jest niezwyciężony w wojnie, sądzi wprawdzie słusznie, ale niech zważy, że mieliśmy niegdyś, Ateńczycy, Pydnę, Potydecę, Metonę, całą tamtejszą okolicę, i że wiele narodów, dziś po stronie Filipa, niegdyś rządziło się samodzielnie i raczej nam sprzyjało, niż jemu. Gdyby zatem Filip był wtedy zdania, że trudno jest pozbawionemu sprzymierzeńców toczyć wojnę z Atenami naprzeciw tylu twierdz wypadowych, nie byłby niczego zajął, ani zdobył takiej potęgi. Ale wiedział dobrze, Ateńczycy, że wszystkie te warownie leżą w pośrodku, jako nagroda dla zwycięzcy w wojnie, i że z natury rzeczy mienie nieobecnych przypada obecnym, własność niedbałych — chcącym trudzić się i ryzykować. To też, mając takie przekonanie, podbił wszystko i posiada, czy to prawem zdobyczy wojennej, czy też pozyskawszy dla przymierza i przyjaźni. Wszakże wszyscy chętnie z tymi zawierają przymierza i z tymi się liczą, których widzą gotowych i chętnych do pełnienia obowiązków. Przynajmniej teraz, Ateńczycy, skoro nie pierwej, zechciejcie być tego zdania, i każdy z was niech da spokój wszelkim wykretom i będzie gotów do czynu, gdzie tego zajdzie potrzeba i gdzie jego usługi mogłyby być pożyteczne dla państwa: bogacz płacąc nadzwyczajne podatki, młodzież popisowa przez udział w wyprawach, — słowem, zechciejcie być sami sobą i przestańcie snuć nadzieje, że żaden z was nie nie robi, a wszystko zań uczyni sąsiad; wtedy, da Bóg, odzyskacie wasze zaprzepaszczone posiadłości i ukarzenie Filipa. Nie sądzicie, że losy jego są niezmiennie i nieśmiertelne, niby boga jakiego, ale i nienawidzi go, i lęka się, Ateńczycy, i zazdrości mu niejeden nawet z najlepszych rzekomo jego zwolenników; należy w nich przypuszczać wszystkie ludzkie uczucia. Wszelako wszystko to teraz przycichło, nie mając widoków z powodu waszej ociężałości i lekkomyślności. Już raz, powiadam, należy z nią skończyć. Bo widzicie, Ateńczycy, do jakiego rozpasania doszedł ten człowiek; nie daje wam ani wyboru między działaniem a spokojem, ale grozi i wygłasza po-

dobno butne mowy, nie może pozostać przy tem, co zawojował, ale ciągle coś dosacza i okraża zewsząd zwlekających i siedzących bezczynnie. Kiedyż więc, Ateńczycy, kiedyż wypełnicie obowiązki? Co ma stać się wprzód? «Gdy zajdzie, na Boga, jakaś konieczność». A obecne wypadki za cóż należy uważać? Wedle mego zdania, największą koniecznością dla wolnych jest hańba publiczna. Może chcecie, niech mi ktoś powie, chodząc od grupy do grupy, wypytywać się między sobą: «Mówię co nowego?» Wedle najświeższych nowin, Macedończyk zawojowuje Ateny i gospodaruje w Grecji. «Umarł Filip?». — «Nie, na Boga, ale choruje». Czyż wam to sprawia różnicę? Cokolwiek go spotka, szybko zrobicie sobie nowego Filipa, jeżeli tyle będziecie zajmowali się sprawami państwa. I on nietylko wzrósł dzięki własnej sile, ile przez waszą opieszałość.

### *Ogólny zarys planu reform.*

O potrzebie pogotowia dla wszystkich chętnych wypełniać obowiązki powiedziałem tyle, abyście mogli powziąć przekonanie i postanowienie. Obecnie spróbuję powiedzieć o rodzaju pogotowia, któryby nas uwolnił od takich kłopotów, o liczbie żołnierza, o środkach pieniężnych i pozatem o sposobie najlepszego i najszybszego przygotowania; tylko o to was przedtem poproszę, Ateńczycy, sądźcie dopiero po wysłuchaniu całości, nie uprzedzając mię. Niech nikt mię nie posadza o chęć zwłoki, choćby nawet zdawało się z początku, że mówię o jakimś nowem pogotowiu. Mówienie «dziś!» i «jutro!» nie zaradzi potrzebie, i dziś już nie pomożemy na to, co się stało. Zato wskazanie rodzaju, rozmiarów i źródeł utrzymania pogotowia tak długo, aż zawrzemy czyto pokój porozumienia, czy pokój zwycięski — to nas na przyszłość zabezpieczy od szkód. Wyobrażam sobie, że potrafię przedstawić taki projekt, nie przeszkadzając ewentualnym propozycjom z innej strony. Obietnica to wielka, a da się sprawdzić dowodnie na samej rzeczy i osądzicie ją sami.

### *Korzyści, jakie wynikną z przyjęcia wniosku.*

Ustanowiony przez was pełnomocny dowódca będzie decydował stosownie do okoliczności, jak i kiedy użyć siły zbrojnej; moje wnioski mogą jedynie dotyczyć środków należnych mu od nas. O ile dostarczycie ich, Ateńczycy, to znaczy najpierw pieniędzy, potem reszty pogotowia, t. j. piechoty, trójrzędowców, konnicy, i zobowiązacie ustawą całą tę siłę zbrojną do stałego przebywania na terenie wojennym, i skarbem wojennym będziecie sami zawiadowali i uzupełniali go, a generał będzie przed wami odpowiedzialny za operacje wojenne, wówczas skończy się raz ustawiczne a daremne radzenie nad tem, a nadto, po pierwsze, odbierzecie mu, Ateńczycy, największy dochód. Jakiż to? Łupi żeglarzy i tak z waszych sprzymierzeńców czerpie środki do wojny z wami. A co więcej? Sami uwolnicie się od strat; już nie będzie tak, jak dawniej, kiedy wpadł na Lemnos i Imbros i uprowadził w niewolę waszych obywateli, pod Gerastosa zatrzymał statki i wycisnął z nich bajeczne sumy, ostatnio wyładował pod Maratonem i uprowadził stamtąd rytualny trójrzędowiec, wy zaś ani temu nie mogliście przeszkodzić, ani przybyć z pomocą w ustalonym terminie. Ale jak wam się zdaje, Ateńczycy, dlaczego święta Panatenejów i Dionizjów odbywają się zawsze w należnym czasie, bez względu na to, czy komisja, wybierana dla urzędzenia tych obu obchodów, składa się ze zdolnych ludzi, czy idjotów; dlaczego wydaje się na nie takie sumy, jak na żadną z wypraw, a zatrudniają one tyle rąk i wymagają takiego aparatu, jak chyba żadna inna rzecz, wszystkie zaś wasze wyprawy, tak do Metony, jak Pogaz, jak Potydeci, spóźniają się? Ponieważ wszystko, co się wiąże z obrzędami, reguluje prawo, i każdy z was na długi czas przedtem wie, kto z której dzielnicy wyposaży chór, lub zapaśników, kiedy, od kogo i co należy wziąć i co z tem zrobić; niema żadnego zaniedbania w tych rzeczach, we wszystko wejrzano, wszystko oznaczono. W kwestjach pogotowia wojennego żadnego ładu, składu i nijakiej normy. To też komisję okrętową ustanawiamy dopiero na wieść, wymagającą wysłania okrętów. Członkowie komisji zrzucają swe powinności na innych, szukamy środków finansowych na pokrycie kosztów wyprawy, potem zapada uchwała, by na załogę szli naturalizowani kupcy cudzoziemscy i wyzwolenicy, potem znowu obywatele, potem ażeby każdy

obywatel miał prawo za siebie dostarczyć człowieka. Tymczasem w mitrędze marnuje się przed dojściem do skutku wyprawy to, co miało ocaleć przez wyprawę; czas działania zużywamy na przygotowanie, a sposobności polityczne nie czekają na naszą powolność i udawanie. — — — Wy, Ateńczycy, macie największą w Grecji potęgę: trójrzędowce, rycerstwo, konnicę, dochód pieniężny: z tego wszystkiego niczego podziś dzień nie użyliście należycie, ale w wojnie z Filipem w niczem nie różnicie się od dzikich bokserów: uderzony bowiem dziki bokser, zawsze trzyma się za ugodzoną część ciała, trafisz go z drugiej strony, on tam z rękami, nie umie, ani nie chce zasłaniać się i patrzeć na przeciwnika. I wy na wieść, że Filip w Chersonesie, uchwalacie pomoc tam, że w Pilach, to tam, że gdzie indziej —; biegacie tam i napowrót za nim, i on wami komenderuje; nie macie żadnego korzystnego planu wojny, nie przewidujecie niczego przed wypadkiem, ale czekacie, aż dowiecie się o nim, albo podczas niego. Może przedtem to uchodziło; teraz, w momencie krytycznym, niepodobna tak dalej.

Zdaje mi się, że jakiś bóg, Ateńczycy, ze wstydu na praktyki w naszym państwie, natchnął tą energją Filipa. Gdyby zechciał spokojnie siedzieć na tem, co podbił (nie czekając na nas), i nic więcej już nie działał, niektórzy, myślę, zadowoliliby się tem; wtedy ściągnelibyśmy na siebie hańbę publiczną, zarzut zniewieściałości i wszelkich innych sromot. Tymczasem coraz nowemi zakusami o korzyści możeby nas i sprowokował, gdybyście nie byli w zupełności zrezygnowali. Dziwię się co do mnie, że nikt z was, Ateńczycy, nie widzi — a powinno mu to dać coś do myślenia i conieco go oburzyć — że zaczęliśmy wojnę o zemstę nad Filipem, a pod koniec bronimy się już tylko przed nim. Ależ to widoczne, że, niezatrzymany, sam nie stanie w miejscu. Mamy na to czekać? Myślicie, że wszystko jest w porządku, jeżeli wyślecie próżne trójrzędowce i czyjeś tam obietnice? Nie wsiądziemy na okręty? Nie wyruszymy sami z jakąś częścią własnych żołnierzy choćby teraz, jeżeli nie pierwej? Nie popłyniemy na jego kraj? Usłyszałem pytanie: «Gdzież staniemy na kotwicy?» Wojna, Ateńczycy, sama wyszuka dziury w jego polityce; weźmy się tylko do niej; siedzeniem w domu, słuchaniem przezwisk i wzajemnych oskarżeń mówców nie dopniemy niczego; a potrzeba. Dokąd wyprawia się część obywateli, nawet nie wszyscy, tam w walce po ich stronie staje, myślę, przychylność bogów i losu; dokąd zaś wyślecie generała, pustą uchwałę i krasomówcze obietnice, nie dzieje się nic należytego, wysmiewają się nieprzyjaciele, sprzymierzeńcy są w śmiertelnym strachu przed takimi wyprawami. Jakżeż temu koniec położyć? Zróbcież wy, Ateńczycy, tych samych ludzi żołnierzami i świadkami czynności dowództwa, a po powrocie do kraju sędziami sprawozdań; w ten sposób nie tylko będziecie słyszeli o własnych sprawach, ale naocznie je będziecie oglądali. Dziś do takiej hańby dochodzą nasze rządy, że każdy z generałów ma przed wami dwa do trzech procesów gardłowych, wobec nieprzyjaciela zaś żaden z nich nie śmie ani nawet razu narazić życia, ale nad godny zgon przenoszą śmierć handlarzy niewolnikami i rzeźmieszków; bo złoczyńca ginie za wyrokiem, generał w walce z nieprzyjaciółmi. Latamy od jednego do drugiego, i jedni opowiadają, że Filip w lidze ze Spartanami knuje zagładę Teb i waśni republiki, inni, że wysłał poselstwo do króla perskiego, ci znowu, że buduje twierdze w Ilirji, tamci — obchodzimy całe miasto z plotkami. Wierzę ja wprawdzie, Ateńczycy, że, dalipan, tego człowieka oszałamia ogrom sukcesów politycznych i wiele takich mrzonek musi mu błąkać się po głowie na widok zupełnego opuszczenia i wobec braku przeszkód, że go rozpiesza powodzenie w dotychczasowej działalności, ale chyba, dalibóg, takich planów nie układa, aby najgłupszy u nas znali jego zamysły; boć najgłupszy są plotkarze. Natomiast uwolnimy się od pustego gadania i zdobędziemy należyty pogląd, o ile zrozumiemy, że ten człowiek jest naszym wrogiem, że wydziera nam nasze dobro i od dawna naigrawa się z nas, że wszystkie nasze nadzieje w nim pokładane obróciły się wkońcu przeciw nam samym, i pozostaje nam jedynie polegać na nas samych, że o ile teraz nie będziemy chcieli tam prowadzić wojny, przypuszczalnie będziemy zmuszeni uczynić to samo u siebie w kraju. Naniec dociekać, co się stanie kiedyś — można wiedzieć na pewno, że nic dobrego, jeżeli nie będziecie przykładali się ochotnie do obowiązków.

*Zakończenie; mówca zastrzega się przed gniewem stronnictw.*

Nigdy wogóle nie byłem skłonny do pochlebstw bez przekonania o korzyści; tak i teraz powiedziałem moje zdanie szczerze, bez ogródek i poprostu. A jak wiem, że na korzyść wam wychodzi słuchanie dobrych rad, tak chciałbym wiedzieć, że i dawanie dobrych rad wyjdzie na korzyść dobremu doradcy. Byłoby mi daleko przyjemniej. Tymczasem niewiadomo, co mię spotka za to; wszelako wolę mówić choćby dla samego tylko przekonania o pożytku, płynącym dla nas z wykonania mych wskazówek. Ale niechże weźmie górę to, co ma wypaść naprawdę wszystkim na pożytek.

*Tłum. Jerzy Kowalski.*

### TEOKRYT

(wiek III przed Chr.)

### SIELANKI (IDYLLE)

#### Sielanka II: Czary

*Komnata kobieca; młoda pani domu z niewolnicą, zajęte urządzaniem czarów; okolica podmiejska, w pobliżu morza.*

Gdzie wawrzyny, Testylo? Znieś je!... Gdzie są maście?  
 Uwieńcz mą czarę runem owcy purpurowem!  
 Lubego dręczyciela ja chcę czarów słowem  
 Wywołać. Nędzny! nie był u mnie dni dwanaście,  
 Nie wie nawet, czy żyję, czy umarłam. Srogil!  
 I do drzwi nie zapukał moich. W inneż drogi  
 Afrodyta i Eros zwiedli lekkoducha?  
 Do szkoły Tymageta pójdę jutro rano,  
 Zobaczę go; niech moich wyrzutów posłucha;  
 A teraz zrobię czary. Świeć pięknie, Selano!  
 Bo do ciebie, bogini, zwracam śpiew tajemny  
 I do tej, co przy straży, Hekaty podziemnej,  
 Kiedy po zgłiszczach trupów, po krwi czarnej, w nocy  
 Stąpa. Cześć ci, Hekato! Pomóż mi, a wtedy  
 Trucizny, które sprawiam, będą równej mocy,  
 Jako Medei, Cyrcy, płowej Perymedy.

Sprowadź mi, krętogłówku, do domu kochanka!...  
 W ogień nasamprzód mąka. Syp ją, niegodziwa  
 Testylo! Cóżto dzisiaj rozumu ci zbywa?  
 I ty jeszcze, zbrodniarko, urągasz mi w złości?  
 Syp i mów to: «Delfisa rozsypuję kości!»

Sprowadź mi, krętogłówku, do domu kochanka!...  
 Delfis mnie zdręczył: wawrzyn nad Delfisem palę:  
 A jak go z trzaskiem ognia pożerają fale  
 I spłonął, że popiołu po nim nie zostało,  
 Tak niechaj i Delfisa w ogniu spłonie ciało!

Sprowadź mi, krętogłówku, do domu kochanka!...  
 Jak ja wobec bogini roztopiam te włoski,  
 Tak niech Mindyjski Delfis z miłości topnieje;  
 Jak krąg miedziany, woła Afrodyty boskiej  
 Wiruje — on niech dąży pod moje wierzeje!

Sprowadź mi, krętogłówku, do domu kochanka!...  
 Teraz otręby!... Wszystko na ziemi i w piekle  
 Niezgięte, Artemido, ty uginasz śmieie.

Testylo, słuchaj!... W mieście psy szczekają wściekle:  
Bogini na trójdrożu stanęła... bij w żale!

Sprowadź mi, krętogłówku, do domu kochanka!...  
Umilkło morze, milkną płomienie paliwa,  
Lecz nie umilkła boleść, którą wre me lono:  
Ja dlań goreję cała, choć on — nieszczęśliwa! —  
Nie małżonką, lecz dziewczką zrobił mnie spodloną.

Sprowadź mi, krętogłówku, do domu kochanka!...  
Trzykroć zlewam i trzykroć powtarzam, bogini!  
Czy kobieta, czy młodzian jemu zadość czyni,  
Niech zapomni, jak niegdyś, tam na Dii, zdradnie  
Terej o pięknowłosej zapomniał Arjadnie.

Sprowadź mi, krętogłówku, do domu kochanka!...  
Rośnie w Arkadii szalej: źrebięta czy kłacze,  
Gdy polkną, każde dziko po parowach skacze.  
Tak bodaj Delfis prosto ze szkoły wspaniałej  
Tu do mojego domu pędził oszalany!

Sprowadź mi, krętogłówku, do domu kochanka!...  
Strzęp od obszewki, spadły z Delfisa tuniki,  
Szarpie i na płomienne wyrzucam języki.  
Erosie straszny! przecz się wpilesz w moje ciało,  
By, jak pijawka z bagna, krew mi wyssać całą?

Sprowadź mi, krętogłówku, do domu kochanka!...  
Utrę jaszczurkę: napój jutrzejszego ranka  
Z niej ci przyrzadzę. Zbierz te maści i tajemnie,  
Testylo, namaść zgóry jego próg. Z miłości  
Ja dlań jeszcze przepadam, choć on szydzi ze mnie.  
Smarując, mów: «Delfisa ja namaszczam kości!»

Sprowadź mi, krętogłówku, do domu kochanka!...  
*(niemolnica odchodzi).*

Teraz ja sama. Spłakać lzy miłości mojej  
Chcę. Skąd zacząć? Gdzie źródło moich niepokoi?...  
Eubulejowa córko, Anakro, wybranka,  
Do gaju Artemidy, jako przodownica,  
Szła z koszem, przy niej zwierząt różnych lik i lwica.

Skąd poszła miłość moja, zważ, zacna Selano!  
Teumarys, mamka z Tracji — już ją pochowano —  
Mieszkająca drzwi we drzwi, gorąco mnie wzywa  
Abym szła na ten obchód: idę, nieszczęśliwa,  
Strojna w piękne z hisioru gzło, i powłóczysty  
Zarzuciwszy na siebie płaszczyk Klearysty.

Skąd poszła miłość ma, zważ, zacna Selano!  
W pół drogi, gdzie do domu Likona się schodzi,  
Spójrzę: idą Eudamip i Delfis, dwaj młodzi,  
Z brodą, jakby złocenia puszkciem osypaną,  
Piers ich świeciła jaśniej niż twoja, Selano;  
Tylko co gry szlachetne w szkole opuścili.

Skąd poszła miłość moja, dowiedz się, Selano!  
Sposzrzegłam; zawrót w głowie zdjął mnie w jednej chwili  
Nieszczęsną; już na obchód patrzeć się nie chciało.  
Jak do domu wróciłam, nie wiem; lecz w niemocy  
Jakaś straszna gorączka ogarnęła ciało,  
I w łóżku przeleżałam dziesięć dni i nocy.

Skąd poszła miłość moja, zważ, zacna Selano!  
Często żółcień dziewanny oblewał me ciało,  
Włosy pęzły na głowie, i nic nie zostało,

Jedno skóra i kości. Gdzie nie wysyłano,  
U jakiej ja nie byłam wróżki! Odczyniała.  
Ale bez żadnej ulgi, a czas mknął jak strzala.

Skąd poszła miłość moja, zważ, zacna Selano!  
Tedy słowem prawdziwem wzywam niewolnicę:  
Testylol znajdź ty sposób na moją tęsknicę:  
Mindyjczyk opanował mnie całą. Idź w stronę  
Szkoły Tymagetosa: jest to ulubione,  
Uważaj, jego miejsce, gdzie bywa co rano.

Skąd poszła miłość moja, zważ, zacna Selano,  
A gdy ujrzyś samego, skiń, i powiedz skromnie:  
«Wzywa ciebie Symeta» — i sprowadź go do mnie.  
Tak rzekłam. Ona poszła, i Delfis wspaniały  
Przyprowadzon. Gdy oczy go moje ujrzaly,  
Kiedy próg mego domu przekraczał wesolo...

Skąd poszła miłość moja, zważ, zacna Selano!  
Śniegowe zimno przeszło po mem ciele, czoło  
Rzęsisty pot oblewał jak kroplami rosy.  
Słowa nie mogłam wyrzec, ni tyle, co głosy  
Śpiących dzieci, gdy matkę wzywają kochaną.  
Skostniałam, wyglądałam na kukłę woskową.

Skąd poszła miłość moja, zważ, zacna Selano!  
On miłośnie spoglądał ze spuszczoną głową,  
Usiadł na skraju łoża i rzekł słowem miłem:  
«Iście, Symeto, tyś mnie prześcigła, jedyna,  
Jak ja tylko co w biegu pięknego Filina,  
Pod dach swój mnie przyzwawszy, nim sam podążyłem».

Skąd poszła miłość moja, zważ, zacna Selano!  
«Przez słodkiego Erosa! szedłbym już tu — może  
Z trzema, czterma druhami, o podnocnej porze,  
W zanadrzu dzierząc jabłka Bachusa, a z głową  
Zdobną w topole, świętą gałąź Heraklową,  
Purpurowemi wstęgi dokoła przetkaną...»

Skąd poszła miłość moja, zważ, zacno Selano!  
«Gdybyście mnie przyjęły — szczęście!... Bo mnie zowią  
Pierwszym w grach i we wdzięku wśród całej młodzieży;  
Jeden twój pocałunek... spokój jak należy.  
Lecz gdybyście przede mną drzwi zatrzaśły, wtedy  
Topórby z pochodniami przyczynił wam biedy!»

Skąd poszła miłość moja, zważ, zacna Selano!  
«Wzniosłej naprzód Cyprydzie składam dzięki; po niej  
Tobie, luba niewiasto, żeś mnie, w swej ustroni  
Wpół spalonego żarem przyjąwszy uprzejmie,  
Ocaliła: gdy Eros ogniem swym obejmie,  
Często od Hefajstosa goręcej dopieka».

Skąd poszła miłość moja, zważ, zacna Selano!  
«On w szale młodą pannę z świełlicy wywleka,  
Z ciepłej jeszcze pościeli rwie od męża żonę». —  
Tak mówił. Jam go wzięła za rękę i w stronę  
Miękkiego, łatwowierna, łoża skierowała.  
Rozkosznie obok siebie legły nasze ciała,  
Twarze splonęły, szeptem szła rozmowa cała.

Nie będę ci, Selano, dalszej treści snuła.  
Stało się; nasz wzajemny zapal uśmierzony,  
Zarzutów ani z jego, ani z mojej strony  
Nie było aż do wczoraj. Lecz przyszła sąsiadka,

Meliksi i Filisty, tej fletnistki, matka,  
 Kiedy konie, ku niebu wznosząc się dziś rano,  
 Ciągnęły z oceanu Jutrzenkę różaną.  
 Gadała dużo: straszne Delfisa kochanie;  
 Lecz w kobiecie rozkochan on jest, czy w młodzianie,  
 Niepewna; to wie tylko, że on na cześć swojej  
 Miłości wypił wina czarę, potem żywo  
 Wybiegł i dom kochany wieńcem kwiatów stroi.  
 Tak mówiła, a w mowie jest zawsze prawdziwą.  
 Trzy, cztery razy bywał u mnie; dla pamięci  
 Dorycką mi zostawiał banieczkę, w niej maście;  
 Aż oto nie widziałam go już dni dwanaście.  
 Czy zapomniał, czy inna przyjemność go nęci?...  
 Gdy nie przestanie dręczyć — w tem czarów mych sztuka —  
 Na Mojry! do bram piekła wkrótce on zapuka.  
 Takie to straszne jady ta cysta zamyka,  
 Które, Pani, nabyłam od Asyryjczyka.  
 Żegnam cię. Zacna, skieruj w ocean rumaki;  
 Ja, jak byłam, zostanę w niedoli jednakiej.  
 Żegnaj, świetna Seleno! żegnajcie mi, gwiazdy,  
 Wy, towarzyszki nocy wśród łagodnej jazdy!

#### Sielanka V: Walka śpiewacza

*Spotykają się na pastwisku dwaj pasterze najemni i odrazu wybuchają ku sobie niechęcią, zarzucając wzajemną kradzież. Komatas, kozłarz, służy u pana, pochodzącego z miasta Turje; Lakon — u pana z miasta Sybarys. Te dwa miasta były dla siebie stale nieżyczliwe.*

*Osoby: KO = Komatas, LA = Lakon.*

- KO. Uciekajcie stąd, kozy! Z Sybary owczarz siadł,  
 Lakon, który mi wczoraj skradł skórzane okrycie.
- LA. Owce, precz z nad Krynicy! Stoi kozłarz, widzicie,  
 Konatas! który piękną fletnię mi niedawno skradł.
- KO. Jaką fletnię? czy kiedy, parobku Sybirtowy,  
 Robieś sobie fletnię? Niedość — że tobie już  
 Dudleć tam, z Korydonem, na piszczałce trzciniowej?
- LA. Którą dał mi wždy Likon, pocziwce mój. I cóż?  
 Jaką skórę-ć wziął Lakon, gdy nawet Eumer sam,  
 Twój pan, wszak nie miał skóry, w którejby spał? To kłam!
- KO. Którą dał mi Krokilos, z kozy czyniąc objaty  
 Nimfom, gdyś ty, niedobry, zielonych dostał płam  
 Ze złości i zdołałeś pozbawić mnie tej szaty.
- LA. O, przez Pana wybrzeży! Syn Kaletydy wcale,  
 Lakon, skóry ci nie brał. Wierz, człeku, albo w szale  
 Z tej skały, jak mnie widzisz, rzucę się w otchłań Kraty!
- KO. Klnę się na wszystkie nimfy wodne! Bodaj tak były  
 Życzliwe i łaskawe dla mnie, jakom ja — miły  
 Druhu, tobie twej fletni nie zabrał potajemnie!
- LA. Gdybym ci wierzył, zdjęłyby mnie Dafnisa bolel  
 Stawiaj kozłatko w zakład (od świętych słów to wolę!):  
 Śpiewam z tobą, aż zmilkniesz, zwyciężony przeze mnie.
- KO. Walki świni z Ateną!.. Patrz, kozłatko już stoi.  
 Teraz kolej na ciebie: postaw tu tłuste jagnię!

- LA. Pięknieś, widzę, porównał nas w przezorności swojej!  
Kto chce strzyc sierść miast wełny? Kto jaką sukę brudną  
Miast koziczki po pierwszym porodzie rad wydoi?
- KO. Wszak chętnisz się, że innych zwyciężać ci nietrudno,  
I brzęcząc tak jak osa, udać konika chcesz?  
Za liche ci kozłatko? To choć i kozła bierz!
- LA. Cóż śpieszysz? Toż ci ogniem w nogi nie pali. W gaju  
Pod cieniem drzew oliwnych wszakże milej ci będzie  
Śpiewać. Siadaj nad chłodną wodą tego ruczaju,  
Na traw i mchu kobiercu, gdzie muszki tną wszędzie.
- KO. Nie śpieszę, lecz to przykro, że ty mi prosto w twarz  
Spoglądasz tak zuchwale — którego, gdyś był mały,  
Uczyłem pięknych rzeczy. Otóż to wdzięczność masz!  
Chowaj szczenięta wilki, by potem rozszarpały!
- LA. Czym uczył się, lub słuchał, myśl mi nie przypomina  
Twych nauk, zazdrośniku. Płytki z ciebie człeczyna.
- KO. Gdy przemawiał, to ciebie zdejmował bólu szal;  
Więc kozy moje w bek, i koziel też na kiel brał.
- LA. Obyś pogrzebion był niegłębiej od twojej przemowy,  
Garbusiel! Teraz chodź i pocznij w rytm sielankowy.
- KO. Nie pójdę. Tu cyprysy, dęby rosną dookoła,  
Tu pośród ulów z miłym brzękiem podlata pszczoła,  
Z dwóch źródeł płyną chłodne strumyki, wszystkie drzewa  
Pełne rozgwaru ptaków, cienia nierównie więcej  
Niż u ciebie, a pinja orzechy swe rozsiewa.
- LA. Lecz tam po wełnie owezej stąpasz i po jagnięcej,  
Miększej od snu. Skór kozich zapachów niema tam:  
One wonięją brzydko, ach, gorzej niż ty sam!  
Dla nimf postawię sporą czarę świeżego mleka,  
Druga podobnie, pełna słodkiej oliwy, czeka.
- KO. U mnie miękkiej paproci, wszedłszy, ujrzysz przestworze,  
Kwitnący polej; kozie skóry tobie rozłożę,  
Od twych jagnięcych skór i owczych miększe daleko.  
W ośmiu kształtnych donicach stawię Panowi mleko  
I miodu w pełnych plastrach postawię osiem kruż.
- LA. Puśćmy się więc w zawody. Ty śpiew poczynaj już.  
Wybierz, jakie chcesz miejsce, pod swoim dębem stań,  
Lecz sędzią kto? Likopas, wolarz. Zgadzasz się nań?
- KO. Bynajmniej się nie zgadzam. Ale spostrzegam zdala  
Na polu twem tnącego krzaki na opał drwała,  
To Morson jest. Możemy wezwać go, jeśli chcesz.
- LA. Wezwijmy.
- KO. Ty go wezwij.
- LA. Człowieku! Słuchaj! Śpiesz!  
Zajdź tu. My idziem w zakład, kto z nas lepszym śpiewakiem.  
Ty mnie, Morsonie dobry, nie z łaski sądz, lecz też  
I jego nie podwyższaj przychlebnem słowem jakim.
- KO. Tak, przez nimfy, Morsonie. Dla mnie ty względu nie miej,  
Lecz i jego względami nie obdarzaj żadnemi.  
Oto owce Sybirty iuryjskiego; tu zasię  
Eumara Sybaryty kozic, widzisz, gromada.
- LA. Kto pyta, czy Sybirty, czy to moje są stada?  
Na Zeusa, niecnym jesteś gadulą, Komatosie!
- KO. Ja, luby, chodzę prawdą, obce mi są wykrety  
Gwoli przechwalkom; ty zaś szczekasz jak wynajęty.

- LA. Śpiewaj, jeśli masz śpiewać, i zakończ to gadanie,  
A gościa wypuść żywym do domu. O, Peaniel..
- KO. Mnie nad Dafnisa, śpiewaka, Muzy kochają. Ja za to  
Świeżo im z dwójga koźlątek podziękowałem objąta!
- LA. Mnie upodobał Apollo. Za szczęście, co mnie spotyka  
Na nadchodzące Karneje, ja mu hoduję tryka.
- KO. Prócz dwóch kóz, inne dwurodne ja doić powinność mam;  
Co widząc, dziewczę mi mówi: Biedny, ty doisz je sam?
- LA. Eh, eh! Ja mogę dwadzieścia serem napelnić ci koszy.  
A tam, na polu kwiatowem, z chłopcem doznaję rozkoszy.
- KO. Gdy ja przepędzam me kozy, to Klearysta się za nie  
Chowając, rzuca mi jabłka i ciche, lube wyzwanie.
- LA. Na mnie, gdy mój gładkolicy, Kratydas spojrzy, a szyćę  
Jasne splotą kędziory, lubość do głowy mi bije.
- KO. Ej! nigdy nie dorównają w pięknie sasanki i głogi  
Różom o pełnym kielichu przy żywopłotach u drogi.
- LA. Inny żołędzi na dębie, a inny jabłka jest ród:  
Tanta lupinę ma twardą, to słodkie bywa jak miód.
- KO. Ja wkrótce dla mej dziewczyny białą turkawkę dostanę,  
Której tam w krzakach jałowcu widziałem gniazdo usłane.
- LA. Przy strzyży owiec ja wełnę najmniejszą wybiorę sam,  
I tą podszyty od zimna płaszcz Kratydasowi dam.
- KO. Precz kory do oliwników! Ruszajcie paść się tam, w stronie  
Łękowatego pagórka. Do towarzyszek, na błonie.
- LA. Precz od tych dębów. Cymeto! ruszaj stąd i ty, konarze,  
Za Falarosem tam idźcie, paść się na wschodnim obszarze.
- KO. Mam dzban z cyprysu do mleka, i kubek stoi do dzbana,  
Roboty Praksytelesa: posiadzie to ukochana!
- LA. Mam psa owczarka, potwora, co wilka zębami bierze:  
Chłopcu go memu daruję; postrach na każde to zwierzę.
- KO. Szarańczo, która przez płoty na moje ciśniesz się grzędy,  
Oszczędzaj mych winorośli: zaledwie puszczają pędy.
- LA. Koniki polne, widzicie, jak dręczę tego koźlarza;  
Zupełnie jak wam żniwiarzów przy pracy dręczyc się zdarza.
- KO. Nie cierpię ja ogoniastych lisów, co w grzędy Mikona  
Wkradają się wieczorami, dojrzałe zrywając grona.
- LA. Mnie zaś są wstrętne chrząszczyki, które na figi Filondy  
Siadają, póki powietrzne nie pozwiewają ich prądy.
- KO. Pamiętasz, jakem cię grzmotnął, żeś przytknął, zwinął się w kłęb,  
I pięknie robiąc bokami, pod ten schroniłeś się dąb?
- LA. Nie, tego ja nie pamiętam, ale jak ciebie raz siłą  
Eumar przewiązał i smagał, to mi w pamięci ulkwilo.
- KO. Czujesz, Morsonie, tu ktoś się gniewem unosi bez miary?  
Idź śpiesznie wyrwać cebulę z grobu jakiej wiedźmy starej.
- LA. Widzisz, Morsonie? Ktoś tutaj słowa me bierze zbyt czule:  
Pokwap się, by z pod Hadesu z korzeniem wykopać gdułę.
- KO. Chimero, spływaj mi mlekiem! a ty swe, Krato, poniki  
Na wino zmień purpurowe; owoc niech wyda ślaz dziki!
- LA. Miodem mi spłyń, Sybarytys! a kiedy dzień się poczyna,  
Zamiast twej wody, patokę niech wiadrem czerpie dziewczyna!
- KO. Szczodrzeniec i tłusta trawa paszą dla moich jest koz;  
Po miękkim sicie stąpają; podściółką jeźówek stos.
- LA. Ja me owieczki nakarmiam melisą wręcz wyborową,  
Mam też i bluszczów obfitość rozkwitających różowo.
- KO. Nie lubię Alcypy. Gdym jej gołębia dał, ona sucho  
Przyjęła, bez pocałunku; tylko szczypnęła mnie w ucho.

- LA. Ja bardzo kocham Eumeda. Kiedym mu fletnię mą brzmiącą  
Świeżo darował, oh! jakże mnie ucałował gorąco.
- KO. Lakonie! sroce z słowikiem o lepszą isć nie wypada.  
Ni puszczykowi z labędziem: tobie najmilsza jest zwada.

MORSON (*sędzia*.)

Zakończ, owczarzu! Jagnię tobie, Komatasie,  
Przyznaję. Lecz gdy nimfom poświęcić je w czasie  
Zamierzysz, myśl, że Morson także mięso jada.

- KO. Poślę-ć, na Pana! Zadrżij z radości, kóz trzodo!  
A ja ze śmiechu, patrzcie, trzymam się za boki:  
Śmiać mi się chce z owczarza, iżem mu nagrodą  
Zabrał jagniątko; skakać gotowym w obłoki.  
Cieszcie się, krętorogie kozy! Zobaczycie.  
Jutro was wszystkie skąpie w rzece, Sybarycie.  
Precz, ty biały rogaczu! Jak mi dotkniesz której  
Z koziczek, to ci wprzódę wezmę się do skóry,  
Nim jagnię oddam nimfom. Stój, bo łupnę w szyję!  
I będę Melantjase, jeśli cię nie zbije!

*Tłum. K. Kaszewski.*

## PLUTARCH Z CHERONEI

(45—125 po Chr.)

### ŻYCIORYS TEMISTOKLESA

(Rozdziały: 1—7; 11; 12; 14; 15; 19; 20.)

Ród Temistoklesa nie był tak znaczny, aby mu do sławy pomagał. Ojcem jego był Neokles, nie z pośród najslawniejszych Ateńczyków, z gminy Frear, okręgu Leontis, matka jego uchodziła nie za obywatelkę, lecz za niewiastę przychodnią... Wszyscy się na to zgadzają, że od młodości okazywał dowcip niepospolity, przezorność, odwagę i śmiałość. Z naturalnej skłonności brał się do wielkich czynów. Młodzieniaszek, w wolnym czasie od nauki, nie jak inni na próżnowaniu albo igrzyskach czas trawił. Spostrzegano, że zawsze coś myślał i rozważał: to mowę jaką układał na obronę, to na skargę którego z współrodzimek. Dlatego mu często mawiał jego nauczyciel: «Moje dziecię! nie miernego z ciebie nie będzie, lecz albo co bardzo dobrego, albo bardzo złego»... Jakoż tego wszystkiego, co należy do obyczajności, do układności, zabawy i przyjemności, nie uczył się z chęcią i bez trudności; ale co tylko zaleca roztropność, pomnaża światło, doskonalili rozsądek, co go mogło uczynić zdolnym do działania w Rzeczypospolitej, tego się z wielką pilnością i checiwie uczył, w tem nawet nad swój wiek postępował. Szedł jedynie za swym genjuszem i nie wątpił, że go w odpowiednim czasie użyje. Stąd potem, gdy w towarzyskich posiedzeniach od polewniejszych i umiejętniejszych ściągwał na siebie przymówki, że się nie umiał grzecznie i przyjemnie w obcowaniu znajdować, żarty i przycinki śmiałymi i zuchwałymi nawet słowy odbijał: «Nie umiem, prawda, strun nawiązać, ani grać na lutni nie umiem. Ale dajcie mi najmniejszy kraj, albo nieznaczące miasteczko, potrafię mu zrobić sławę i wielkie imię»...

W pierwszych zapędach burzliwej młodości pokazał się niejednostajnym i bez żadnego pomiarkowania, bo się cały puścił za żywością przyrodzenia swojego, którego ani rozum, ani edukacja nie powściągnęły. Dlatego się znagła nieraz zupełnie odmienił, a częstokroć na gorsze. Z tem się sam potem nie tał, mówiąc, że z najtwardszych żrebców często się najlepsze konie za umiejętność dobrego jeźdźca układają...

Wcześniej i z niepomiernym młodego wieku zapałem zaczął wchodzić w sprawy publiczne. Rządziła nim zawsze i unosiła go nadzwyczajna chęć sławy, dla której do-

bijając się o pierwsze miejsca, naraził się nienawiści możnych i przedniejszych obywateli. Osobliwie zaś we wszystkim przeciwnego miał Arystydesa, syna Lizymacha... Różność ich życia i obyczajów tę przeciwność sprawiła. Bo Arystydes, mąż charakteru łagodnego i cnoty doskonałej, nie szukał w urzędowaniu ani łaski u ludu, ani własnej chluby; zawsze na celu miał ogólny pożytek, sprawiedliwość i bezpieczeństwo powszechne. Częstość musiał się więc sprzeciwić niespokojnemu Temistoklesowi, który do wielu rzeczy lud podlegał, wiele nowości zamierzał: przetoż tamten jego wziętości zawsze na przeszkodzie stawał. Tak się bowiem Temistokles do sławy, mówią, zapalił, i taką żądzą wielkich czynów był zdjęty, że w młodszym daleko wieku, gdy po zwycięstwie maratońskim, nad Persami odniesionem, brzmiały we wszystkich ustach pochwały Miltjadesa, Temistokles bywał zamyślony i nocy bezsenne trawił; nie znajdował się według swego zwyczaju na weselach i towarzyskich rozrywek poprzestał. Zdziwieni przyjaciele, gdy się go o tak nagłą odmianę zapytywali, odpowiadał, że mu spać nie daje zwycięstwo Miltjadesa. A tak, gdy inni Ateńczycy klęskę perską na polach maratońskich pospolicie mieli za koniec wojny, on przeciwnie rozumiał, że to tylko było początkiem i zadatkiem większych bojów i trudów, do których się i sam wcześniej przygotować umyślił. Baczny młodzieniec zdaleka przewidywał, co miało nastąpić.

W tym celu naprzód, kiedy Ateńczycy mieli w zwyczaju dzielić między siebie dochody z gór kruszczowych w Attyce, Laurjon zwanych, odważył się mocno przekładać, że całkiem należy tego działu zaniechać; raczej za te pieniądze wystawić flotę na wojnę eginecką, którą podówczas Grecja zagrożona była. Eginetowie swemi okrętami morza okrywali. Z tego powodu Ateńczycy łatwiej na jego podanie zezwolili, niżby to dla obawy wojny z Darjuszem i Persami czynić mieli. Daleko byli Persowie, nie sprawiali jeszcze znacznej bojaźni; przeciw Eginetom zaś trwał gniew i zapal. Potrafił go Temistokles bardziej jeszcze rozniecić i rozżarzyć. Dokazał tedy, że z pomienionych pieniędzy kruszczowego dochodu przygotowano dziesięć okrętów o potrójnym rzędzie wiosel. Bardzo dogodnie tej floty użył na wojnę perską przeciw Kserksesowi. Odtąd już zwolna i nieznacznie całą chęć i usilność do żeglugi obrócił. Okazał bowiem ziomkom, że na lądzie równemu w siłach mocarstwu oprzeć się nie zdołają; przy flocie zaś i Persów mogą pokonać, i otrzymać panowanie nad Grecją. Tak więc, jak mówi Plato, z wojska lądowego zrobił morskie, a żołnierzy przerobił na majtków. Ściągnął też na siebie przymówkę, że wytracił z rąk Ateńczykom tarczę i dzidę, a dał im wiosła. Wszakże jego zdanie wbrew sprzeciwom Miltjadesa przyjęte było. Czy zaś przez to skaził charakter i obyczaje Rzeczypospolitej, albo nie, zostawiam do rozsądzenia tym, którzy się głębiej w takowe rozprawy zapuszczają. Ale niezawodnie pod ten czas flota Grecję zbawiła. Ateny, ku upadkowi nachylone, jedynie morską siłą wyparte zostały. Prócz innych dowodów, sam Kserkses tak sądził. Zwyciężony bowiem na morzu, a w lądowym wojsku nieuszkodzony, zaraz się cofnął, zostawiwszy Mardonjusza, raczej, jak mi się zdaje, na wstrzymanie Greków od pogoni, aniżeli na ich zawojuwanie...

Nie było człowieka równej mu ambicji. Bo jeszcze młodym będąc i nie mając żadnej wziętości, prosił muzyka, nazwiskiem Epikles, rodem z Hermajony, który był w wielkim szacunku w Atenach, aby w jego domu szkołę swoją założył, żeby codziennie liczne zgromadzenie u siebie mógł miewać. Na igrzyskach olimpijskich w okazałości dworu, wytworności stołu, wspaniałości namiotów i innych kosztach młodego Cymona, znacznego domu w Atenach, starał się przewyższyć. Nie podobało się to Grekom. Bo co było przyzwoitością dla Cymona, w tem Temistokles, naówczas nieznaczny i nieznanomy, nie powinien był nad swój stan i majątek przesady szukać. Łożąc atoli koszt na granie tragedji, gdy ten rodzaj widowiska był najciekawszy i w największej okazałości zostawał, przed innymi otrzymał pierwszeństwo. Z tego zwycięstwa tak był rad, iż na pommiku zwycięstwa dał zrobić napis: «Choregiem był — Temistokles z Frear, Frynich autorem tragedji, Adejmantos archontem». Z tem wszystkim ludowi był miły, że każdego umiał po imieniu nazywać; w sporach obywatelskich sprawiedliwy rozjemca. Kiedy już był archontem i czegoś niestusznego po nim wymagał poeta Symonides z Ceos, tak mu odpowiedział: «Anibyś ty nie był dobrym poetą, gdy-

byś przeciw regułom poezji wiersze pisał, ani ja dobrym urzędnikiem publicznym, gdybym ci co nad prawo pozwałab». Drugi raz żartował z tegoż samego: «Nie musisz mieć rozsądku — rzecze — kiedy szarpiesz obywateli tak znacznego miasta Koryntu, a tak brzydkim będąc, każesz się malować». Doszedłszy wreszcie do wziętości i przewagi w Rzeczypospolitej, wziął górę nad Arystydesem tak, że ten uległ ostracyzmowi.

Z powodu odebranych wiadomości o wyprawie Persów na Grecję, zgromadzeni Ateńczyki naradzali się o wyborze wodza na tę wojnę. Najznacniejsi, trudnością i niebezpieczeństwem przerażeni, dobrowolnie pouchylali się od tego zaszczytu, nie podawszy swej kandydatury. Jeden Epicydes, syn Eufemidesa, mówca gorący, ale człowiek zniewieściany i niegardzący złotem, posunął się po ten urząd. Wszelkie było prawdopodobieństwo, że zostanie obrany. Temistokles, bojąc się takiego wodza komendy, żeby na powszechną zgubę nie wyszła, udał się do zaspokojenia pieniędzmi jego ambicji. Sławny też jego postępek względem tłumacza posłów perskich, którzy imieniem swego króla przybyli domagać się od Greków ziemi i wody. Bo za wyrokiem ludu na śmierć go skazał, że się ważył greckim językiem wyklądać barbarzyńskie ukazy. Niemniej pamiętą jego surowość przeciwko Artemjuszowi z miasta Zalei, któremu nawet z potomstwem na przełożenie Temistoklesa cześć odjęto, że złoto perskie dla Greków sprowadził. Ale najważniejsze jego dzieło, że w Grecji wojny domowe uśmierzył, miasta i rzeczypospolite między sobą pojednał. Namówił wszystkich, aby wzajemne nienawiści i zemsty na inny czas, póki nastająca wojna nie przejdzie, odłożyli...

Obrany wodzem, przekonywał ziomków, ażeby się na okręty przenieśli i jak najdalej od Grecji spotykali flotę perską. Gdy na to wielu Ateńczyków zezwalać nie chciało, udał się ze znacznem wojskiem dla złączenia sił ateńskich ze Spartanami na pola Tempe, aby tam Tessalię, jeszcze na stronę perską nieskłonioną, zasłaniać. Lecz skoro Tessalowie skłonili się do Persów, a wszyscy im aż do Beocji sprzyjali, nie nie sprawiwszy, musiał stamtąd powrócić. Ale to samo Ateńczyków pobudziło i zniewoliło, że za jego zdaniem wojnę na morzu prowadzić postanowili. Wyprawiono więc do Artemizjon Temistoklesa dla strzeżenia tamże morskiej cieśniny. Gdy tam Grecy komendę Spartanom i Eurybjadesowi ofiarowali, Ateńczycy zaś, większością swej floty wszystkich innych wraz zebranych nawy przewyższając, pod cudzą komendę pójść nie chcieli, Temistokles, spostrzegając, coby za niebezpieczeństwo z tych sporów wyniknęło, jak sam dobrowolnie poszedł pod komendę Eurybjadesa, tak i Ateńczyków do tej powolności nakłonił. Upewniał bowiem, iż, jeśli tylko na tej wojnie Ateńczycy męstwem celować będą, chętnie im sami Grecy natychmiast przodkować pozwolą. Pokazało się tedy następnie, że jedynie tym sposobem, tą przezornością Temistoklesa zbawiona Grecja i ocalona została, zwłaszcza przy niemalej dla Ateńczyków sławie, że nieprzyjaciół swojem męstwem, sprzymierzeńców pomiarkowaniem zwyciężyli. Skoro zaś flota perska pod Afetami stanęła, przerażony Eurybjades liczbą naczelnych okrętów, do tego usłyszawszy, że jeszcze dwieście ponad Scyatem krąży, postanowił najspieszniej wracać ku Grecji do Peloponezu, aby tam lądowe siły z morskimi złączyć. Nie spodziewał się nigdy skutecznego oparcia tak ogromnej sile nieprzyjacielskiej. Tymczasem Eubejczycy, bojąc się, żeby od Greków opuszczeni nie byli, tajemnie się z Temistoklesem znieśli i umówili. Posłali do niego z znacznemi pieniędzmi Pelagonta. Wziąwszy pieniądze, Temistokles Eurybjadowi je oddał, jak pisze Herodot... Znaczne są te dzieła Temistoklesowe. Lecz i to niemniejsze, iż co do Arystydesa, który w takim poważaniu sływał u Ateńczyków, a on go jeszcze sam przed wojną przemógł, aby ostracyzmowi uległ, widząc, że go obywatele żądali mieć z sobą, przeprowadził taką uchwałę: «Tym, którzy na czas tylko są oddaleni od ojczyzny, wolno jest nazad powracać i śpieszyć ku wspólnej pomocy z innymi obywatelami dla Grecji». Sprzeczkę miał z powodu przewagi Sparty z Eurybjadesem, powszechnym wodzem wszystkich Greków. Obawiał się ten wódz kraj swój w niebezpieczeństwo podawać. Umyślił więc ze swemi siłami do Istmu popłynąć, gdzie się lądowe Peloponezu wojska zebrały. W tej sprzeczce mamy podane sławne odpowiedzi Temistoklesa. Gdy się bowiem Eurybjades odezwał: «Którzy w boju przed danym znakiem wystąpią, chłostę odniosą». — «Słusznie — rzekł Temistokles — ale też, którzy nierychło przybywają, wieńca nigdy nie odnoszą». Eurybjades podniósł rękę, jakoby go zamierzył uderzyć.

«Uderz — powiedział Temistokles — ale mię wysłuchaj». Zdziwiony wódz stałego męża łagodnością, pozwolił mu mówić. Gdy Temistokles mowę swoją nakierował do stoczenia bitwy pod Salaminą, z boku ktoś odezwał się: «Wcale niewczesnie ten, co ojczyzny już nie ma, radzi ją opuszczać tym, którzy mają». Zwrócił natychmiast do niego swą rzecz Temistokles: «Zły człowiecze, my domy i mury opuściliśmy, nie chcąc dla rzeczy martwych niewoli podpadać, lecz mamy miasto, nad które znaczniejszego nigdzie w Grecji niema. Bo mamy na naszą obronę dwieście okrętów, jeżeli chcecie ich użyć. A jeżeli nas powtórnie na łup wydacie, wkrótce usłyszą Grecy, że sobie Ateńczycy i miasto wolne, i kraj nie podlejszy od tego, którego dziś odstępują, znaleźli». Gdy to wyrzekł, podejrzenie przyszło Eurybjadesowi, czyby się od nich Ateńczycy nie myśleli odłączyć. Lecz gdy się jeszcze jeden Eretrejczyk przeciwko Temistoklesowi upierał, usłyszał wkońcu od Temistoklesa: «Czyż i wam jeszcze o wojnie rozprawiać, którzy naksztalił mątwę miecze wprawdzie macie, ale serca nie macie?» Skoro się tylko flota perska ku Attyce koło Faleronu zbliżała i okoliczne brzegi swemi okrętami okryła, a sam król z wojskiem lądowem, ku morzu postępując, niezliczone hufce dal widzieć, wypadła Grekom z pamięci przekonywająca namowa Temistoklesa. Wszyscy rycerze Peloponezu znowu ku Istmowi oczy obrócili. Gniewali się nawet, kto im przeciwnie radził. Umyślili zaś pocichu nocą odpłynąć, co i majtkom oznajmiono. Czuły na to Temistokles, że Grecy pożyteczne cieśniny opuszczają i wzajemnie się od siebie rozłączając, każdy z osobna, zaniechawszy wspólnej pomocy, własnego miasta chce bronić, przedsięwziął zamiśl, do którego wykonania wezwał Sycyna, rodem Persa, niegdyś wziętego do niewoli, następnie swego przyjaciela i nauczyciela swych dzieci. Wyprawił go tajemnie do króla z tem orędziem: «Wódz ateński Temistokles, sprzyjając królowi perskiemu, donosi mu pierwszy, że Hellenowie uciekają, i radzi zastąpić im drogę, a na odłączonych od lądowego wojska uderzyć i znieść ich flotę». Król mile posłańca przyjął. Ufając Temistoklesowi, uwierzył i, umówiwszy się z wodzami swej floty, nimby na nią część lądowych wojsk przesadził, dwieście okrętów przed sobą na objęcie wszystkich cieśnin wysłał. Zaraz i wyspy greckie Persowie otoczyli, żeby się im nieprzyjaciel nie wymknął. To, co się działo, pierwszy ze wszystkich Arystydes dostrzegł. Przyszedł więc do Temistoklesa (lubo nie był jego przyjacielem, bo z jego namowy, jak się rzekło wyżej, oddalony został z ojczyzny) i oznajmił mu, że cieśniny i wyspy nieprzyjaciel otacza. Cnotę Arystydesa dobrze znając, Temistokles i ten krok jego za dowód jej poczytując, zwierza mu się ze wszystkiego, co zrobił przez Sycyna, oraz mu przekłada, żeby, jako mający wziętość i największy posłuch między Grekami, wspólnem staraniem nakłonił ich do stoczenia bitwy w cieśninach. Arystydes, pochwaliwszy ten zamiśl, wszystkich wodzów obszedł i do bitwy pobudził i zagrzal. Gdy jednak o nieprzyjacielskiem okrążeniu niektórzy jeszcze powątpiewali, okręt tenejski, pod wodzem Panecjuszem, wymknąwszy się od nieprzyjaciół, toż samo potwierdza, że się wszędzie snują Persowie. Z potrzeby więc nabrali Grecy ochoty do spróbowania szczęścia swojego. Niemniej też przezornie Temistokles obrał czas bitwy, jak i miejsce upatrzył. Niepierwej bowiem przody swych okrętów do nieprzyjacielskiej floty obrócił i uszykował, aż ta godzina przyszła, w której w onej cieśninie zwykł się wiatr wzmacać i gęste wody poruszać. To greckim okrętom, jako pomniejszym i płaskim, nie szkodziło; perskie zaś wielkie i wysokie zawsze wiatr bokiem do greckich obracał. Grecy, Temistoklesa na czele mając, i na niego się wedle potrzeby jak na zręcznego wodza, co im należało czynić, zapatrując, szybko nacierali na nieprzyjacielskie okręty, tem bardziej, że Temistokles borykał się z naczelnikiem floty perskiej Arjamenesem, walecznym wodzem i pomiędzy królewskimi braćmi celniejszym i sprawiedliwszym. Ten na Grecyzna żwawo nacierał, z ogromnej nawy, jak z za muru, gęste pociski miotając. Aminjas z Decelei i Sosykles z Pedji na tymże z Temistoklesem okręcie, widząc, że miedziane przody obu walczących naw, przytartały się o siebie, zaczęły się nawzajem, Arjamenesa, usiłującego skoczyć na grecką nawę, na wlocznie wzięli i w morze przewalili. Ciało jego, pomiędzy ułamkami okrętów miotane falą, Artemizja poznała i do Kserksesa zaniosiła. Najpierwszy ze wszystkich Greków Likomedes Ateńczyk, wódz jednego okrętu, zdobył okręt nieprzyjacielski, którego przód odciawszy, ofiarował Apollinowi. Inne też nawy w równej zawsze liczbie z nieprzyjaciel-

skiem i bój staczały, ponieważ dla ciasnoty miejsca Persowie nie mogli swych okrętów rozłożyć i sama ich wielkość szyki mieszała. W obustronnym odporze trwała bitwa od rana aż do nocy. Wreszcie odnieśli Hellenowie najpiękniejsze i najslawniejsze zwycięstwo, jak mówi Symonides, że się nie równego polem na morzu, ani u Hellenów, ani u obcych narodów nie traфіło. Zwycięstwo to, lubo nastąpiło za wspólnem męstwem helleńskiego rycerstwa, z przemysłu jednak i z przezoru samego Temistoklesa. — — Lubo niektórzy przez zazdrość niechętnie, wszyscy jednakże przypisywali mu wygraną. Jakoż, powróciwszy do Istmu, gdy wszyscy naczelni wodzowie pod przysięgą zeznanie o czynach swoich w wyprawie na ołtarzu składali, pokazało się, że każdy z nich zaraz po sobie Temistoklesa położył. Spartanie go dla uczczenia wzięli z sobą do Sparty, gdzie honor z męstwa Eurybjadesowi, z przezorności Temistoklesowi przyznając, ofiarowali mu wieniec oliwny i jednym go z najpiękniejszych publicznych powozów udarowali. Gdy odjeżdżał, przydali mu ku czci trzystu młodzieńców, którzyby go aż do granic odprowadzili. Wkrótce potem przypadaly olimpijskie igrzyska; gdy się na nich pokazał Temistokles, wszyscy przytomni, wcale na widowisko nie zważając, w niego jednego oczy wlepili; jeden drugiemu na niego wskazując, dawał go z oklaskami i uwielbieniem poznawać, a tak cały dzień, cześć mu oddając, strawili. Tak niepospolitego szacunku i poważania dowodne znaki, publicznie okazane, chciwego przez się sławy męża napełniły radością najpożądniejszą. Rozpływał się w niej tak dalece, że się potem przyjaciółom sam przyznał, iż owego dnia najświetniejszy owoc pracy swojej dla Greków otrzymał. Po dokonaniu dzieł wyżej wspomnianych Temistokles umyślił miasto odnowić i murem opasać. Przekupił więc spartańskich eforów, aby mu do tego zamysłu nie przeszkadzali; tak twierdzi Teopompos. Inni świadczą, że ich sztuką podszedł, to jest, że przybył do Sparty pod pozorem poselstwa. Gdy mu tam Spartanie wyrzucali, że Ateńczycy Ateny wzmacniają, i gdy mu na to oczywistego świadka, komendanta Eginy stawili, umyślnie na miejsce zesłanego, zaprzeczył Temistokles i domagał się posłania do Aten innych świadków, którzyby o wszystkim donieśli. A tak i zwlekał czas, żeby dokończono murów, i na to kierował, aby Ateńczycy dostali za niego zakładników. Jakoż nie zawiódł się w swojej nadziei, bo go Lacedemoniocy bez krzywdy wypuścili, tajemnie się tylko gniewając. Potem, wyyskując położenie miejsca, Pireus miasto i port zabudował i całe Ateny ku morzu pociągnął, przeciwko dawnemu zwyczajowi od królów jeszcze ateńskich. Ci bowiem, żeby lud od żeglugi odciągnąć, a przywiązać do gospodarstwa i roli, ułożyli (jak niesie wieść) bajeczkę o Atenie, że ta, wiodąc spór z Pozejdonem, komu by się z nich należała opieka nad Atenami, wygrała sprawę okazaniem drzewa oliwnego przed sądem. Temistokles zaś nie Pireus do stolicy posunął, jak mówi poeta komiczny Arystofanes, ale całą stolicę do Pireusu morzem i łądem przybliżył, co ludowi przeciwko możniejszemu śmiałości dodało, gdy się przewaga w Rzeczypospolitej do majtków, sterników i wodzów okrętowych nachyliła.

Ale Temistokles inny jeszcze sposób wymyślił do ugruntowania potęgi morskiej Atenom. Po ustąpieniu bowiem Kserksesa, gdy flota helleńska w porcie Pegazoj zimowała, Temistokles, zabrawszy głos, Ateńczykom przelożył, że ma projekt nader pożyteczny i łatwy do wykonania, którego jednak duszą jest sekret. Ateńczycy wybrali Arystydesa, żeby się jemu w tem zwierzył. A jeżeliby się Arystydes na jego plan zgodził, żeby Temistokles swoje przedsięwzięcie wykonywał. Odkrył tedy Arystydesowi, że umyślił całą flotę grecką w porcie spalić. Arystydes, wyszedłszy do obradujących: «Jest wprawdzie — rzecz — arcypożyteczny Atenom zamiar Temistoklesa, ale oraz arcyniesprawiedliwy». Ateńczycy zakazali wykonania takiego projektu.

*Tłum. T. Sinko według F. Gołańskiego.*

## MAREK AURELJUSZ

(121—180 po Chr.)

## MYŚLI I WSPOMNIENIA

(Z księgi pierwszej.)

Ojcu zawdzięczam łagodność i niezłomną stanowczość powziętych i przemyślnych decyzji; zawdzięczam obojętność dla pozornej chwały i staranną pracowitość; zawdzięczam i to jeszcze, że umiem uważnie słuchać każdego, który radzi coś pożytecznego, że umiem bez wahania najmniejszego okazywać należy szacunek, że umiem zastosować w potrzebie surowość, a tam, gdzie należy — łagodność, że wolny jestem od pederastji, że miłuję ogólne dobro. Pozwolił ojciec swoim przyjaciółom nie ucześnieć do niego na obiady i nie zmuszał ich, by towarzyszyli mu w podróżach, i zawsze był jednakowo życzliwy dla każdego, kto w swoich sprawach musiał na jakiś czas opuścić ojca. W każdej naradzie usiłował sumiennie zbadać sprawę i nie śpieszył skończyć dysputę, nie zadowalał się pierwszym lepszym rozwiązaniem; troszczył się o swych przyjaciół, nie ulegał kaprysom, ale i nie ulegał zbyt sentymentom; i zawsze był mój ojciec pełen sił, pełen otuchy. Przewidywał przyszłe wypadki, odgadywał najdrobniejsze zakłócenia, ale nie robił z tej umiejętności sobie nic nadzwyczajnego; natomiast brzydził się wszelką służalczą i schlebianiem. Mój ojciec zawsze stał na straży państwowego dobra, unikał rozrzutnej wystawności i nie dbał, jeżeli ktoś mu to brał za złe. W stosunku do bogów nie uprawiał zabobonów, a względem ludzi unikał zbyt pobłażliwości, nie schlebiał tłumom, natomiast zawsze odznaczał się umiarem, solidnością, uprzejmością, oraz stałością.

Bogom zawdzięczam dobrych dziadów, dobrych rodziców, dobrą siostrę, dobrych nauczycieli, dobrą służbę, krewnych, przyjaciół i wszystkich, z którymi stykam się; zawdzięczam bogom i to jeszcze, że nikogo z bliskich mi osób nie skrzywdziłem, aczkolwiek charakter mam porywczy i łatwo mógłbym to zrobić. Bogowie to sprawili, że okoliczności nigdy nie złożyły się tak, bym zasłużył na jakąś naganą. Także bogom zawdzięczam, że tylko przez krótki czas przebywałem u kochanki mego dziadka, że zachowałem młodzieńczą czystość, że nie rozwinąłem się przedwcześnie, lecz raczej z pewnym opóźnieniem. Bogom zawdzięczam, że kierował mną panujący mój ojciec, że usiłował stłumić we mnie pustotę, natomiast wyjaśnił mi, że nawet w cesarskim pałacu można się obejść bez przybocznej straży, bez uroczystych strojów, bez blasku pochodni i bez posągów, i bez wyszukanego zbytku. Wyjaśnił mi mój ojciec, że i w pałacu cesarskim można pędzić życie całkiem zbliżone do trybu ludzi prywatnych, a jednocześnie z całą powagą i troską dbać o państwowe rzady i wykonywać cesarskie obowiązki. Bogom zawdzięczam brata, który swoim usposobieniem natchnął mnie, bym zastanawiał się nad samym sobą, i który okazywał mi szacunek i najgłębszą życzliwość; także i dzieci zawdzięczam bogom, dzieci zdolne i zdrowe na duchu i na ciele; wdzięczny jestem i za to, że nie miałem zbyt wielkich zdolności literackich, ani innych, którebym może zaczął zbyt rozwijać w sobie, jeżelibym widział, że są niepospolite. Bogom zawdzięczam i to, że nie zwlekałem z nadaniem upragnionych zaszczytów moim nauczycielom, nie mam im ich nadzieją, że potem dopiero obdarzę ich, bo są jeszcze młodzi. Bogom zawdzięczam, że poznałem Apolonjusza, Rustyka i Makryna. Dużo myślałem o życiu zgodnym z prawem natury i dokładnie wyjaśniałem sobie, jakie ono jest; bóstwa uczyniły wszystko, co było w ich mocy, i obdarzyły mnie szczerobliwie i pouczyły, bym nie stanęło mi na przeszkodzie, bym żył zgodnie z prawem natury; jeżeli zaniedbałem kiedykolwiek ten obowiązek, to tylko z własnej winy, tylko przez nieposłuszeństwo, przez zaniedbanie ścisłych i niewątpliwych wskazówek bożych. Bóstwa to sprawiły, że ciało moje dotąd służy mi, że nie dotknąłem ani Benedykty, ani Teodota, że zawsze łatwo stłumiłem w sobie erotyczny pociąg; również i to sprawiły, że gniew swój na Rustyka zawsze opanowałem i nie popełniłem w gniewie nic niewłaściwego; one to sprawiły, że matka moja, która tak młodo umarła, ostatnie lata życia spędziła przy mnie. Bogom zawdzięczam, że ile razy

chciałem wesprzeć biedaka, każdego proszącego, że nigdy nie zabrakło mi po temu środków; takż i to, że sam nie wpadłem nigdy w potrzebę, bym musiał innym zawdzięczać pomoc. Bogom zawdzięczam i żonę moją, tak bardzo mi wierną i kochającą, i taką szczerą; takż i to, że nie zabrakło mi dobrych nauczycieli dla moich dzieci; wdzięczny jestem i za te wskazówki we śnie, jakie otrzymałem, bym ulżył krwotokom i bólom głowy — zdarzyło się to w Kajecie — wdzięczny jestem za to, że, umiłowawszy filozofję, nie wpadłem w ręce któregoś przebiegłego dialektyka, nie zasmakowałem w rozmyślaniach historycznych, ani w sylogizmach, ani oddałem się studjom astronomicznym. Albowiem wszystko, co wymieniłem, wymaga przecież pomocy bogów i wsparcia losu. Napisałem w kraju Kwadów, nad rzeką Graną.

*Tłum. M. St. Popławski.*

## LUKJAN

(125—190 po Chr.)

### ALEKSANDER CZYLI PSEUDOPROROK

Drogi Celzusię! Sądzisz, być może, że jest rzeczą łatwą i prostą napisać życiorys Aleksandra, szarlatana z Abonotejchos, opisać sprawki jego wszystkie i oszustwa, i prorocstwa, i ułożyć to wszystko w jeden szkic i posłać ci do przeczytania. Naprawdę zaś, ktokolwiek zechce skreślić to starannie i opisać, ten podejmie się pracy tak samo trudnej, jak ułożenie życiorysu króla Aleksandra. Ten bowiem Macedończyk wielki był w królewskiej odwadze swojej, natomiast szarlatan z Abonotejchos jest równie wielki — ale nikczemnością swoją. Niemniej sądzę, że będziesz chciał łaskawie i pobłażliwie przeczytać, co napiszę; możliwe, że uzupełnisz wszystkie luki w moim opisie; dołożę zatem starań dla ciebie, a jak tylko umiem i potrafię, wykonam to zadanie, tak trudne, tak podobne do oczyszczania stajni Augjasza. Powyciągam z tego śmietniska kosze odpadków, a wtedy i ty, Celzusię, osądzisz, jak bezdenne jest ta stajnia, ile kału mieści w sobie miejsce, gdzie trzy tysiące wołów stały bez przerwy długie lata. Wstydę się jednak i za ciebie, i za siebie. Za ciebie, Celzusię, że oto prosisz, bym utrwalił w pamięci ludzkiej życie człowieka bezgranicznie nikczemnego; wstydę się za samego siebie, że usiłuję oto w tym życiorysie opisać postępkę człowieka, który całkowicie zasłużył na rozszarpanie przez małpy i przez lisy na arenie cyrkowej, na oczach pstrokatej zbieraniny gapiów. Czyż wart ów Aleksander, żeby kulturalni ludzie czytali jego życiorys?

Najpierw opiszę ci wygląd owego Aleksandra, opiszę, jak tylko mogę, prawdziwie, aczkolwiek nie jestem artystą. Był to człowiek wysokiego wzrostu, postawny — a w wyglądzie miał w sobie istotnie coś czarodziejskiego; cerę miał jasną, zarost na twarzy cokolwiek rzadki, a na głowie miał zwykle perukę, ale bardzo dobrą, i nikt nie przypuszczał, że kędziory jego są sztuczne. Spojrzenie miał przenikliwe i natężnione, głos jego brzmiał sympatycznie, a zarazem stanowczo. Oto więc widzisz: pod każdym względem był on bez zarzutu. Taki był zewnętrzny wygląd Aleksandra. A co do duszy jego, co do myśli!... Mój Heraklesie obrońco! Mój Zeusie opiekunio! Dioskurowie obrońcy! Wolalbym mieć do czynienia z nieprzyjacielem i wrogiem, aniżeli z drugim takim Aleksandrem! Był on niepospolicie zdolny i sprytny, i przebiegły; był pracowity, łatwo przyswajał wszystko, doskonale pamiętał wszystko, pojętny był — ale wyzyskiwał to w sposób jak najgorszy. Szlachetnym przymiotom ducha nadał on podły kierunek, a w podłości swojej przewyższył najgorszych łajdaków: Cekropów i Eurybatesa, i Frynordesa, i Arystodema, i innych. W liście do Rutyliana, zięcia swego, wyrażając się bardzo umiarkowanie, przyrównał jednak siebie do Pitagorasa. Tę wzmiankę niech mi wybaczy Pitagoras, ten boski mędrzec!...

Zamłodu Aleksander był bardzo ładnym chłopakiem; ślady chłopięcej urody zachował i w dojrzałym wieku, żyła również i pamięć jego urody. Zasmakował w rozpuszceniu i zaczął sprzedawać się każdemu, kto chciał go kupić. Miał go do swego użytku pewien pederasta i oszust, wróżbiarz i czarodziej; zakochanym pomagał on

zaczarować kochanka, innym znów pomagał usunąć i unieszkodliwić nieprzyjaciół; pomagał odnajdywać zakopane skarby i zdobywać bogate dziedzictwa. Ten to oszust poznał się na chłopcu i na zdolnościach jego, i że najchętniej bierze udział w oszustwach jego, że jest zakochany w podłości tak, jak tamten w chłopięcej urodzie jego — oszust ten wykształcił Aleksandra i miał w nim najwierniejszego pomocnika i powiernika; samego siebie oszust ten podawał za lekarza i potrafił niczem Home-rowa Egipcjanka, żona Toona, pożyteczne leki warzyć i najgorsze trucizny. Aleksander został spadkobiercą jego i kontynuatorem. Nauczyciel jego, ów pederasta, pochodził z miasta Tyany, wyprowadzał się z otoczenia owego czarodzieja Apolonjusza Tyańskiego i był wtajemniczony we wszystkie losy jego życia. Widzisz więc, z jakiej szkoły wyszedł człowiek, którego życie opisuję. Z nadejściem starszego nieco wieku obumarł Aleksandra Tyańczyk ów, opiekun jego; wpadł Aleksander w ubóstwo, bo był już w wieku, w którym dotychczasowe zyski jego musiały ustać; plany jednak na przyszłość niebyle jakie kombinował. Spiknął się z pewnym Borantyńczykiem, krasnobajem, takim, co to nie opuszcza żadnego ludowego święta; był to skończony łajdak, a zwał się, jeśli mnie pamięć nie zwodzi, Kokonas. Zaczęli razem szwendać się po kraju, cyganili, okłamywali i wróżyli i «strzygli głupie owce» — tak bowiem wędrowni czarodzieje w swej gwarze nazywają ludzi. Pewnego razu poznali Makatydę, kobietę już niemłodą, bogatą i kochliwą, zostali jej utrzymankami i pojechali za nią z Bitynji, z Azji, aż do Macedonji; pochodziła ona z miasta Pelli; ongi, za królów macedońskich było to miasto bogate i kwitnące, teraz liczy niewiele ubogich mieszkańców. W Pelli zobaczyli oni pełno węży, ogromnych wprawdzie, ale nieszkodliwych całkiem i tyle oswojonych, że kobiety karmią je własnym mlekiem, że w kołyskach sypiają z dziećmi, że pozwalają sobie brać do ręki i miętosić, a piersi ssą zupełnie jak niemowlęta. Tych wężów pełno jest w okolicy Pelli; myślę, że tu jest źródło do innego podania o Olimpijdzie, matce Aleksandra Macedońskiego; prawdopodobnie, będąc w ciąży, sypiała z takim właśnie wężem. Za parę obolów oszuści nasi nabywają jednego z największych wężów. Potem udali się oni do Chalcedonu, bo uważali, że miasto to im się przyda, i w świątyni Apollina, najstarszej świątyni chalcedońskiej, zakopują spiżowe tabliczki, wypisawszy na nich, że wkrótce ma przybyć do krajów pontyjskich bóg Asklepiusz z ojcem Apollinem<sup>1</sup> i zamieszka na stałe w mieście Abonotejchos. Te tabliczki, w odpowiedniej porze odnalezione i przeczytane, spowodowały rozgłos przepowiedni w nich zawartej, znane były wszędzie w Poncie i w Bitynji, a już najbardziej w Abonotejchos. Mieszkańcy tego miasta odrazu postanowili budować świątynię i zaczęli już zakładać fundamenty. Kokonas został w Chalcedonie i układał tam dwuznaczne i niezrozumiałe prorocтва, a wkrótce umarł; ugryzła go, zdaje się, jakaś jadowita żmija. Aleksander natomiast zjawia się w uroczystym stroju z rozwartymi kędziorami, w purpurowej w białe pasy koszulce i w białym płaszczu, a w ręce trzymał nóż w kształcie sierpa, niczem heros Perseusz — od Perseusza bowiem po kądzieli wyprowadzał swój ród Aleksander. Poczciwi Paflagonicycy pamiętali przecież rodziców Aleksandra, ludzi ubogich i mało znaczących, ale wierzyli teraz przepowiedniom.

Zatem po długiej nieobecności wrócił Aleksander do ojczystego miasta z tak teatralną okazalnością, zdobył rozgłos, był sławny i u wszystkich na języku; czasem udawał szal i natchnienie, a wtedy na wargach jego ukazywała się piana, bo specjalnie w tym celu żuł korzeń pewnej farbującej rośliny; świadkowie natomiast myśleli, że piana ta jest czarodziejska i niesamowita. Miał również zawczasu przygotowaną i zmaistrowaną z płótna głowę węża, podobną nieco do głowy ludzkiej; była ona namalowana bardzo dobrze, a przy pomocy nitki z końskiego włosa otwierała paszczkę i znów zamykała; z paszczki wysuwał się czarny język rozdwojony, całkiem jak u żmii — również przy pomocy końskich włosów. Wąż natomiast, kupiony w Pelli, pozostawał w mieszkaniu Aleksandra; ten wąż miał wystąpić w odpowiedniej chwili i wspólnie z swoim panem grać ową komedię, w której Aleksander przeznaczył mu pierwszą rolę. Przyszedł wreszcie czas wykonania zamiaru, i Aleksander, ot, co

<sup>1</sup> Asklepiusz, bóg lekarskiej umiejętności, wyobrażany był często w kształcie węża.

zmajstrował: w nocy poszedł do dolów, wykopanych dla zakładania fundamentów świątyni Apollina; były one pełne wody, mniejsza czy z ziemi napłynęła ona, czy z deszczem spadała; schował do takiego dołu, zakopawszy głęboko w mule, skorupę gęsiego jaja, w środku której umieścił dopiero urodzonego węża. O świcie Aleksander wybiegł goły na miejski plac; na biodrach miał złotą przepaskę, a w ręce trzymał wygięty swój nóż i kędziorami potrząsał na wszystkie strony, jak to robią opętani kapłani frygijskiej Cybeli; przemawiał do ludu z wysokiego ołtarza jakiegoś i błogosławił miasto, do którego miał wnet zstąpić bóg. Wszyscy obecni, a pozbiegali się wszyscy mieszkańcy miasta, wraz z kobietami, z starcami i z dziećmi, wszyscy byli olśnieni, modlili się, upadali na twarz przed prorokiem; Aleksander zaś wygłaszał niezrozumiałe słowa, nito żydowskie, nito fenickie, a przez to wzbudzał w ludziach kompletny podziw — ale słów jego nie rozumieli obecni — słyszeli natomiast raz po raz imiona Apollina i Asklepiusza, których Aleksander ustawicznie przywoływał.

Potem Aleksander pobiegł jak opętany do miejsca, gdzie miano budować świątynię, podbiegł do dołu, wyznaczonego przezeń jako przyszłe źródło, wszedł do wody i wyśpiewywał pełnym głosem pieśni do Apollina i do Asklepiusza i nawoływał boga, by zstąpił do miasta i przyniósł z sobą szczęście i błogosławieństwo. Potem zażądał, żeby dano mu kubek — ktoś mu przyniósł kubek, i on zaczerpnął kubkiem i z łatwością wydobyl z wody wraz z mulem jaje, a w jajku tem zawczasu schował boga, zalepiwszy skorupę woskiem i ufarbowawszy ją na biało. Wziąwszy jaje w ręce, orzekł, że oto dzierży boga Asklepiusza; obecni zdumieni przyglądali się temu i czekali, co dalej nastąpi; już i to, że w wodzie znalazł jaje sprawiło ich w najwyższe zdumienie. Aleksander rozbił skorupę i z pustego jaja wyjął dopiero co urodzonego malutkiego węża, i wszyscy widzieli, że wąż ten porusza się, okręca się dookoła palców proroka, i podnieśli wielki krzyk, i pozdrawiali boga, i błogosławili miasto, i gorliwie modlili się do boga, błagali o bogactwo, o dostatek, o zdrowie i o wszelakie dobra. Aleksander zpowrotem pobiegł do domu i niósł urodzonego Asklepiusza, boga dwukrotnie zrodzonego, a nie jeden raz, jak wszyscy inni ludzie; zrodzonego nie przez Koronidę, nie przez boginkę wronę, lecz przez gęsę. Cały tłum posuwał się za Aleksandrem, i każdy był jak opętany, a niezwykle wydarzenia wytrąciły wszystkich z równowagi.

Po tem wydarzeniu Aleksander kilka dni siedział w domu; spodziewał się, że pogłoska rozejdzie się po całym kraju, że do miasta zbiegną się wszyscy Paflagończycy. Istotnie tak się stało, miasto było przepelnione, bo pozbiegali się ludzie bez mózgu i bez rozumu całkiem, ludzie niepodobni w niczem do nas, zwykłych śmiertelników, ludzie tylko wyglądem swoim niepodobni do bydła, a zresztą tacy sami. Aleksander usadowił się w niewielkim domku na łożu, uroczyscie przystroił się, a w zanadru miał owego Asklepiusza z Pelli, o którym mówiłem wyżej, że piękny był i duży. Owinał wężem szyję, ogon spuścił nazewnątrz. Wąż był tak duży, że część jego cielska włóczył po ziemi; samą tylko głowę węża Aleksander starannie ukrywał w zanadru pod pachą — wąż wszystko to pokornie znosił; z pod drugiego natomiast ramienia wystawił Aleksander ową sztuczną głowę węża, tak jakby należała ona do tego żywego cielska, które wszyscy widzieli. Wyobraź sobie pokój, chociaż w mroczny, wystraszony, wzburzony i podniecony; dla tych ludzi było rzeczą nadzwyczaj cudowną, że malutkie stworzenie, dopiero przed kilku dniami urodzone, wyrosło oto jako wielki wąż, łagodny i z ludzką twarzą. Podobno szarlatan ten nie raz i nie dwa urządzał ludziom to widowisko; najchętniej zaś wtedy, gdy przyjeżdżali doń bogaci i niedoświadczeni. Sądzę nawet, kochany Celzusic, że Paflagończycy i Pontyjecy, ludziska nieokrzesani, całkowicie zasługują na to, by im przebaczyć łatwowierność. Aleksander pozwalał im nietylko oglądać węża, lecz i dotykać go. W mrocznym pokoju widzieli, że wąż otwiera i zamyka swój pysk; było to wszystko tak dobrze zmajstrowane, że dopiero Demokryt jakiś lub Epikur, lub Metrodor, lub inny mędrzec, którego myśl twarda jest i niezłomna jak żelazo, nie uwierzyłby złudzie i zrozumiałby, co to jest, nawet jeżeliby nie mógł wykazać, jak mianowicie to oszustwo się odbywa;

wiedziałby, że ukryty jest sposób oszustwa, ale niemniej, że cała ta heca jest kłamstwem, że jest niemożliwa i nieprawdopodobna.

Powoli ludność całej Bitynji i Tracji, i Galacji zaczęła przychodzić do Aleksandra, a potem każdy z pątników opowiadał, co zresztą było zupełnie naturalne, że widział zrodzonego boga, a potem sam osobiście dotknął go ręką, gdy bóg cokolwiek podrośł w krótkim czasie i stał się wielkim i przyjął ludzką twarz; chodziły po rękach podobizny węża, portrety i posąжки, zrobione z drzewa, ze spiżu i ze srebra; takżeż i imię nadano wężowi: nazwano go Glikonem, jak to było nakazane przez jakieś boże obwieszczenie... — ...Nastąpił wreszcie czas wyzyskania tych machinacyj i sztuczek: — — — Aleksander uprzedził wszystkich zwiedzających, że w pewnym oznaczonym dniu bóg zacznie prorokować i wróżyc.

*Tłum. M. St. Popławski.*

---

*Wybór i układ M. St. Popławskiego.*